



***Diana Palmer***



***Przyjaźń czy  
miłość***

*Tytuł oryginału: Friends and Lovers*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pobrzękiwanie koktajlowych kieliszków wydawało się Madeline Vigny nienaturalnie głośne, a zapach drogich perfum innych kobiet duszący. Od rana bolała ją głowa i nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności niż poddanie się zmęczeniu, powrót do domu i położenie się spać. Nie wypadało jednak zniknąć z przyjęcia specjalnie dla niej zorganizowanego, na którym była honorowym gościem. Odeszła od baru i wmieszała się w tłum, uśmiechając się uprzejmie do mijanych osób, chociaż nasilał się pulsujący ból w skroniach.

Bez przesady można było powiedzieć, że zgromadziła się tu śmietanka literacka Houston.

Dwudziestoósmioletnia Madeline cieszyła się sławą autorki świetnie napisanych i poczytnych kryminałów. Ukazanie się jej ostatniej powieści zatytułowanej *Wieża wiertnicza* wydawca uhonorował ekskluzywnym przyjęciem. Wcześniej spotkała się z czytelnikami, aby – licznym zainteresowanym podpisać egzemplarze najnowszej książki. Ledwie wróciła do domu, redaktor prowadzący jej kolejną powieść, wysłaną pocztą elektroniczną do wydawnictwa, poprosił o dokonanie dodatkowej korekty trzydziestu stron. Zdołała się z tym uporać w ciągu dnia, narzucając sobie zabójcze tempo, co skutkowało zmęczeniem. Aspiryna i wygodne łóżko – oto, czego teraz potrzebowała.

Przebiegła wzrokiem po zatłoczonej sali, starając się utrzymać ożywiony wyraz twarzy i błysk w jasnozielonych oczach. Miały taki sam odcień jak jej wieczorowa suknia futerał na ramiączka, z przodu biegły cienkie zaprasowane plisy, z boku rozcięcie dyskretnie odsłaniało opalone

udo. Zieleń wspaniale uwydatniała kolor złocistorudych włosów upiętych w luźny kok, podkreślający smukłą szyję i wyprostowaną postawę. Rozpuszczone spadały płomiennymi falami aż do talii. Zastanawiała się, czy ich nie obciąć, ale gdy o tym wspomniała, John popatrzył na nią błyszczącymi urazą oczami, jakby go obraziła, i wyperswadował jej to. Po mistrzowsku skłaniał ludzi, a przynajmniej większość z nich, żeby postępowali zgodnie z jego wolą, co częściowo tłumaczyło zasięg nafciarskiego imperium, którym władał. W ciągu ostatnich pięciu lat dwukrotnie zdołał w walce o wpływy pozyskać pełnomocnictwa znaczącej liczby akcjonariuszy i praktycznie przejął kontrolę nad Durango Oil, a jego skuteczność nawet starych wyjadaczy w biznesie wprowadziła w osłupienie. Jednym słowem, dostawał, czego chciał. Od wszystkich z wyjątkiem Madeline.

Wypatrzyła go w drugim końcu sali. Wpadł w szpony drobnej, niewysokiej blondynki o przebiegłych oczach. Madeline pomyślała, zresztą nie pierwszy raz, że nikt nie może się z nim równać. Mierzy sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, jest muskularnie zbudowany i pozbawiony tłuszczu, choć za rok skończy czterdzieści lat. Proste czarne włosy nosił zawsze gładko zaczesane do tyłu – tak gładko, że Madeline często musiała zwalczać pokusę, aby mu ich nie rozwichrzyć. Z daleka jego oczy robiły wrażenie bardzo ciemnych, z bliska okazywały się srebrzystoszare. Nos musiał mieć złamany przynajmniej raz i było to widać. Kusząco zmysłowe usta były ocienione gęstymi, krótko przystrzyżonymi wąsami, równie czarnymi jak włosy. Wyrazista szczeka zdradzała zdecydowaną naturę.

Znali się od dwóch lat i zdołali zaprzyjaźnić. Byli ze sobą naprawdę blisko, a ostatnio Madeline łapała się na tym, że nie potrafi myśleć o Johnie wyłącznie jak o przyjacielu. W ciemnym wieczorowym ubraniu przyciągał

wzrok kobiet, także jej, i nic nie mogła poradzić na to, że widziała w nim atrakcyjnego mężczyznę.

Uniosła pękaty kieliszek z brandy i upiła mały łyk. Przyglądała się uważnie Johnowi i blondynce. Wyglądało na to, że zrobił na niej duże wrażenie, i Madeline poczuła przypływ irytacji. Już jakiś czas temu odkryła, że stała się zaborcza w stosunku do Johna, i uznała, że prawdopodobnie to efekt łączących ich silnych przyjacielskich więzów.

Z całą pewnością John nie dawał jej żadnych powodów, aby mogła mieć do niego prawa. Dobrze wiedział, ile kosztował ją katastrofalny związek z Allenem, niedoszłym pisarzem. Zaręczyli się i, jak się okazało, tylko Madeline myślała, że na serio. Uwiódł ją i rano po wspólnej nocy poinformował, że ma żonę i dziecko.

Od początku John z niezwykłym wyczuciem i w pełni zrozumiał, jak to nią wstrząsnęło. Szanował jej uczucia, zdawał sobie sprawę z tego, że obawia się wchodzić w nowe związki, i nie pozwalał sobie na wplatanie seksualnych podtekstów do ich znajomości. Na Madeline nie robiło wrażenia jego bogactwo ani też nie potrzebowała jego pieniędzy, toteż obdarzył ją sporym zaufaniem. Zgadywała, że po śmierci jego żony, Ellen, trudno mu było zaufać komukolwiek do tego stopnia, aby wejść w bliższą zażyłość. Co do Madeline miał pewność, że lubiła go dla niego samego, a nie tego, co mógł jej dać.

Westchnęła i upiła kolejny łysek brandy. Zauważyła, że przez ostatnie tygodnie coś się między nimi zmieniło. Wcześniej zachowywał się przyjaźnie, okazywał serdeczność i troskę, łatwo było się z nim porozumieć. W pewnym momencie zaczął okazywać zniecierpliwienie albo, co jeszcze dziwniejsze, był z niej niezadowolony, wręcz nią rozczarowany. W zeszłym tygodniu sprawy wymknęły się spod kontroli. Jeden z kowbojów Johna podpił sobie w czasie pracy i zaczął bezczelnie napastować Madeline.

Lubiła Jeda, zachowywała się wobec niego przyjacielsko, ale przecież z nim nie flirtowała. Czekwała w stajni na Johna, gdy niespodziewanie Jed chwycił ją za ramiona i spróbował pocałować. Wtedy jak spod ziemi wyrósł John i jednym potężnym ciosem posłał go na ziemię.

– Wynocha! – wrzasnął do powalonego kowboja. – Bierz swoją zapłatę i żeby twoja noga nigdy więcej nie powstała w Big Sabine!

Zszokowana Madeline stała nieruchomo i wpatrywała się z niedowierzaniem w Johna, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu. Szare oczy błyszczały srebrzyście, twarz zastygła w grymasie wściekłości... Zniknął sympatyczny, przyjacielski John, jakiego dotąd znała. W tym momencie wydawał jej się obcym człowiekiem.

W milczeniu obserwował, jak potężny, zwałisty Jed zbiera się z trudem z ziemi, bez słowa rzucił Madeline płomienne spojrzenie, odwrócił się i ruszył w kierunku biura.

– Ja... Dziękuję ci... – wyjąkała.

Bezmyślnie przesuwiała dłońmi po bluzce, usiłując zetrzeć ślady rąk Jeda. Rzeczywiście przeżyła wstrząs. Nie zorientowała się, że Jed był podпиты, dopóki nie znalazł się tuż przy niej, a wtedy było za późno. Gdyby John nie nadszedł w porę, mogłoby to się skończyć znacznie gorzej.

Po chwili z biura wynurzył się John, trzymając papierosa w posiniaczonej dłoni. W lśniących srebrzyście oczach wciąż malował się gniew, co speszyło Madeline równie mocno jak wyczuwalne napięcie w jego dużym, muskularnym ciele.

– Kiedy wreszcie nauczysz się rozpoznawać różnicę między przyjaznym a prowokacyjnym zachowaniem? – rzucił oskarżycielskim tonem.

– Nie prowokowałam! – zaprotestowała. – Jed zawsze okazywał mi

życzliwość. Myślałam..,

– Trzeźwy był dobrym pracownikiem – przyznał John. – Trochę szkoda, że go straciłem – nie ustępował.

Nieprzyjemne szorstkie nuty w niskim, zwykle spokojnie brzmiącym głosie i krytyczne spojrzenie dotknęły Madeline.

– Nie wściekaj się na mnie – powiedziała cicho.

Położyła niepewnym, przepraszającym gestem dłoni na opalonym przedramieniu Johna i poczuła, jak naprężyły się mu mięśnie, jakby w obronnym odruchu. Skonstatowała, że najwyraźniej nie życzył sobie, aby go dotykała, co nie poprawiło jej nastroju. Dopiero jednak to, co następnie zrobił, kompletnie i nieprzyjemnie ją zaskoczyło. Oto John zaklął pod nosem i złapał ją za nadgarstek, przy czym jego palce boleśnie wpiły się w jej ciało, gdy odrywał jej rękę od swojego ramienia.

– Nie licz na to, że owiniesz mnie sobie dookoła małego palca – powiedział szorstko i dodał stanowczym tonem: – Od dzisiaj trzymaj się z daleka od moich ludzi, a jeśli szukasz podniet, to znajdź je poza moim ranczem.

Te słowa wyprowadziły z równowagi Madeline. Szorstkie słowa zaboląły, ale oskarżenia o chęć uwodzenia kowbojów nie mogła puścić płazem.

– Z przyjemnością będę trzymać się z daleka od twojego rancza, Johnie Cameronie Durango – oświadczyła, obrzucając go miażdżącym spojrzeniem zielonych oczu. – Nawiasem mówiąc, jesteś ostatnio nie do zniesienia. Jeszcze jedno. Nie próbowałam owinać cię sobie dookoła małego palca. Chciałam ci tylko podziękować – podkreśliła i skierowała się do samochodu.

Odjechała i od tamtej pory ani razu nie rozmawiali ze sobą.

Ochłonęła i teraz chciałaby pogodzić się z Johnem, ale jak miała do

niego podejść, skoro uniemożliwiała jej to obecność drobnej blondynki, z pewnością zainteresowanej pieniędzmi Johna? W dodatku on nawet nie próbował uwolnić się od jej towarzystwa.

Zrobiło się jej nieprzyjemnie, kiedy patrząc na nich, w końcu rozpoznała blondynkę. Nazywała się Melody czy jakoś tak i cieszyła w kręgach towarzyskich Houston opinią dziewczyny polującej na bogatych starszych mężczyzn. W zeszłym roku opowiadano o jej związkach z dwoma zamożnymi biznesmenami działającymi w Houston, przy czym niezbyt pochlebnie wyrażano się o roli, jaką odegrała Melody. Czy John nie zdawał sobie sprawy, z kim ma do czynienia, czy oczarowała go ta tylko z pozoru słodka blondynka? Ciemnowłosa głowa pochyliła się, zbliżając do blond głowy, a Madeline nachmurzyła się, czując dyskomfort, którego do końca nie rozumiała.

– Nie tyle patrzysz, co prześwietlasz wzrokiem, moja droga – rozległ się dobrze jej znajomy głos.

Odwróciła się i, tak jak się spodziewała, ujrzała Donalda Duranga, którego chłopięca twarz miała łobuzerski wyraz.

– Tak to według ciebie wygląda? – spytała.

– Chyba nie jesteś o nią zazdrosna?

Najeżyła się i podkreśliła:

– John i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Skoro bez przerwy to powtarzasz... Ktoś tak wspaniały jak ty nie jest zdolny kłamać – zgodził się Donald.

– Och, podnosisz mnie na duchu – odrzekła z pojedynczym uśmiechem.

Trudno byłoby znaleźć dwóch bliskich kuzynów bardziej różniących się wyglądem. John był wysoki, potężnie zbudowany; Donald drobnej budowy i

szczupły, niemal chudy. John miał przenikliwe srebrzystoszare oczy, czarne włosy, ogorzałą cerę; Donald – blond włosy i jasnoniebieskie oczy.

Łączyło ich to, że obaj byli ambitnymi i znającymi się na rzeczy biznesmenami i nie wahali się wykorzystywać nadarzających się okazji do zrobienia interesu. Rywalizowali ze sobą bezlitośnie i skakali sobie do oczu. Musiała kryć się za tym zastarzała uraza natury osobistej. Donald był wobec Johna złośliwy, czasem do granic nieprzyzwoitości, ale co ciekawe, John raczej bronił się przed nim, niż w odwecie atakował.

Po śmierci ojca Donalda, a stryja Johna, okazało się, że to John odziedziczył większą część kapitału akcyjnego Durango Oil. Ten ruch starego Duranga, wyraźnie faworyzujący Johna, zdumiał wiele osób. Niemniej, choć obaj byli zdolni, z nich dwóch to jednak John miał lepszego nosa do interesów. Donald podjął walkę o uzyskanie pełnomocnictw od akcjonariuszy, ale przegrał i w rezultacie kuzyn zyskał większość. Od tamtej pory nie przepuścił żadnej okazji, aby dopieć Johnowi, na przykład zbliżając się do Madeline.

– Pozwolisz sobie towarzyszyć przez resztę wieczoru? – spytał z szerokim uśmiechem. – Obronię cię przed lubieżnymi umizgami i nieszczerymi komplementami.

– A kto obroni mnie przed tobą? – odcięła się z uśmieszkiem.

Mimowolnie znowu spojrzała w kierunku Johna i Melody i ponownie się nachmurzyła. – Jeśli jeszcze bardziej się do niego zbliży, to jak nic wtopi się w jego garnitur – powiedziała cicho, praktycznie do siebie.

– Bogaci mężczyźni z nikim niezwiązani są w dzisiejszych czasach łakomym kąskiem – zauważył Donald. – Ona jest całkiem niezła. Jest na czym oko zawiesić.

Madeline jednym uchem słuchała Donalda. Miała szczerą ochotę złapać



wazę z ponczem i wylać czerwono zabarwioną zawartość na utlenione blond włosy.

– Muszę go przed nią uratować, wyrwać ze szponów tej lubieżnej, żadnej jego pieniędzy blondyny – oświadczyła i dodała: – To mój obowiązek jako byłej skautki.

Nie mówiąc więcej ani słowa, ruszyła w kierunku zajętej sobą pary. Najwyraźniej Melody musiała poprosić o coś do picia, bo John skinął głową i podszedł do wazy z ponczem. Madeline nie zamierzała przepuścić okazji, aby go na dłużej zatrzymać.

– Rozmawiamy ze sobą? – przypuściła atak, spoglądając na niego z powagą. – Jeśli nie, to kiwnij głową, a oddalę się w drugi koniec sali i będę udawać, że cię nie znam.

Kilka tygodni temu roześmiałby się w odpowiedzi. Obecnie wyraz jego twarzy ani trochę nie złagodniał, oczy patrzyły zimno, połyskując srebrzyście.

– Jestem wstrząśnięty, że zdołałaś oderwać się od mojego kuzyna – powiedział zrzędlwym tonem.

– Ma na imię Donald – przypomniała mu. – Nigdy nie słyszałam, żebyś wypowiadał jego imię, ale tak ono brzmi. Nie zwykłam ignorować ludzi, którzy rozpoczynają ze mną rozmowę. Ty nie zadałeś sobie tego trudu – wytknęła Johnowi.

Madeline odnotowała, że nadal spoglądał na nią nie– przyjaźnie. Gęste czarne wąsy dodawały mu dojrzałego męskiego wyglądu, chociaż wcale tego nie potrzebował.

– I vice versa – odciął się. – Nie uganiam się za kobietami, nie muszę – dodał złośliwie i rzucił wymowne spojrzenie na Melody.

Rozzłościło to Madeline, ale zacisnęła dłoń na pękatym kieliszku z

brandy, aby nie okazać zdenerwowania.

– Ma dość nieciekawą reputację – zauważyła, siląc się na obojętność. – Podobno jej ostatni związek nie wypalił, została z niczym i rozgląda się za bardziej wypchanym portfelem.

Przyglądał jej się badawczo, lekka pionowa zmarszczka przecięła czoło nad głęboko osadzonymi oczami.

– Nie mam nic przeciwko płaceniowi za to, co chcę kupić – stwierdził spokojnie. – Stać mnie na to.

Madeline uderzył cynizm, którego wcześniej John nie demonstrował. Najwyraźniej nie wierzył, że kobieta może go pragnąć dla niego samego. Zupełnie jakby był nieświadomy, że jest bardzo atrakcyjny. Wpatrzyła się w jego twarz: gęste ciemne brwi, srebrzystoszare oczy, prosty nos, zmysłowe usta ocienione gęstymi, krótko przystrzyżonymi wąsami... Mimowolnie rozchyliła wargi, zastanawiając się, jak by to było, gdyby ją pocałował. Ta myśl zaskoczyła ją i zdziwiła.

– Masz dziwną minę, Ruda – odezwał się cichym głosem, przywołując przydomek, który dla niej wymyślił. – Czyżbyś szukała moich słabych punktów? Uprzedzam, że nie znajdziesz.

– Jesteś pewien?

Z rozmysłem przysunęła się bliżej i zaczęła kręcić w palcach perłowy guzik koszuli, którą miał na sobie John. Pod białym jedwabiem widziała zarys ciemnych włosów pokrywających jego pierś i płaski brzuch, poczuła także ciepło jego ciała. Zdumiała ją własna silna reakcja na tę bliskość – ledwie utrzymała się na nogach. Oszołomiona, zdała sobie sprawę z tego, że pragnie dotykać Johna. Najwyraźniej jednak on nie życzył sobie, aby go w jakikolwiek sposób dotykała.

Nakrył dłonią jej palce i oderwał delikatnie od siebie.

– Flirtujesz ze mną? – spytał wprost.

– Kto, ja? – Objęła kieliszek obiema dłońmi. – Nie mam samobójczych skłonności.

– Nie bój się, nie skorzystałbym – zapewnił ją złym głosem. – Przez dwa lata nabyłem wprawy w trzymaniu się od ciebie na dystans.

Ostre słowa ukłuły niemal jak szpilki. Madeline spojrzała w zimno patrzące oczy Johna.

– Wiesz, co czuję.

– Jedno złe doświadczenie nie może stanowić usprawiedliwienia dla robienia z siebie zakonnicy – rzucił szorstko.

Madeline zeszywniała.

– Ostatnio zachowujesz się jak ranny niedźwiedź, Johnie Durango – oznajmiła. – Jeśli czujesz głód, to zajmij się przekąskami, bo ja nie mam ochoty być kąsana dzisiejszej nocy. Odwróciła się, żeby odejść, ale chwycił ją za ramię. Dotyk ciepłych palców na nagiej skórze przyprawił ją o szybsze bicie serca i uwięził oddech. Zaniepokoiła ją ta reakcja, ale nie odważyła się zadać sobie pytania, dlaczego tylko John tak na nią działa.

– Nie uciekaj ode mnie – szepnął jej do ucha.

Był tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego silnego ciała.

– Nie wiem, co innego mogłabym zrobić – odparła bezradnie. Stanęła twarzą do niego i obrzuciła go znękanym wzrokiem. – Traktujesz mnie wrogo, zachowujesz się tak, jakbyś nie mógł mnie znieść, i wycofujesz się, ilekroć cię dotknę... Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Jesteśmy. Okaż mi cierpliwość.

Dostrzegła napięcie w jego twarzy, niepokój w srebrzystoszarych oczach i zmiękała.

– Zależy mi na tobie – przyznała łagodnym głosem. – Coś jest nie tak,

prawda? Coś cię męczy. Nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

– Tobie na pewno nie, moja droga – stwierdził stanowczo. Wyciągnął rękę i dotknął niesfornego kosmyka, który wymknął się z wysoko upiętych złocistorudych włosów. – Dlaczego ujarzmiasz włosy?

– Nie jestem Cyganką – broniła się. – Długie włosy idą w parze z bosymi stopami, mogłabym zszokować gospodynię przyjęcia.

– A niechby. – Po raz pierwszy od początku rozmowy wyglądał tak, jakby zamierzał się uśmiechnąć.

– Spróbuj.

– Ostatnim razem, gdy namówiłeś mnie, żebym czegoś spróbowała, wylądowałam w ubraniu w rzece, wprawiając w osłupienie turystów – przypomniała mu z rozbawieniem. – Nawiasem mówiąc – z westchnieniem dotknęła skroni – nie mam najmniejszej ochoty na robienie szokujących rzeczy. Głowa pęka mi z bólu, ledwie stoję na nogach ze zmęczenia. Najchętniej umknęłabym do domu i poszła spać.

– A dlaczego tego nie robisz?

– Wyjść z przyjęcia na moją cześć po godzinie? To byłoby co najmniej niegrzecznie, zwłaszcza że Elise zadała sobie tyle trudu.

– Do diabła z dyplomacją, zawiozę cię do domu – oświadczył stanowczo John.

– I zostawisz zżeraną zazdrością blondynkę?

Madeline rzuciła wymowne spojrzenie na Melody, która wpatrywała się w nich z nieskrywaną złością, ignorując dwóch mężczyzn młodszych od Johna o dwadzieścia lat, usiłujących zwrócić na siebie jej uwagę.

– Nie, dziękuję. Poproszę Donalda.

Nie należało tego mówić. Srebrzystoszare oczy pociemniały.

– Akurat – rzucił z irytacją, pochylił się i nieoczekiwanie wziął ją na

ręce. – Zamknij oczy i jęcz – polecił.

Zaskoczył ją kompletnie, a rozkazujący ton wykluczył sprzeciw i Madeline, zapomniawszy o tym, że jest niezależną kobietą, zrobiła, co kazał jej John. Poczula zapach jego wody kolońskiej i ciepło ciała, a także siłę unoszących ją ramion.

– Co się stało Madeline?! – zawołała zaniepokojona Elise.

– Przepracowanie – odparł John, nie zatrzymując się. – Zawiozę ją do domu. Rano przyślę Josita po samochód. Dzięki, Elise, bawcie się dobrze. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziała niepewnie. – Zadzwoń jutro, by zapytać, jak ona się czuje.

Madeline usłyszała, że John mówi coś niewyraźnie do kogoś, kto otworzył przed nimi drzwi. Powietrze na zewnątrz było przejmujące, ale ciepłe męskie ramiona chroniły ją przed chłodem wiosennej nocy.

Szal został wewnątrz, torebkę na szczęście miała przewieszoną przez ramię.

– Jesteś niesamowicie silny – powiedziała impulsywnie i momentalnie speszyła się.

Roześmiał się, co mu ostatnio nieczęsto się zdarzało.

– Wciąż jestem w formie, skarbie, i nikt mi nie zarzuci, że całymi dniami tkwię za biurkiem.

To akurat była prawda. Zajmował się ranczem, a większość jego kowbojów nie potrafiła dotrzymać mu kroku. Zarzuciła Johnowi ramiona na szyję i przyłgnęła do jego szerokiej piersi.

– Niezły ten twój pomysł – pochwaliła go z uśmiechem. – Nikomu nie przyjdzie do głowy mieć za złe opuszczenia przyjęcia kobiecie, która zemdląca. – Nagle zachnęła się. – O mój Boże!

- Co znowu?
- Wszyscy pomyślą, że jestem w ciąży!

TTLR

## ROZDZIAŁ DRUGI

John przystanął przy czarnym ferrari i spojrzeniem pociemniałych nagle oczu obrzucił szczupłą i zgrabną kobietą sylwetkę, jedną ręką otworzył drzwiczki, po czym usadowił Madeline w fotelu pasażera.

– I co z tego – stwierdził nonszalancko. – Po pisarzach oczekuje się niekonwencjonalnego zachowania.

Obserwowała Johna, gdy obchodził samochód i zajmował miejsce kierowcy.

– A z kim spędzam większość wolnego czasu? – spytała. – Pomyśla, że jest twoje.

Roześmiał się i uruchomił silnik.

– Możesz je nazwać moim imieniem.

Poczuła się dziwnie na myśl, że mogłaby mieć z nim dziecko. Spojrzała na odwróconą profilem twarz. Jak pogodzić te zaskakujące myśli z ich dotychczasowymi czysto przyjacielskimi stosunkami? Co się z nią dzieje?

John prowadził w milczeniu, paląc papierosa i nie spuszczał wzroku z drogi. Skręcił w Montrose, gdzie Madeline miała dom, wzniesiony w wiktoriańskim stylu.

Mieścił się w starej części miasta, częściowo pieczołowicie odrestaurowanej. Madeline odziedziczyła nieruchomość po ciotecznej babce, która ogromnie dbała o dom i ogród, dzięki czemu były doskonale utrzymane. Madeline nie zaprzepaściła starań krewnej, równie skrupulatnie jak ona troszcząc się o niewielką posiadłość, początkowo na miarę swoich skromnych środków, z czasem nie szczędząc pieniędzy, gdy zaczęła czerpać profity z pisania.

– Jak postępuje praca nad nową książką? – spytał John, gdy zatrzymał

ferrari na podjeździe.

– Powoli. Wspominałam ci, że zwrócono się do mojego agenta o prawa do sfilmowania *Wieży wiertniczej*? Być może powstanie film, naturalnie, o ile powieść nadal będzie wzbudzać żywe zainteresowanie czytelników, a krytycy nie wycofają się z przychylnych recenzji – powiedziała niby od niechcienia Madeline, ale zdradzała ją zadowolona mina. – Kto by uwierzył. Wcześniej chciałam podzielić się z tobą tą wiadomością, ale nie mieliśmy okazji porozmawiać.

John zgasił silnik i odwrócił się lekko na kubelkowym siedzeniu ferrari, przyglądając się przyjaciółce w świetle padającym z ganku panny Rose, jej najbliższej sąsiadki. Madeline opowiadała, że starsza pani wypatrywała jej zawsze, ile razy zdarzyło się jej wrócić do domu późno w nocy.

– Straciłem panowanie nad sobą – przyznał cichym głosem. – Nie chodziło mi o to, żebyś się usunęła, a ja stracił cię z oczu.

Zatem te słowa miały być czymś w rodzaju przeprosin, pomyślała Madeline. Wiedziała, że nie zdobyłby się na ten wysiłek wobec większości osób.

– Nie prowokowałam go. Nie muszę ci chyba przypominać, jaki mam stosunek do mężczyzn.

Wpatrywał się przez chwilę w jej zarumienioną twarz.

– Nie zaszkodziłoby, gdybyś powtarzała to co piętnaście minut, zwłaszcza gdy masz na sobie takie sukienki.

– Och, to starość – zażartowała, przesuwając palcami po fałdach. – Wystarczyło napisać kawałek całkiem niedużego rozdziału.

Roześmiał się, a rozżarzony koniec papierosa rozjaśnił okolice ust.

– Przeliczasz wszystko na książki – zauważył rozbawiony. – Samochód to jedna cała książka, sukienka kawałek rozdziału...



– Samochód na pewno był tańszy, niż wyniosło honorarium za powieść – sprostowała. – Kupiłam go z drugiej ręki, poza tym jest ekonomiczny.

– Podzielałam pogląd, że należy w pełni wykorzystywać wszelkie urządzenia – przypomniał jej.

Madeline przywołała w myślach stary wysłużony traktor i kombajn, nadal używane na ranczu, i zachciało jej się śmiać.

– Tak, wiem – potwierdziła niewyraźnie.

John spojrzął na małego żółtego volkswagena, zaparkowanego jak zwykle pod starym potężnym dębem, rosnącym obok domu.

– Powinnaś kazać ściąć to drzewo – powtórzył to, co usłyszała od niego już kilkadziesiąt razy. – Stwarza realne niebezpieczeństwo. Podczas nawałnicy z silnym wiatrem może zważyć się wprost do twojego pokoju dziennego. Nie muszę ci przypominać, że właśnie zbliża się sezon na burze, a w zeszłym roku o tej porze nawiedzały nas tornada.

– Nie pozwolę ściąć dębu ciotecznej babki Jessie. Nie muszę ci przypominać, że posadził go jej dziadek – odparła z urazą w głosie.

– Jej dziadek, akurat! Przecież była sierotą!

Gwałtowny ruch głową zagroził kunsztownej fryzurze Madeline.

– Kłamstwa – zaprzeczyła. – Mam oficjalny dokument stwierdzający, że była dzieckiem z nieprawego łoża jankeskiego kapitan żeglugi, a jej matką była moja prababka Surrey.

– Skandaliczne. – Roześmiał się John. – Czyżby w żyłach twoich przodków płynęła gorąca krew, panno Vigny?

Spojrzała na niego spod rzęs.

– Och, panie Durango, co za skandaliczne pytanie! Pani Rose byłaby zszokowana. To właśnie ona mi o tym powiedziała, a prawdę poznała z ust mojej ciotecznej babki, która mieszkała obok niej przez dwadzieścia lat.

Skończył palić papierosa i zgasił go w popielniczce.

– Każę, by Josito przyprowadził rano twój samochód. A może polecę mu, żeby cię przywiózł do mnie, a potem sama wrócisz do domu?

– Czy to zaproszenie? – spytała.

– Tak. Moglibyśmy pojeździć konno. Zarzuciliśmy ostatnio ten zwyczaj.

– Nie wiem, czy znowu chciałabym się znaleźć w twojej stajni. – Odwróciła wzrok. – Powziąłeś dziwaczny pomysł, że wszystko, czego pragnę od życia, to uwodzić twoich ludzi, jednego po drugim.

– Przestań! – Wyciągnął rękę i zmusił Madeline, by odwróciła głowę i spojrzała na niego. – Nie życzę sobie widzieć, jak moi pracownicy cię obłapiają. Zwłaszcza pijani – dodał szorstko. Przesunął wzrokiem po jej ciele, jakby badał każdy jego centymetr. Oczy mu pociemniały, była w nich jakaś obietnica. – Nie chcę, żeby jakikolwiek mężczyzna cię dotykał – dokończył.

Popatrzyła na niego bezradnie, ogarnęła wzrokiem prosty nos, wąsy, zmysłowe usta. Czowała jego oddech i palce ujmujące jej podbródek. Pod wpływem tego delikatnego dotyku przeszedł ją dreszcz. Spontanicznie wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jego wąsów, ale zanim do tego doszło, John silnie ujął jej nadgarstek.

– Nie rób tego! – powiedział ostro. – Kiedy do twojej pięknej główki wreszcie dotrze, że nie życzę sobie, abyś mnie dotykała?

Wargi zaczęły jej zdradziecko drżeć, ale mimo to zdobyła się na krótki śmieszek.

– Dotarło do mnie, panie Durango. A teraz, gdybyś uprzejmie puścił moją rękę, z przyjemnością bym wysiadła, umożliwiając ci pospieszny powrót na przyjęcie i do ostatniej zdobyczy.

John jednak nie uwolnił nadgarstka Madeline. Przyjrzał się jej

badawczo.

– Nieźle ze mną dzisiaj flirtowałaś, Ruda. Próbowiałaś wzbudzić zazdrość w moim kuzynie?

Nie kryła zaskoczenia.

– Nie łączy mnie z Donaldem tego rodzaju relacja. Jesteśmy tylko przyjaciółmi, tak jak i w twoim przypadku.

– Naprawdę? Tym właśnie jesteśmy?

– Oczywiście – potwierdziła, ale niezbyt pewnie.

Czuła się podekscytowana, a jednocześnie zagrożona. Nadgarstek pulsował pod jego palcami.

– W takim razie powinno ci być wszystko jedno, czy wezmę Melody do łóżka, czy nie – stwierdził John, w dalszym ciągu nie spuszczać przenikliwego wzroku z Madeline.

On i ta wyrachowana blondynka razem, jej blond pukle na jego opalonej, pokrytej czarnymi włosami piersi, jego usta pieścące jej gładkie, młode ciało... Pobladła i z cichym okrzykiem odsunęła się od Johna.

– Dla ciebie seks może nie istnieć, ze mną jest inaczej – powiedział z namysłem. – Nigdy cię nie dotknąłem, ale to nie znaczy, że jestem eunuchem.

– Ani przez chwilę tak o tobie nie myślałam — zapewniła go, uciekając spojrzeniem w bok.

Wziął głęboki oddech i zapalniczką przypalił kolejnego papierosa.

– Za dużo palisz – zauważyła z lekką naganą w głosie.

– Wiele rzeczy robię zbyt intensywnie – odparł szorstko i spojrzał na nią prawie nienawistnie.

– Jak uwodzenie blondynek?

Natychmiast pożałowała tych słów, wyrzucając sobie w duchu, że nie ugryzła się w język.

– Trzeba by lampy lutowniczej, żeby ciebie rozpalić.

Spojrzała na niego z oburzeniem.

– On mnie zranił. Jesteś mężczyzną. Co możesz wiedzieć o uczuciach kobiet...

– Udało mu się ciebie skrzywdzić, bo byłaś dziewczyną. Ponieważ był głodny ciała, a nie emocji i osobowości. Żaden mężczyzna, któremu zależy na kobiecie, nie postąpiłby w ten sposób. Zostawił rany, które nie zabiły się przez dwa lata. – Zaciągnął się gwałtownie papierosem. – Powinienem był go zabić!

Madeline zaskoczyła gwałtowność brzmiąca w głosie Johna.

– Nie znasz nawet jego nazwiska – zauważyła.

– Jesteś tego pewna? – Wąsy zadrgały, w oczach pojawił się błysk triumfu. – Nietrudno było się dowiedzieć, skarbie. Wystarczył mi jeden telefon do klubu pisarzy, w którym go poznałaś.

Zesztywniała i wpatrzyła się w niego z niedowierzaniem.

– Ty nie... Widziałeś się z nim?

Skinął głową.

– I...? – ponagliła go.

Nie odpowiedział, tylko zaciągnął się papierosem.

– John! – wykrzyknęła z rozdrażnieniem.

Wydmuchał okazały obłoczek dymu i dopiero po tym się odezwał:

– Po upadku z konia najskuteczniej pozbędziesz się strachu, wsiadając na niego jak najszybciej z powrotem.

Miała serdecznie dość. Zacisnęła palce na torebce i położyła dłoń na klamce.

– Na tym etapie życia utrzymuję tyle fizycznych kontaktów, ile mi dokładnie potrzeba! – rzuciła ze złością. – Dobranoc.

– Ruda! – Niski męski głos zabrzmiał tak stanowczo, że odwróciła się i spojrzała na Johna. – Gdybym planował złożyć ci niestosowne propozycje, zrobiłbym to dwa lata temu. Byłabyś tak miła nie obrażać się o wszystko, co powiem?

– Odnoszę wrażenie, że jest na odwrót. – Miętosiła palcami torebkę i wpatrywała się w niego rozżalonym wzrokiem. – Och, John, co się z nami dzieje?

– spytała bezradnie. – Byliśmy dobrymi przyjaciółmi i nagle to się psuje.

Wyciągnęła rękę i natychmiast ją cofnęła, zdając sobie sprawę z tego, do czego to doprowadzi. Przecież nie życzył sobie, aby go dotykała.

– Ja... trudno mi nawiązać bliższą znajomość z większością ludzi – wyznała poważnie, chociaż zwykle starała się nadać rozmowie żartobliwy ton. – Od niepamiętnych czasów czułam się wyobcowana, byłam kimś odmiennym. A jednak z tobą było inaczej i nie chciałabym tego stracić.

– Pozostaniesz moją przyjaciółką, Ruda – zapewnił ją łagodnie. – To się nie zmieni. – Nieoczekiwanie roześmiał się gorzko. – Nigdy ci nie przyszło do głowy, że nie mam wokół siebie grona bliskich znajomych? I to zarówno kobiet, jak i mężczyzn? Blondynka z przyjęcia tylko to potwierdza. Lubi kosztowne gadżety, a ja jestem bogaty. Bez wahania wskoczy mi do łóżka, warunek jest taki, że dostanie, czego chce.

– W takim razie dlaczego ją zachęcasz? – spytała Madeline opryskliwym tonem, który ją samą zaskoczył.

Zapomniany papieros tlił się w jego dłoni, gdy spytał ze zniecierpliwieniem:

Dlaczego Melody okupuje twoje myśli? Czy świadomość, że większość kobiet nie jest zamrożona od szyi w dół tak cię denerwuje?

Zaczerwieniła się po korzonki włosów. Po raz drugi dotknął bolesnej dla niej kwestii, o jeden raz za dużo. Przez chwilę miała ochotę go uderzyć. Zielone oczy rozbłysły, uniosła rękę.

– Spróbuj, skarbie. – Zabrzmiało to jak zachęta. – Proszę, spróbuj.

O mało nie posłuchała. Po raz pierwszy w życiu poczuła ochotę, aby go uderzyć, i była to silna pokusa. Powstrzymała się, wiedząc, że on weźmie odwet, i bała się, jaką przybierze formę.

– Nie, dziękuję – odrzekła, czując, jak opuszcza ją napięcie. – Masz prawo do weryfikowania swojej opinii o mnie. Jak rozumiem, ostatnio strapiłam sporo w twoich oczach.

Zaciągnął się głęboko, wpatrując w nią badawczo.

– Na krótką chwilę opadła maska, którą zawsze nosisz. Chciałaś mnie uderzyć, tak?

– Tak – rzuciła krótko i odwróciła wzrok.

– A dlaczego tego nie uczyniłaś?

Poprawiła się niespokojnie na siedzeniu.

– Nie sądzę, żebyś nadstawił drugi policzek.

– Nie uderzyłbym cię w odpowiedzi, jeśli to miałaś na myśli.

Nachylił się, żeby otworzyć drzwi auta po stronie pasażera i Madeline poczuła na swoich piersiach nacisk jego ramienia. Znieruchomiła niczym posąg i dopiero, gdy John się odsunął, zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

– A co byś zrobił? – spytała zduszonym głosem, dziwnie brzmiącym w jej uszach.

Przyglądał jej się poprzez obłoczek dymu, wydymając z namysłem usta.

– A jak myślisz? – odparł pytaniem, a jego głos brzmiał niebezpiecznie zmysłowo.

– Myślę, że jest bardzo późno – stwierdziła wymijająco.

– Później, niż ci się wydaje, skarbie. O siódmej przyślę po ciebie Josita, dobrze?

Poruszyła się niespokojnie.

– Nie denerwuj się, będzie bezboleśnie i spokojnie

– zapewnił ją łagodnie, a wyraz jego oczu nadał tym słowom inne, ekscytujące znaczenie.

Zaczerwieniła się wbrew sobie.

– Może lepiej, żebym jednak nie pojechała – wyszeptała z wahaniem, jakby myślała na głos.

– Nie obawiaj się, Ruda. Zawsze sobie ufaliśmy.

Zaśmiała się z zażenowaniem.

– Chyba jestem bardziej zmęczona, niż mi się wydawało. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzisiaj dzieje – stwierdziła, spoglądając na Johna, jakby u niego szukała odpowiedzi.

– Naprawdę nie wiesz, skarbie?

Postawiła obute stopy na ziemi i wygramoliła się z nisko zawieszzonego sportowego auta.

– Dziękuję za podwiezienie.

– Na pewno dobrze się czujesz? – spytał, wyraźnie zatroskany.

– Na pewno – potwierdziła stanowczo. – Nie potrzebuję niczyjej opieki, jestem bardzo niezależna, przecież wiesz.

– Podobnie jak ja. A jednak... kto siedział dwie noce przy powalonym grypą mężczyźnie? – Kąciki ust drgnęły mu w uśmiechu.

Zaczerwieniła się po raz kolejny, przypominając sobie, jak pomagała Jositowi obmywać gąbką ciało Johna podczas ciężko przebiegającej choroby. Prawie nigdy nie chorował, a tamtej nocy musieli go oboje przytrzymać

siłą, dopóki gorączka nie spadła i nie przestał się rzucać w malignie.

– A któż jeszcze mógłby tam być? – odparła. – Jo– sito sam nie dałby sobie rady.

Uśmiechnął się do niej łagodnie, czule, a ona zwalczyła pokusę, aby rzucić mu się w ramiona.

– Zrobiłbym dla ciebie to samo i, obawiam się, sprawiłoby mi to niezwykłą przyjemność.

Kolana się pod nią ugięły na myśl, że mógłby jej dotykać tak jak ona jego.

– Idź już do domu – powiedział niskim głosem i zamknął za nią drzwi samochodu, a gdy ruszyła w stronę drzwi wejściowych, szukając w torebce klucza, wykrzyknął przez otwarte okno: – Siódma! Punktualnie!

Odwróciła się i wykonała perfekcyjny ukłon, a John zawrócił ferrari i śmiejąc się, odjechał z rykiem silnika.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Ranczo Johna było niewielkie jak na teksańskie standardy, ale też nie ono stanowiło główne źródło jego dochodów. Raczej traktował je jako rodzaj hobby, główne profity czerpiąc z kompanii nafcarskiej. Hodował bydło rasy santa gertrudis, a jego byki czempiony osiągały wysokie ceny na rynku. Zdjęcia starszych medalowych okazów, wartych pół miliona dolarów każdy, zdobiły ściany biura. Nawet młode sztuki osiągały niezłe ceny, liczyło się bowiem ich pochodzenie.

Madeline jechała na koniu obok Johna i mijając schludne białe płoty dzielące pastwiska, rozciągające się aż po horyzont, rozmyślała nad tym, jak odmiennie dziś wyglądał. W dżinsowych spodniach i takiej koszuli, starym, zniszczonym stetsonie, jaki zwykł nosić na ranczu, nie przypominał elegancko ubranego mężczyzny, który wczoraj odwiózł ją do domu.

– Znowu mi się przyglądasz – zauważył z kwaśnym uśmiechem.

– Myślałam o tym, jak inaczej dziś się prezentujesz – przyznała Madeline.

W rewanżu obrzucił ją uważnym wzrokiem. Miała na sobie bryczesy i zieloną bluzkę z drukowanym wzorem i krótkimi rękawami. Ranek był chłodny, ale nie chciała włożyć swetra.

– Lubię cię w zielonym.

Roześmiała się, potrząsając głową, a on śledził wzrokiem jej rozsypujące się włosy.

– Podobno to kolor sprzyjający relaksowi.

– Tego mi trzeba – odparł sucho. – Niewiele spałem.

Uśmiech znikł z jej twarzy, ucisnęła boki konia kolanami, zmuszając młodą srokąta klacz do galopu. Cholerny arogant! – zezłościła się Madeline.

Żadna przyjemność jeździć z nim konno. Tak po prostu rzucił jej w twarz uwagę o swoim ostatnim podboju! Naturalnie, dogonił ją bez trudu na wielkim srokatym wałachu.

– Co z tobą, do licha? – spytał groźnie.

– Nic – odparła krótko, nie patrząc na Johna.

Pobudziła klacz do szybszego galopu. Pochyliła się nad końską szyją, wiatr rozwiewał jej włosy, chłostał twarz. Chciała poczuć podniecenie jazdą, niebezpieczeństwem. Śmiejąc się, pędziła szeroką gruntową drogą. Teraz jej nie dogoni!

Był jednak tuż obok, nachylił się, schwycił lejce dużą, silną dłonią i zmusił klacz do zwolnienia biegu.

Przeszła w kłus, a w końcu stanęła. Znajdowali się te raz na łące, obok kępy wysokich hikor.

– Zepsułeś mi przyjemność! – zawołała Madeline z płonącymi od pędu i gniewu oczami.

– Mało brakowało, a skręciłabyś sobie kark! – pod niósł głos. Twarz pobladła mu pod opalenizną. – Co w ciebie wstąpiło?!

– Nie wrzeszcz na mnie!

– Nie wrzeszczę. – Wypuścił głośno powietrze. – Zamorduję cię, Madeline, jeśli będziesz porywać się na takie szaleństwa.

Zsiadł z konia i zsadził ją z klaczy porywczym ruchem. Usta miał zaciśnięte w linijkę, oczy gniewne. Zacisnął niemal boleśnie dłonie na jej barkach i potrząsnął nią.

– John! – zaprotestowała zszokowana. – Jechałam galopem jak wiele razy przedtem.

Przewiercał ją wzrokiem i nagle świat wokół niej zawirował, zawęził się do pary srebrzystoszarych oczu. Nieświadomie przycisnęła dłonie do

szerokiej piersi Johna i przesunęła je po koszuli, aż dotarła tam gdzie była rozpięta, i wtedy dotknęła ciepłej, lekko wilgotnej skóry. Coś dziwnego się z nim działo, nowego dla niej, jakby nagle stał się wobec niej bezbronny. Teraz już z rozmysłem wsunęła palce w rozcięcie koszuli i błędziła nimi powoli po jego ciele, wyczuła mocno bijące serce. Drgnął, oczy mu się rozszerzyły, ściągnął gęste brwi i zacisnął dłonie na jej ramionach. Nigdy nie widziała, żeby stracił panowanie nad sobą, ale teraz wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować. Prowadziła niebezpieczną grę i było to ekscytujące.

Przysunęła się bliżej, utkwiała wzrok w jego zmysłowych ustach, palce poczynęły sobie coraz śmielej, przyłożyła dłonie płasko do jego szerokiej piersi. Złapał je w nadgarstkach i wyszarpnął zza koszuli.

– Dość tego! – zaprotestował gniewnie. – Co w ciebie, do diabła, wstąpiło?

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, odgłos silnika zbliżającego się pojazdu odwrócił od niej uwagę Johna.

– Cholerni turyści! – rzucił szorstko, patrząc ze złością na terenowy samochód i siedzące w nim dwie kobiety.

Puścił Madeline, gdy starsza blondynka zatrzymała wóz i z uprzejmym uśmiechem wychyliła się przez otwarte okno.

– Siemanko! – zawołała wesoło.

– Siemanko – odwzajemnił się z rozbawieniem John, mówiąc z wyraźnym teksańskim akcentem.

– Czy to droga do Houston?

– Tylko jeśli planuje się skrócić podróż – wyjaśnił uprzejmie. – To teren rancza Durango.

– Naprawdę? – Duże niebieskie oczy rozszerzyły się, jakby chciały podkreślić wzór chabrów na bluzce kobiety. Powiedziała coś cicho do swojej

towarzyszki i bardziej wychyliła się z okna. – To ranczo Johna Duranga?

– Słyszała pani o nim? – spytał z półuśmiechem.

– Oczywiście! Przeszłam na emeryturę w tym roku, ale dalej śledzę finansowe wiadomości. Kiedy mowa o nafcie, John Durango trafia na okładki. Nie dość, że przystojny, to jeszcze nafcarski potentat!

John zrobił fałszywie skromną minę i zsunął kapelusz na tył głowy.

– Czym pani się zajmowała? – spytał z zaciekawieniem.

– Prawo spółek.

– Trudna dziedzina.

– Niekoniecznie. Tyle że wymaga trochę nauki i sporo praktyki.

Madeline z zapartym tchem obserwowała, jak blondynka dawała się Johnowi omamić.

– Jak pan sądzi, mamy szansę natknąć się na pana Duranga, wracając do autostrady?

– To człowiek, który nie usiedzi w jednym miejscu. Pewnie właśnie baluje ze swoją panią nad basenem. Zwała na mnie całą robotę, a sam zarabia na reputację playboya.

Madeline pochyliła głowę, powstrzymując śmiech.

– Pan tu pracuje? – dopytywała się blondynka.

– Tak, proszę pani, jak wół roboczy, a ten człowiek nawet mi nie płaci.

– Nie powinien mu pan popuścić – ożywiła się wyraźnie. – Ja bym poszła do sądu.

– Mógłbym – zgodził się z nią – gdybym nie był winien mu pieniędzy.

– Pan jemu? – Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia. – Za co?

– A takie tam. Jak za wynajęcie tego konia.

Blondynka wyglądała na zszokowaną. Madeline wbiła paznokcie w dłonie, żeby się nie roześmiać.

– Zmusza pana do płacenia za konia, na którym objeżdża pan jego bydło?

– Nie zbija wielkiego grosza na bydle, to musi sobie to wynagrodzić. – John wzruszył ramionami i kontynuował, jego teksański akcent stał się wyraźniejszy. – Nie dorobiłby się majątku z opłat za konie, więcej wyciąga z hazardu. Co piątek upija nas i wciąga w pokera. I tak jestem mu winien mniej niż reszta. Mam do spłacenia około dwudziestu tysięcy dolarów.

Turystka zachnęła się, a John zapewnił ją z uśmiechem.

– Nie jest tak źle, mogłoby być gorzej.

– Ciekawe jak?

Natychmiast skwapliwie zaspokoił jej ciekawość.

– Mógłby mi kazać spać w baraku z resztą chłopaków. Ma grzechotniki długie na trzy metry i grube jak moja noga. – Klepnął się w udo. – Nie ma takiej broni, z której dałoby się je zabić, jedyne wyjście to je oswoić. Tyle że te gadziny nie lubią mnie tak jak innych chłopaków, dlatego pozwala mi spać w dużym domu.

– Trzymetrowe węże? – Blondynka nabrała podejrzeń. – To taka teksańska legenda?

– Nie, proszę pani – zapewnił ją. – Kłamię tylko wtedy, gdy Wielki John mi poleci. Na przykład gdy ci od podatków wypytują o jego podróż do Europy razem z trzydziestoma pozostającymi na jego utrzymaniu córkami z nieprawego łoża. Najmłodsza ma dwadzieścia lat.

Blondynka zaczęła się śmiać tak, że pociekły jej z oczu łzy. Dołączyły do niej jej towarzyszka i Madeline, która nie musiała dłużej się kontrolować.

– Dzięki za tę wyczerpującą charakterystykę, panie Durango – powiedziała w końcu turystka, zapanowując nad śmiechem, i puściła oczko. – Teraz czytając o panu artykuł w gazecie, będę wspominać, jaki z pana

nikczemnik zmuszający pracowników do wypożyczenia koni.

John wyjął portfel i wręczył jej wizytówkę.

– Mogę potrzebować dobrego prawnika. Jeśli pani znudzi się bycie emerytką, to proszę zadzwonić. – Teraz on puścił do niej oczko. – Jest pani za młoda na emeryturę.

Madeline miała ochotę go uściskać, gdy zobaczyła, jak pojaśniała twarz kobiety.

– Dziękuję – padło wypowiedziane ze szczerego serca. – A teraz proszę mnie skierować na właściwą drogę do Houston.

Kiedy odjechały, John dosiadł konia i poczekał, aż Madeline zrobi to samo, a potem skierował się do obory, gdzie jego medalowe byki były trzymane w królewskich warunkach. Miały klimatyzację, a w zimie ogrzewanie.

– Ty nikczemniku – mruknęła Madeline, chcąc rozproszyć ponury nastrój, w który popadł po odejście turystek

Nawet na nią nie spojrział.

– Jaki był twój ojciec? – spytała nieoczekiwanie.

– Dlaczego pytasz?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Nigdy o nim nie mówisz. Po prostu się zastanawiałam.

Odwrócił głowę i zapatrzył się w horyzont.

– Mało elastyczny, surowy, zdyscyplinowany i zdeterminowany. W dzieciństwie zaznał biedy i usilnie chciał pokazać całemu światu, że potrafi zdobyć pieniądze. Robił karierę, służąc w piechocie morskiej, zanim kupił Big Sabine i zaczął szukać nafty. Początkowo nie przynosiło to wielkich zysków, ale inwestowaliśmy starannie, dokupiliśmy ziemi i odnieśliśmy sukces.

– A twoja matka? – spytała ostrożnie.

– Umarła przy porodzie.

– Och... – Madeline zapatrzyła się w czerwonawe byki, widoczne w pobliżu obory. – Ranczo zostało nazwane na cześć bitwy, tak? zmieniała temat.

– Pod Sabine Pass. Ojciec się tam urodził. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku siły Unii próbowały najechać Teksas przez tę przełęcz. Dwóch poruczników, Richard Dowling i N. H. Smith, broniło fortu z czterdziestoma dwoma ludźmi tak skutecznie, że wojska Unii więcej nie pojawiły się w okolicach przełęczy.

– Zgaduję, że ojcu spodobała się ta opowieść?

– Tak, myślę, że do niego przemówiła – odparł po namyśle John. – Jedyne, co go nie pociągało, to ojcostwo. Przez pierwsze dwadzieścia jeden lat mojego życia obwiniał mnie o śmierć matki. Dobrze było tylko to, że zostawił mnie z wujem na czas służby wojskowej.

Przyglądała się jego surowemu profilowi z zastanowieniem. Była go ciekawa w całkiem nowy sposób – chciała wiedzieć, co go ukształtowało.

John zsiadł z konia, oparł nogę o najniższy szczebel płotu i wsparty na ramionach, obserwował wielkiego byka, stąpającego po przeznaczonym specjalnie dla niego pastwisku. Madeline dołączyła do Johna i zerkając na tego silnego, dużego mężczyznę, pomyślała, że jako dziecko musiał być ogromnie samotny.

Dobrze było stać tak blisko niego... pewnie z powodu lekkiego chłodu, powiedziała sobie w duchu, ponieważ biło od niego ciepło. Ogarnęła go wzrokiem: długie, silne nogi, szeroka klatka piersiowa, muskularne ramiona, lekko owłosione przedramiona, duże dłonie o długich palcach, dobrze utrzymane paznokcie.

– Zamierzasz zacząć malować mój portret? – spytał z wymówką w

głosie. – Uwieczniasz mnie sobie w pamięci?

– Po prostu o czymś myślałam. – Odwróciła oczy i spojrzała na byka.

– O czym? – drażył. – O następnej ofierze morderstwa?

To był pierwszy sygnał, że topnieje lodowiec, w który John się zamienił.

Madeline odwzajemniła jego spojrzenie z ostrożnym uśmiechem.

– Och, nie – zapewniła go uspokajającym tonem.

– Tylko o wyrafinowanych narzędziach zbrodni i makabrycznych szczegółach.

Roześmiał się i pochylił głowę, przypalając papierosa.

– Kto zostanie wyeliminowany tym razem?

Zerknęła na niego.

– Myślę, że uśmiercę detektywa.

– Twoi fani powieszają cię na pierwszym lepszym drzewie.

Objął wzrokiem falujące, splecione złocistorude włosy, połyskujące w porannym świetle, zarumienione policzki, błyszczące zielone oczy i stwierdził:

– Nie wyglądasz na osobę o morderczych instynktach.

– Zawsze lubiłam kryminały. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – Chciałam zostać policjantką, ale byłam zbyt zajęta dostarczaniem wiadomości dla gazety.

– Brakuje ci tego? – spytał szczerze zaciekawiony.

– Reporterki? – Pomyślała, jak odległe wydają jej się czasy, kiedy pełniła funkcję reportera w gazecie ukazującej się w niewielkim mieście. – Sama nie wiem. Czasem oddałabym wszystko, żeby do tego wrócić. Było to nieskomplikowane w porównaniu z tym, co robię teraz. Nie musiałam niczego wymyślać, tylko relacjonowałam.

– Nie przypuszczałem, że trudno obmyślić nowe sposoby zabijania



ludzi – zażartował.

– Rywalizacja jest zaciekle, a ja jestem nowa w branży. Muszę dać z siebie wszystko, inaczej będę bezrobotna.

– Podoba mi się twoja ostatnia książka, a bohater ma pewne... znajome mi cechy.

Zaczerwieniła się, przypominając sobie postać detektywa z *Wieży wiertniczej*. Miał szerokie barki, krótko przystrzyżony wąsik, lubił szkocką whisky i używał wszelkich urządzeń, dopóki się nie rozpadły.

– Chcesz mnie podać do sądu?

– Nie. Za bardzo mi to pochlebia. – Nasunął kapelusz głębiej na oczy i zmierzył ją wzrokiem. – Zresztą główna bohaterka przypomina ciebie.

– Naprawdę?

Do tej pory nie zdawała sobie z tego sprawy. Napotkała jego baczne spojrzenie i poczuła się nieswojo.

– Dlaczego uciekałaś, puszczając się galopem? Czy chodziło o to, co powiedziałem? Że jestem niewyspany? Myślałaś, że spędziłem noc z Melody?

Czytał w niej jak w otwartej księdze! Powinna mieć się na baczności.

– Chciałam jechać szybciej, nic więcej.

– Naprawdę?

Przybliżył się, a długi palec jakby niechcący wkradł się pod dekolt w kształcie litery V, ześliznął aż do szczytu drobnego biustu Madeline, rysującego się pod cienkim materiałem. Nie nosiła biustonosza, a po wyrazie twarzy Johna zorientowała się, że to odkrył.

Efekt tej lekkiej pieszczoty uwidocznił się natychmiast, srebrzystoszare oczy przylgnęły do dwóch nabrzmiąłych pod lekką bawełnianą bluzką wypukłości. Podniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy Madeline. Chciała uciec

od tego wzbudzającego podniecenie dotknięcia, ale przesunął dłoń na jej plecy i przyciągnął ją do siebie.

– Nie, skarbie, nie dlatego... – zapewnił ją cichym głosem i przyłożył drugą rękę płasko do nasady jej szyi.

Ciepła, szeroka dłoń dotknęła szczytów piersi Madeline. Gest pozornie niewinny, a pełen intymności.

– John, co ty robisz? – spytała piskliwie i złapała go za ramiona, chcąc od siebie odepchnąć.

– A na co to wygląda? – odparł zduszonym głosem.

– Przystawiam się do ciebie. Jak to odczuwasz?

Jak? Jakby ją rozebrał i dotykał jej nagiej skóry. Fascynujące, a zarazem wzbudzające obawę.

– Nigdy dotąd mnie nie dotykałeś – wyszeptała Madeline.

– Przecież nie chciałaś – przypomniał jej John, przesuwał dłonie na jej pośladki i przyciągając ją do siebie.

O dziwo, nie zaprotestowała.

– Wczorajszego wieczoru byłaś tak zazdrosna o Melody, że straciłaś zdrowy osąd sytuacji. Jakby rzeczywiście było o co... Chodź do mnie...

Pochylił głowę i dotknął ustami jej warg, domagając się, by je rozchyliła. Pozwoliła, aby ją smakował. Poczowała jego język pieszczący wnętrze ust, dłonie wsuwające się pod bluzkę, gładzące jej plecy.

Zadrzała. Jęk wymknął się z jej gardła, nieświadomie wbiła paznokcie w jego ramiona. Ciało miał gorące, lekko wilgotne, pachniał papierosowym dymem, skórzaną uprzążą, kosztowną wodą kolońską. Niewiarygodne, dać mu się tak namiętnie całować, przytulać się do niego intymnie w pełnym świetle dnia...

– Całuj mnie – zażądał. – Chciałaś mnie dotykać, więc zrób to teraz. Nie

wycofuj się, do diabła!

Ponaglenie podziałało na Madeline jak kubek zimnej wody. Zniknęło podniecenie i pragnienie. Spojrzała na jego zmienioną pożądaniami twarz, w osrebrzone oczy, jawnie głodne jej ciała. Zaszokowało ją to, wróciła jasność myślenia.

– Nie – wyszeptała z niedowierzaniem. Usta paliły ją od pocałunku, nogi miała jak z waty. – Nie.. jesteśmy... tylko przyjaciółmi...

Ujął jej dłoń i przycisnął wewnętrzną stroną do swojej piersi. Serce waliło mu jak młotem. Ciężko oddychając, popatrzył badawczo na Madeline.

– Tak? Czujesz, co ze mną robisz? Od początku tak na mnie działałaś. Przyjaciele? Jak jasna cholera!

Wyszarpnęła się z jego objęć, próbując odzyskać kontrolę nad ciałem.

– Nie powinnam była na to pozwolić. To nie powinno się zdarzyć.

– Ale się zdarzyło.

John przesunął pożądlivym spojrzeniem po ciele Madeline, przylgnął wzrokiem do jej biustu, pierś zaczęła mu podnosić się i opadać w urywanym oddechu.

Z cichym okrzykiem przerażenia odwróciła się i podbiegła do klaczy. Nie, pomyślała, nie z Johnem, jedynym mężczyzną, któremu ufała.

– Madeline! – krzyknął za nią.

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami znad końskiego grzbietu.

– Już od tego nie uciekniesz, za późno – powiedział cicho, oczy miał wciąż pociemniałe.

– Nie, nie – zaprzeczyła urywanym głosem. – Nie zobaczę się z tobą więcej, John.

– Zobaczysz – zapewnił ją łagodnie. – Ani mnie, ani tobie nie wystarczy przyjaźń.

Zawróciła klacz i zmusiła ją do galopu. Wiatr rozwiewał jej włosy i chłodził policzki. Nigdy, postanowiła, ale jej usta na przekór jej samej zachowały wspomnienie jego warg i przyjemności, którą jej dały. Musiała przyznać, że miał rację.

TTLR

TTLR

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Reszta dnia upłynęła Madeline na zastanawianiu się, jak to możliwe, że tak gwałtownie zmieniły się jej relacje z Johnem. Dziwiła ją jej własna reakcja, pragnienie, które w niej wzbudził. Do tej pory uważała, że po bolesnych doświadczeniach, które stały się jej udziałem podczas trwania związku z Allenem, stała się oziębła, nieczuła na pokusy. Zapatrzyła się na krople deszczu, rozpryskujące się o szyby. Dawno nie wracała myślą do Allena.

Poznała go dwa lata temu, uczestnicząc w warsztatach dla pisarzy. Był architektem, marzył o napisaniu powieści, a Madeline zachęcała go do tego. Niestety, miał większe ambicje niż talent. Próbowala mu pomóc i nie spostrzegła, kiedy się w nim zakochała. Zachęcał ją, nadskakiwał jej, obiecywał wieczne szczęście i gwiazdkę z nieba. Adorował ją wytrwale i skutecznie. Uległa i następnego ranka przebudziła się ze wspomnieniem dyskomfortu, ale i z nadzieją na kolejne, lepsze noce. Wkrótce znalazła się na krawędzi. Allen wyjawiał, że żona złapała go w pułapkę, ma synka, błaga o wybaczenie, pragnął jej, ale nie miał pojęcia, że jest dziewczyną.

Wstała od komputera i zaczęła krążyć po pokoju. To był najgorszy dzień w jej życiu, a mimo to przyjęła gorączkowe wyjaśnienia z godnością i spokojem. Odprowadziła go do drzwi, zamknęła je za nim bez słowa, zrobiła sobie kawę, zasiadła do komputera i przez cały dzień szaleńczo stukała w klawiaturę. Potem wypila kilka drinków i w środku nocy wybrała się na spacer w ulewnym deszczu. Ocknęła się przy gmachu opery, daleko od domu, nie pamiętała, jak się tam znalazła.

Przecinała jezdnię, gdy doszedł ją pisk hamulców. Wysoki mężczyzna w wieczorowym ubraniu i białym stetsonie wysiadł z rolls-royce'a i zaczął ją besztuć. W ten sposób przedstawił się jej John Cameron Durango, który nagle zamilkł w środku tyrady i ostrożnie usadowił ją na przednim siedzeniu eleganckiego samochodu. Zabrał ją do swojego penthouse'u, zmusił do przebrania w suche rzeczy, napił dobrą kawą i chodził z nią w kółko, aż się zmęczyła, a potem położył ją do snu. Taki był początek ich dziwnej i pięknej przyjaźni. Z czasem odkryli, jak dużo ich łączy, i doszli do tego stopnia zażyłości, że zdanie, które zaczęło jedno z nich, kończyło drugie. Niejednokrotnie zastanawiała się, jak by to było, gdyby ją pocałował. Teraz wiedziała aż za dobrze, jak to jest, gdy ona pożąda Johna.

Przysięgła sobie, że nie pozwoli żadnemu mężczyźnie na taką bliskość jak Allenowi. Podjęła tę decyzję, kierując się lękiem przed ponownym zranieniem. Coraz jaśniej zdawała sobie sprawę z tego, że nie potrafi trzymać Johna na dystans. Oboje byli jednakowo uparci, ale on przy swoich trzydziestu dziewięciu latach miał nad nią, dwudziestoosmiolatką, przewagę zebranego doświadczenia. Oboje kochali i choć w różny sposób, doświadczyli straty. Madeline nie знаła go z okresu, gdy żyła Ellen, jego żona. Po jej śmierci widywano go z kolejnymi kobietami. Zmieniło się to od ponad roku, a nawet dłużej.

Ostatnio stał się wybredny, jakby zaczęła mu przeszkadzać opinia playboya. Plotkowano na temat tej odmiany, podejrzewano, że kryje się za tym jakaś kobieta. John starannie chronił życie prywatne, dostęp do tej sfery miała tylko Madeline, ale wieloma rzeczami się z nią nie dzielił. Zawsze była ciekawa jego związków z kobietami i małżeństwa, ale nie pytała. Nie była pewna, czy spodobałyby się jej odpowiedzi.

Podskoczyła na dźwięk telefonu. Czyżby John tak szybko zaczął szukać

z nią kontaktu? Odebrała połączenie, dłonie jej drżały, przez myśl przebiegały urywkowe obrazy.

– Halo..? – wyszeptała z wahaniem.

Rozległ się śmiech po drugiej stronie linii, głos był znajomy, ale nie tak niski, jak oczekiwała.

– Kogo się spodziewałaś? – spytał Donald Durango. – Powiem kuzynowi Johnowi, że ma rywala.

– Cześć, Donald. – Szybko odzyskała równowagę.

– Co słychać?

– W porządku. Znikłaś tak nieoczekiwanie, że nie zdążyłem powtórzyć zaproszenia na kolację. Kazałem Maisie przygotować stek w pieprzu i placek z gruszkami – dodał kuszącym tonem.

Spojrzała na zalane deszczem szyby.

– Sama nie wiem. Na dworze jest paskudnie i zapowiadają silne burze.

– To prawdziwy powód? – prowokował ją. – A może chodzi o to, że John Wspaniały zapieniłby się, gdyby wiedział, że spędzasz wieczór u mnie?

– Nie bądź głupi – wypaliła. – Nie boję się Johna, a on nie może mi narzucać, z kim mam się spotykać.

– Ale chciałby, zwłaszcza jeśli chodzi o moją skromną osobę.

– Rzeczywiście nie potrafi się do ciebie przekonać. Nie widzi w tobie żywej inteligencji i wdzięku, które ja doceniam.

– Trochę w tym mojej winy – przyznał z westchnieniem Donald. – Za często przebywałem z Ellen. Zmienił się po jej śmierci... Co z tą kolacją? – spytał obcesowo.

Wzmianka o żonie Johna sprawiła przykrość Madeline. Wiedziała, że była jego sympatią jeszcze w szkole, ich ślub miał w sobie coś z bajki o księciu i Kopciuszku.



- Kolacja? – mruknęła z roztargnieniem. – Czemu nie?
- Przyjadę po ciebie – zaproponował. – Wpół do szóstej?
- Świetnie, do zobaczenia.

Rozłączyła się i zapatrzyła w telefon. Miała świadomość, że John nie pochwaliby przyjęcia zaproszenia Donalda, ale miała przecież swoje życie, nie uległa mu wzorem innych kobiet. Tyle że jej ciało wciąż wibrowało na wspomnienie jego dotknięć i pocałunku.

– Daj mi spokój, pozwól mi pracować – powiedziała na głos. Nawet nieobecny, John ją prześladował. Czego jeszcze mogła się po nim spodziewać?

Z czarnego, zasnutego chmurami nieba lały się potoki deszczu.

– Cieszę się, że po mnie wpadłeś – przyznała Madeline, siedząc w samochodzie Donalda.

Na chwilę odwrócił blond głowę, odrywając wzrok od drogi. Chłopięcy uśmiech rozjaśnił mu twarz i niebieskie oczy.

– Nie wątpię. Nie najlepsza pogoda, żeby czerpać przyjemność z jazdy.

Oparła się wygodnie o siedzenie, czarne spodnium seksownie przylgnęło do jej szczupłego ciała.

– Zabawne, że ty masz lincolna, a John ferrari. Biorąc pod uwagę wasze osobowości, powinniście się zamienić.

– John tylko gra konserwatywną osobę, moja droga. Natomiast ja jestem konserwatywny. Nasze samochody pasują do nas znakomicie. Twoja uwaga świadczy o tym, że nie znasz tak dobrze kuzyna Johna, jak ci się wydaje.

– Przesada – mruknęła pod nosem i nagle przypomniała sobie pocałunek z całą ostrością, która zburzyła spokój jej umysłu.

– Młoda damo, tłumisz swoje potrzeby, to twój problem – powiedział lekkim tonem, jakby czynił zwyczajną uwagę. – Potrzeba ci mężczyzny.

Zrobiła niezadowoloną minę, dając Donaldowi do zrozumienia, że nie w smak jej ta obcesowość.

– Wypchanego czy zakonserwowanego?

Roześmiał się, wymijając autem wielką kałużę pośrodku pasa ruchu.

– Pisarze...

– Artyści... – odwzajemniła się ze śmiechem. – Nad czym teraz pracujesz?

– Szykuję obrazy na wystawę – odparł. – Prawdę mówiąc, dlatego cię zaprosiłem. Chciałbym, żebyś pomogła mi wybrać dwadzieścia najlepszych płócien. Moje ulubione zniosłem z mieszkania nad garażem, które służy mi za pracownię, i ustawiłem w pokoju dziennym rezydencji, żebyś mogła się do nich odnieść.

– Pochlebiasz mi. Czuję się zaszczycona.

Spojrzał na nią przelotnie.

– Słusznie. Na ogół nie pozwalam ludziom oglądać swoich prac, zanim ich nie wystawię.

– Nie rozumiem, dlaczego tak intensywnie pracujesz. Istotnie jesteś bardzo utalentowany, ale też obrzydliwie bogaty.

– Lubię rozdrapywać rany – rzucił nonszalancko.

– John się wścieknie, bo wystawiam w banku, w którym jest głównym udziałowcem – dodał z szerokim uśmiechem.

Madeline roześmiała się. Wyobraziała sobie wściekającego się Johna. Nie wchodziła tutaj w grę kwestia, czy lubił sztukę. Natomiast zdecydowanie nie lubił czuć się zmuszonym do okazywania uprzejmości kuzynowi, a nawet najważniejsza w Durango Oil osoba nie mogła pozwolić sobie na wszczęcie awantury w holu konserwatywnego banku. To by zaszkodziło interesom.

– Ty i John zachowujecie się gorzej niż biznesowi rywale w tym

znanym i lubianym telewizyjnym serialu – zarzuciła mu. – Nie wzorujesz się na nim przypadkiem?

– Skoro o tym wspomniałaś, to przyznaję, podłapałem jeden czy dwa pomysły.

– Cóż, wygląda na to, że ja powinnam też coś podłapać od tej uroczej damy, która zawsze rozładowuje sytuację.

– Proszę bardzo, złotko – zażartował – tylko nie wsadź palca między drzwi.

– Nigdy – zapewniła go z roztargnieniem, patrząc na błyskawice rozdzierające niebo na horyzoncie.

Robi się groźnie. Ostatnio burze z piorunami jak te, które teraz mamy, poprzedziły tornado.

– Nie ma takiej opcji – uspokoił ją. – To tylko parę błyskawic.

Skręcił na rogu ulicy i skierował samochód między dwa kamienne słupy, które wyznaczały początek długiego podjazdu do posiadłości. Zatrzymał się przed frontem rozłożystego domu z cegły i zgasił silnik.

– Mam ci przynieść parasol czy zaryzykujesz zniszczenie wypracowanej fryzury, skrytej pod tym małym zachwycającym kapelusikiem?

Dotknęła z uśmiechem róna beżowego przeciwdeszczowego kapelusza, pasującego do jej płaszcza.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, rzucę się sprintem do drzwi. Parasolki wywracają się na drugą stronę albo niespodziewanie same otwierają w samochodach.

– Wedle życzenia. W takim razie startujemy!

Kolacja była wspaniała. Maisie, pulchna i niska, krzątała się przy nich, ustawiając półmiski, napełniając filiżanki z kawą, sprząając puste talerze – a

wszystko tak naturalnie i jakby mimochodem, że jej obecność nie przeszkadzała w prowadzeniu luźnej, niespiesznej rozmowy.

Po posiłku Madeline krążyła w ślad za Donaldem po pokoju dziennym, ze skupieniem oglądając zachwycające pejzaże, w których się specjalizował.

Delikatna pastelowa kolorystyka, rozmyte kontury, baśniowość i to, co stanowiło o ich wyjątkowości – emanowała z nich ulotność, iluzoryczność. Madeline miała jego obraz, wisiał na eksponowanym miejscu nad kominkiem. Gdy dopadały ją niepewność i zdenerwowanie, żałowała, że nie może znaleźć się w tym hipnotyzującym spokojem pejzażu.

– Dziwne – mruknęła na poły do siebie, przyglądając się altanie namalowanej w ogrodzie różanym – jak twoje obrazy tchną spokojem, podczas gdy ty jesteś od niego daleki.

– Wszyscy potrzebujemy czasem wyciszenia – odpowiedział.

Uniosła płótno.

– Zdecydowanie to i... och!

Wzdrygnęła się, gdy rozbłysła błyskawica, a zaraz potem pokój pograżył się w mroku i w pobliżu huknął grzmot. Omal nie upuściła płótna z wrażenia. Wokół zapanowały egipskie ciemności.

– Co się stało? – spytała niepewnie.

– Pewnie linia wysokiego napięcia została uszkodzona – wyjaśnił Donald.

Płótno stuknęło o podłogę, zaszurały przestawiane sztalugi, krzesło przewróciło się przy akompaniamencie stłumionego przekleństwa.

– Miałem tu gdzieś latarkę... Aha, jest! Zaraz ją zapalę i... Jasna cholera!

– Rozległo się metaliczne pobrzękiwanie. – Nie ma baterii – wyjaśnił.

Madeline usłyszała głuchy odgłos upuszczonego przedmiotu.

– Może świece? – zasugerowała.

– A i owszem, mam dwie, powinny stać dokładnie tutaj, gdzie w tej chwili jestem.

– No to je zapal! – wykrzyknęła, krzyżując ramiona i przyciskając je do piersi, przejęta nagłym chłodem i przestraszona ciemnością.

– Czym? – spytał uprzejmym tonem.

– Zapalką, głupku!

– Nie palę.

– To potrzyj o siebie dwie sztalugi i wykrzesz ogień – rzuciła ze złością.

– Wykaż się kreatywnością.

– Podejdz tu i pocałuj mnie, a cały ten pokój zapłonie – powiedział Donald i roześmiał się nieco sztucznie.

Śmiech Madeline zabrzmiał niepewnie.

– Aha, i wtedy...

W tym momencie zapaliło się światło, a ona odetchnęła z ulgą.

– Szybko się uporali. – Donald rozcierał kolano.

– Nienawidzę Houston na wiosnę. Wysoka wilgotność i ulewy są okropne, ale burze wręcz przerażające.

– Amen. Wróćmy do pracy, moja droga.

Tydzień minął, dłużąc się niemiłosiernie, jedyną sensowną rzeczą, do której zrobienia Madeline się zmusiła, było ustalenie terminu spotkania ze znajomym policjantem. Chciała zdobyć więcej wiedzy na temat narkotyków – środowiska dilerów, kryminogennych czynników, zgonów i morderstw – aby zacząć pisać następną powieść sensacyjną.

Miała szczere chęci, ale jej umysł samowolnie zbaczał z obranego tematu i przywoływał na pamięć to, co czuła w objęciach Johna: nacisk rozgrzanego ciała, smak ust, zaborczy pocałunek. Zastanawiała się, jak by to było rozpiąć mu koszulę, dotykać go, jak tego pragnęła, poddać mu się bez

zastrzeżeń, odwzajemniać pocałunki. Wciąż nie rozumiała, co się z nią dzieje i dlaczego prześladują ją te obrazy, za to zdawała sobie sprawę z tego, że powoli podkopują jej silną wolę i dumę.

Piątek ciągnął się do granic wytrzymałości, co chwila rzucała wściekle spojrzenie na telefon, jakby winiła go o to, że milczy. Może John wyjechał z miasta? A może, co gorsza, w ogóle nie zamierzał do niej zadzwonić? Powiedziała, że nie chce go więcej widzieć, ale przecież nie mógł wziąć tego na serio. Po raz kolejny spojrzała na telefon i wzięła go do ręki. Po minucie zdecydowała się wybrać numer rezydencji Johna, nienawidząc się za własną słabość. Musiała jednak wiedzieć, czy wciąż ze sobą rozmawiają. Odebrał Josito.

– Dzień dobry, *señorita* – powiedział, a w jego głosie wyczuła lekkie zdziwienie.

– Dzień dobry, Josito. – Odchrząknęła. – Czy John jest w domu?

– *Si* – odpowiedział niepewnie.

– Nie wyjechał z miasta ani nigdzie? – spytała nieco bezsensownie.

– Nie, *señorita*, jest na ranczu. Na pewno do pani telefonował.

– Nie – zaprzeczyła. – Nie dzwonił. Gdzie on jest?

Roześmiał się z rozbawieniem.

– Nie uwierzy pani.

– Aż tak źle? Josito, jeśli mi powiesz, ja ci zdradzę, kto zostanie dźgnięty nożem w kontynuacji *Wieży wiertniczej*. – Postanowiła go przekupić, wiedząc, że jest jej zagorzałym fanem.

– Naprawdę mi pani powie? – Roześmiał się, a Madeline wyobraziła sobie jego rozjaśnioną twarz. – Jest nad rzeką, pomaga ludziom przy sianie.

– John? – spytała z niedowierzaniem. – Przecież nienawidzi pracować przy sianokosach, już raczej wolałby tłuc kamienie przy drodze i... – Urwała.

– A właściwie dlaczego im pomaga? Przecież ma prasę belującą, do jej obsługi potrzeba paru osób.

– Urządzenie nie działa – padła podszyta rozbawieniem odpowiedź.

– Znowu? Założę się, że reperujący tę maszynę mechanicy wyczerpali zasób, nazwijmy to, słów, którymi ją określają. To co on właściwie robi? Formuje wielkie okrągłe bele?

Josito westchnął ciężko.

– Nie. Jak zwykle robi to starą metodą.

– W takim razie koniecznie muszę to zobaczyć. Nad rzeką, tak?

– *Si señorita*. Teraz proszę mi powiedzieć, kogo dźgną nożem – zażądał stanowczo Josito.

– Ragginsa. – Roześmiała się, słysząc, jak wziął głęboki oddech. – No cóż, drań zasłużył sobie na to, nie sądzisz?

– Och, *si!* Z pewnością!

– Też go nie lubię – przyznała. – Jak można cieszyć się z morderstwa? Złe się dzieje w świecie, realnym czy nie, jeśli czyni się rozrywkę z tragedii.

– Takimi rzeczami zajmują się filozofowie, *señorita*.

– Zachichotał. – Ja raczej nie.

– Pojadę zobaczyć się z Johnem. Mam nadzieję, że nie jest w złym nastroju – spróbowała go wybadać.

– Ponury i wściekły, *señorita*. Jedyna nadzieja, że któregoś dnia to się zmieni. To bardzo zniechęcające spędzić mnóstwo czasu na przygotowaniu wspaniałego sufletu, a potem patrzeć, jak ląduje w zupie tylko dlatego, że nieznacznie opadł.

– Nie zrobił tego!

– *Si*, zrobił. A następnie wylał kawę do figowca, bo była za słaba.

– Biedny figowiec.

– Ja biedny. *Señorita Vigny*, jeśli potrzebuje pani ofiary do następnej książki... – Zawiesił głos.

– Przecież nie chciałbyś, żebym uśmierciła najlepszego przyjaciela – podjęła jego żart.

– Nie jest niczym przyjacielem, jak ma taki nastrój. – Josito nagle stracił humor. – Prowadzenie interesów musiało stać się naprawdę wyczerpujące, skoro stał się tak nieprzyjemny.

– Zobaczę, czy nie uda mi się wprowadzić go w lepszy nastrój, to by ci trochę pomogło. Dziękuję, Josito.

Zatrzymała się po drodze i kupiła w sklepie monopolowym dwa sześciopaki piwa. Było piekielnie gorąco, prawie jak w lecie, słońce stało wysoko. John nie pracował sam, a o ile dobrze pamiętała tradycyjne sianokosy, jego ludzie powinni być wdzięczni za coś zimnego do picia.

Uformowane w schludne żółtawe bele siano ustawiano w długich rzędach na polu w takich odstępach, aby pomiędzy mogła wjechać ciężarówka z platformą. Posuwała się powoli, a skupieni przy niej mężczyźni podnosili bele i ładowali je na platformę. Długi, zmudny proces, ciężka praca nie do porównania z użyciem specjalistycznej maszyny, która jednocześnie zwijała siano w bele i je ładowała. John miał taką. Dziesięcioletnią, mocno wysłużoną i właściwie nadającą się na złom, ale nie zamierzał jej wymieniać na nową, dopóki mechanik potrafił ją naprawić.

Dotarła na miejsce przeznaczenia i zobaczyła w pobliżu rzeki dwóch mężczyzn o czerwonych twarzach, usiłujących zmusić zepsutą maszynę do pracy za pomocą narzędzi i przekleństw. John i co najmniej połowa jego ludzi podążali za wielką ciężarówką z platformą i ładowali na nią bele. Nad horyzontem zawisły burzowe chmury i Madeline nagle zrozumiała, dlaczego aż tylu pracowników znalazło się w jednym miejscu. Musieli zdążyć zwieźć



siano przed deszczem.

Zaparkowała żółtego volkswagena przy początkowym rzędzie i zgasła silnik. Policzyła pracowników i stwierdziła, że piwa akurat wystarczy.

John nie od razu ją dostrzegł, ale kiedy zauważył, natychmiast ruszył prosto w jej kierunku. Szedł nagi do pasa, owłosiona pierś i płaski brzuch, pokryte opalenizną i mokre od potu, wyglądały jak odlane z brązu. Czarny zniszczony kapelusz nasunął na oczy, idąc zdejmował grube robocze rękawice. Twarz miał posepną jak niebo na horyzoncie.

Otworzył drzwi po stronie pasażera i usiadł, z trudem umieszczając długie nogi w ciasnym wnętrzu niewielkiego samochodu. Przerzucił ramię przez oparcie siedzenia i na w pół odwrócony, popatrzył na Madeline.

– Cześć – powiedziała nerwowo, skrepowana jak nigdy dotąd w jego towarzystwie.

– Cześć – rzucił i zabrzmiało to szorstko. – Co tutaj robisz?

Przyglądała się twarzy Johna i znów napłynęło wspomnienie pocałunku, smaku jego warg, mięsiec wąsów po jej delikatnej skórze i rozplómiętych pożądaniem oczu.

– Zbieram materiał do kolejnej książki. – Pokazała na puszki. – Zatrute piwo. Szukam ochotników, którzy umożliwią mi obserwowanie morderczego działania.

Wpatrywał się w Madeline, jakby nie widział jej od wieków.

– Pewnie paru znajdziesz. – Wziął powolny, głęboki oddech, zdjął kapelusz i przesunął przedramieniem po czole, ocierając pot. – Ależ dziś gorąco...

– Chcesz piwa? – spytała, sięgając po oszronioną długą puszkę.

– Nie – odparł cicho. – Przynajmniej nie teraz. Nie lubisz smaku piwa, prawda?

Skinęła głową i patrząc w jego ciemniejące oczy, poczuła, że jej ciało przebiega dreszcz. Upuścił kapelusz na podłogę auta i nachylił się, wpatrzony w jej pełne, rozchylone usta.

– Najpierw cię pocałuję – szepnął. Ujął w dłonie jej głowę. – Tylko o tym myślałem przez ostatnie dni – wyznał.

Wsunęła palce w jego gęste włosy i skierowała wzrok na zmysłowe usta.

– Bałam się, że... będziesz niezadowolony – wyszeptała niepewnie.

– Nic nie mów – poprosił ochryple i rozchylił jej wargi.

Madeline mimowolnie jęknęła i przywarła do Johna.

– Mój Boże... chciałaś tego tak samo jak ja...

Językiem i wargami zaczął pieścić usta Madeline, a ona ponownie jęknęła, czując, jak w jej wnętrzu budzi się pragnienie intymnej bliskości. Wąsy łaskotały jej skórę, język powoli przesunął się za zęby, aż wdarł się do środka ust. Poczowała, że John zsunął dłoń z szyi na pierś, obrysował palcami jej krągłość przez cienki materiał żółtej sukienki, którą miała na sobie, a potem przesunął palce wzdłuż dekoltu.

Nie przestawał jej całować namiętnie, zaborczo, miłosne lekkie ukąszenia doprowadzały ją do szaleństwa. Palce błądzące po wrażliwej skórze odsłoniętej przez głęboki dekolt rozpalały ją coraz mocniej.

– Nie mogę cię całować w ten sposób na oczach moich ludzi – wyszeptał tuż przy jej zaczerwienionych, nabrzmiałych ustach. – Czy tego chcesz, Ruda? Czuć moje dłonie na swojej nagiej skórze?

– John...

Wtulila twarz w zagłębienie jego szyi, łzy napłynęły jej do oczu z nadmiaru silnych emocji. Położyła dłonie na jego piersi i przesuwała je, rozkoszując się doznaniem, jakie wzbudzała w niej twarda męska pierś.

W odpowiedzi John zamknął ją w muskularnych ramionach, a Madeline przywarła do niego, drżąc i na próżno próbując odzyskać kontrolę nad rozhuśtanymi emocjami. Niemal bolesne pragnienie, którego nie rozumiała, ogarnęło całe jej ciało.

– Nie powinienem był tego robić – wyszeptał jej do ucha. – Za bardzo oboje tego chcieliśmy.

Odsunęła się trochę, oczy miała szkliste od łez.

– Czuję się dziwnie – przyznała.

– Ja też. Od dawna nie zareagowałem tak instynktownie, tak impulsywnie. Chyba od czasów pierwszych doświadczeń. Nie tylko ty zapłonęłaś.

Madeline zajrzała w rozjarzone srebrzyście szare oczy.

– Tęskniłam za tobą – wyznała spontanicznie,

– Wiem. Ja też za tobą tęskniłem. – Z czułością odsunął zabłąkany kosmyk z jej policzka. – Bałem się, że wystraszyłem cię na dobre i nie miałem najmniejszego pojęcia, jak mogę to naprawić.

Dotknęła jego pięknie wykrojonych zmysłowych ust, obrysowała ich kontur, przesunęła kciukiem po wąsach. Podniecało ją to, że może go pieścić, a on nie odsuwa jej ręki ze złością.

– Zgolę je, jeśli mi każesz – powiedział.

Poczuła pod palcem, jak poruszają się jego usta.

Przecząco pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Lubię je. – Uśmiech stał się łobuzerski. – Być może nawet sama chciałabym je mieć. Wiesz, takie staroświeckie, z końcami podkręcanymi do góry. Przyklejałabym je na specjalne okazje.

– Nie przy mnie – zaprotestował stanowczo. – Nie podoba mi się pomysł, że to ty miałabyś nosić spodnie, Ruda.

– Ty staroświecki szowinisto – odparła najbardziej pogardliwym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Uwielbiała się z nim drażnić.

– Masz wspaniałe nogi – oświadczył, kompletnie ignorując jej uwagę. Przesunął wzrokiem po jej sukience aż do nagich łydek.

– Ty też – odwzajemniła komplement.

– Nie zapomniałaś, jak mnie wycierałaś gąbką, co?

– Tak. Są umięśnione i owłosione. Większość mężczyzn ma blade, niewyćwiczone nogi, a twoje są opalone i wyglądają tak, jak powinny u mężczyzny.

– Co za wyznanie... – Przez twarz Johna przemknął filuterny uśmieszek, a w oczach pojawił się przelotny błysk. – Zauważyłaś, że w ogóle mam ciało. No, no, nigdy bym nie pomyślał.

– No cóż, trudno go raczej nie zauważyć – odcięła się.

Ujął w palce złocistorude, jedwabiste pasmo i delikatnie pociągnął, przybliżając twarz Madeline do swojej. Oczy miała szeroko otwarte, usta lekko nabrzmiałe od pocałunków.

– Pocałuj mnie – zażądał impulsywnie i pochylił głowę, biorąc w posiadanie jej usta.

Madeline zarzuciła mu ramiona na szyję i zamknęła oczy, rozkoszując się zmysłowym, ale już nie tak gwałtownym, niespiesznym pocałunkiem. Niczym nie zagrażał jej ten pocałunek, nie było w nim przerażającej ją wciąż namiętnej pasji – tylko czuła pieśczoła.

Odsunął się od niej z lekkim uśmiechem.

– Masz ochotę wieczorem obejrzeć występ baletu? – spytał. – Kupię bilety na *Jezioro łabędzie*.

– Z przyjemnością zobaczę przedstawienie – odparła z rozjaśnioną

twarzą.

– Przyjadę po ciebie o szóstej. Potem możemy zjeść u mnie późną kolację. Każę Jositowi ją przygotować, zanim po ciebie wyjadę.

Skinęła głową, przypatrując mu się bacznie.

– Nie jesteś taki, jak się spodziewałam.

Odetchnął głęboko, zanim odpowiedział, patrząc na nią równie uważnie:

– Ty też, kochanie. Jesteś o wiele słodsza, niż mi się marzyło.

Speszona, odwróciła wzrok.

– Wypij piwo i wracaj do siana. Biedna stara, zmęczona maszyna – dodała ze współczuciem.

Wskazała ruchem głowy na zepsute urządzenie, przy którym pracowali dwaj mechanicy, bez skrupowania pomstujący na pracę.

– Gdybyś miał dla niej i wszystkich chociaż odrobinę litości, wyprawilibyś jej przyzwoity pogrzeb i kupił nową.

– Dopiero wtedy, gdy okaże się całkiem nie do naprawy – oświadczył kategorycznie John. – Nie będę złomował porządnej maszyny.

– Przecież masz ją od dziesięciu lat.

– Mam też dziesięcioletniego konia, który sprawuje się lepiej, niż kiedy był młody.

– Pewnie ze strachu, że naślesz na niego mechaników.

Nachylił się i pocałował ją mocno w usta.

– Do zobaczenia.

John otworzył drzwi auta i wysiadł, trzymając w rękach opakowania z puszkami z piwem. Madeline patrzyła na jego imponującą sylwetkę, gdy się oddalał, a po chwili ujrzała zadowolone miny, które zademonstrowali jego pracownicy na widok oszronionych puszek. Pomyślała, że czas wracać.

Uruchomiła silnik i odjechała. Dobrze, że nie muszę iść pieszo, przemknęło jej przez głowę, gdyż czuła, jak wciąż drżą jej kolana.

TTLR

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ta inscenizacja *Jeziora łabędziego* wyjątkowo przypadła Madeline do gustu. Baletnice czarowały lekkością, wyglądały jak zwiewne, nieziemskie istoty, gdy dosłownie płynęły po scenie. Oczywiście na jej ocenę wcale nie wpłynęło to, że na początku przedstawienia John ujął swoją ciepłą ręką jej dłoń i już jej nie wypuścił.

W czasie przerwy przeszli do lobby. John w milczeniu palił papierosa, nie spuszczać zachwyconego spojrzenia z Madeline. W długiej jedwabnej sukni w kolorze złota przyciągała wzrok wielu mężczyzn, co przyjął z satysfakcją, ale i niechęcią.

– Bardzo dobrze prezentujesz się w tym kolorze – odezwał się w końcu.  
– Podkreśla złociste punkciki w twoich oczach.

Przyjęła komplement uśmiechem.

– Ty też wyglądasz nie najgorzej – zauważyła, przesuając wzrokiem po jego sylwetce, na której nienagannie leżało wieczorowe ubranie. – Brunetka w rzędzie obok nas prawie nie zwracała uwagi na to, co działo się na scenie. W trakcie całego aktu nieustannie na ciebie zerkała.

– Tak? – Kąciki ust drgnęły mu w łobuzerskim uśmiechu. – Pokażesz mi ją, dobrze?

– Chciałbyś. Nie ma mowy – odparła i po raz pierwszy poczuła się o niego zazdrosna. Nachmurzona, odwróciła się i rzuciła przez ramię: – Możemy wrócić na widownię?

Zagroził jej drogę, delikatnie przyłożył palce do podbródka i uniósł lekko jej głowę.

– Bądź zaborcza. Podoba mi się to.

To, co ujrzała w jego błyszczących oczach, sprawiło, że zabrakło jej tchu. Wzięła głęboki oddech i odpowiedziała, odwołując się do rozsądku:

– Nie mam do ciebie żadnych praw. Dobrze pamiętam, jak mi powiedziałeś, że nie lubisz, gdy ludzie próbują za bardzo się do ciebie zbliżyć.

– Ludzie, ale nie ty. Na litość boską, bądź ze mną tak blisko, jak tylko ci to odpowiada. Na pewno cię nie odtrączę.

– Nic innego nie robiłeś przez całe tygodnie – stwierdziła, wpatrując się w niego badawczo.

Zacisnął usta, napięły się mu mięśnie twarzy. Po chwili jednak uśmiechnął się lekko i zapytał:

– Naprawdę nie wiesz dlaczego? Jeszcze tego nie zrozumiałaś?

Biorąc pod uwagę to, jak ją całował i patrzył na nią, w jaki sposób jej dotykał, zaczynała w innym świetle widzieć powody jego, jak jej się wydawało, dziwnego zachowania. Odwróciła wzrok, przypominając sobie z zażenowaniem niekontrolowany wybuch namiętności, do którego doszło dzisiaj rano. Istotnie ich wzajemne odnoszenie się do siebie zmieniało się od jakiegoś czasu, ale tak subtelnie, że z początku tego nie odnotowała, a później zauważyła, ale nie rozumiała. Obecnie nie potrafiła już traktować Johna czysto platonicznie. Pragnęła jego pocałunków, i to właśnie tak gwałtownych i zmysłowych, jakimi ją obdarzał, podniecających dotknięć i pieszczot, zachwyconego wzroku, którym wręcz ją pożerał.

Ledwie zwracała uwagę na otaczających ich ludzi, szmer rozmów mijających ich widzów, zmierzających z powrotem na widownię, nie docierał do jej uszu. Ze spojrzeniem utkwionym w twarzy Johna czuła się tak, jakby uwięził ją wzrokiem. Dym z zapomnianego w jego dłoni papierosa wzbijał się pod sufit.

– Tak dobrze – powiedział głębokim, niskim głosem, obserwując, jak jej



zielone oczy błędzą z ciekawością po jego twarzy, jakby go dotąd nie znała.

– Przyjemnie na ciebie popatrzeć – stwierdziła spontanicznie.

– Nie o to mi chodziło – odparł stanowczo. – Zaczynasz widzieć we mnie mężczyznę, prawda?

Rozmowa stawała się dla niej niezręczna.

– Zawsze widziałam! – zaprotestowała.

– Nie do końca. Nie w taki sposób, w jaki mnie ostatnio postrzegasz. – Z lekkim uśmiechem podniósł papierosa do ust. – Co się kryje za nagłym pragnieniem, które najwyraźniej tobą owładnęło, żeby mnie dotykać?

– Jestem osobą z krwi i kości.

– Tak? – spytał z uprzejmym niedowierzaniem. – Kochanie, nigdy nikogo nie dotykasz, ani mężczyzn, ani kobiet. To pierwsza rzecz, którą zauważyłem, gdy cię poznałem. Masz na tym punkcie fobię.

– Nie znałam matki, a ojciec nie był zbyt wylewny, niezależnie od tego, że byliśmy ze sobą blisko.

– Nie prosiłem o wyjaśnianie powodów twojego zachowania, jestem po prostu ciekawy, dlaczego masz ochotę mnie dotykać – drażył temat.

Madeline zacisnęła dłonie na torebce. Gdybym puściła się biegiem, pomyślała, to może...

– Cholera jasna, po co zacząłem tę rozmowę? – John wzniosł oczy do góry, jakby zwracał się po odpowiedź do sufitu.

Najwyraźniej znowu czyta w moich myślach, uznała w duchu Madeline.

– Czy w dalszym ciągu chcesz oglądać balet? A może sprawdzimy, czy Josito jest gotowy z kolacją i co przyrządził? Piwo, które przywiozłaś, szybko znikło. Jak na razie to jedyne, co dzisiaj trafiło do mojego żołądka.

– John! – zachnęła się, czując, jak ulatnia się cała irytacja. – Nawet śniadania nie zjadłeś?

– Nie było czasu. Ta cholerna maszyna musiała się zepsuć akurat wtedy, gdy zanosilo się na deszcz. Jak tylko skończyliśmy z sianem, popędziłem do domu wziąć prysznic i przebrać się do opery.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – spytała z naganą. – Mogłam zrezygnować z przedstawienia i nic by się nie stało. Chodźmy, zanim zemdlejesz z głodu i będę musiała cię stąd wyciągać, chwytając za nogawki spodni.

– To by mogło stać się tematem bardzo interesujących spekulacji – zauważył z uśmiechem John.

Roześmiała się z ulgą na ten żart, zadowolona, że rozmowa wróciła na zwykłe między nimi, bezpieczne tory.

– Przy moim szczęściu jakiś czytelnik mógłby nas zobaczyć i pomyśleć, że wypróbuję kolejną intrygę. – Zniżyła konspiracyjnie głos. – Ostatnią ofiarę zaciągam do sekretnego grobu, przedtem zadawszy jej śmiertelną ranę niezwykłym narzędziem, niemożliwym do wykrycia.

– Coś w rodzaju sopla lodu, który posłużył do morderstwa w Wieży *wiertniczej*<sup>7</sup>. – spytał ze śmiechem.

– No cóż, to był bardzo, ale to bardzo duży sople lodu. – Uśmiechnęła się złowieszczo. – Nikt nie wpadłby na to, gdyby nie wielka plama wilgoci na koszuli ofiary.

– Którą twój nieoceniony detektyw Matt McDuncan natychmiast spostrzegł i powiązał z mokrym rękawem marynarki sprawcy, tym samym natychmiast wiedząc, kto jest winny zbrodni.

– Bałam się, że czytelnicy tego nie kupią, ale jednak.

– Fani są niezmiennie lojalni – przypomniał jej. – Na przykład ja – dodał, patrząc na nią zwężonymi oczami – wybaczyłem ci zabójczy dowcip o McDuncanie, który używał maszyny do pisania z brakującymi czcionkami,

bo jak argumentował „akurat te litery rzadko się pojawiają”.

Zmierzali do zaparkowanego samochodu i przyspieszyli kroku, bo spadły pierwsze duże krople deszczu. Madeline śmiała się, gdy John otwierał przed nią drzwi po stronie pasażera.

– Przepraszam cię, ale naprawdę eksploatujesz tę maszynę poza wszelkim limitem.

Zajął miejsce kierowcy, zapalił silnik i włączył się do ruchu z płynnością charakterystyczną dla byłego uczestnika wyścigów samochodowych, którymi pasjonował się w młodości.

– Nie tak łatwo pozbyć się starych nawyków, kochanie. Kiedy zacząłem mieszkać z ojcem i zajęliśmy się odwiertami, początkowo musieliśmy wykorzystywać stare urządzenia, żeby nie wpaść w długi. Moglibyśmy otworzyć sklep z przetyczkami i zwojami drutów.

– A teraz stać cię na ferrari i rolls– roycea. Założę się, że czasami tęsknisz za tamtym okresem.

– Zdziwiłabyś się, jak często – przyznał żartobliwie. Oparty o siedzenie, zgrabnie wpasowywał wóz w każdą lukę między pojazdami. – Miałem wtedy czas, aby każdego ranka pojeździć konno tak jak my w zeszłym tygodniu – dodał zmysłowym tonem, zerkając na Madeline.

Zapatrzyła się w oświetlone rzeźnice Houston, migające za splukiwaną ulewnym deszczem szybą.

– I zwabiać zabłąkane turystki do baraków pełnych węży? – spróbowała skierować rozmowę na inne tory.

Roześmiał się.

– Trochę ją nabrałem, przyznaję.

– Tylko do momentu, gdy wspomniałeś o węzach i domu pełnym córek z nieprawego łoża.

– Zanim związałem się z Ellen, przez mój dom przewijały się kobiety – wyjawiał nieoczekiwanie.

Madeline poprawiła się niespokojnie na siedzeniu. Nie miała ochoty słuchać opowieści o jego żonie.

– A potem?

– We wrześniu skończę czterdzieści lat – powiedział poważnie i, co dziwne u niego, jakby się tłumaczył. – Interesy zajmują mi praktycznie całe dnie, a muszę kiedyś spać. To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że tęsknię za dawnymi czasami. Byłem biedny, ale czułem się bardziej wolny.

– Zupełnie jakbyś był stary niczym Matuzalem – zniecierpliwiła się. Przesunęła wzrokiem po imponującej sylwetce Johna. – Na litość boską, przecież wygrałbyś w cuglach ze wszystkimi swoimi wiceprezesami!

– Chyba jednak się mylisz. Większość z nich ma dzieci. Utrzymują się w formie, bawiąc się z nimi lub uprawiając sporty.

W jego głosie zabrzmiała gorycz i Madeline odwróciła się, aby spojrzeć na ustawioną profilem twarz Johna.

– Pragniesz dzieci, prawda? – spytała lekko zszokowana tym odkryciem.

– A komu zostawię Big Sabine i Durango Oil, kiedy umrę? – Skręcił na parking przy budynku, w którym mieścił się jego penthouse. – Może kuzynowi?

– spytał zjadliwie, rzucając jej przekorne spojrzenie.

– W takim razie powinieneś się ożenić – doradziła.

Nagle zrobiło jej się wręcz niedobrze na myśl o żonatym i dzieciatym Johnie.

– Cóż za oryginalny pomysł – rzucił szorstko. – Umieszczę to w kontrakcie ślubnym. Odpowiednia kwota w dolarach za kobiece ciało i

urodzenie męskiego potomka.

– Przestań! – rozzłościła się nie na żarty. – Mówisz tak, jakby to było kwestią zrobienia interesu!

– A czym innym by to było?

John wjechał autem na miejsce parkingowe i zgasił silnik. Jego twarz w słabym oświetleniu podziemnego garażu wyglądała surowo.

– Jeśli jestem cyniczny, to dlatego, że życie mnie tego nauczyło. – Sięgnął po złocistorudy kosmyk Madeline i zaczął się nim machinalnie bawić. – Powiedziałem ci kiedyś, że nie mam nic przeciwko temu, aby płacić za to, co chcę dostać. Naturalnie, są pewne granice. Nie zamierzam płacić żadnej kobiecie za to, że urodzi mi syna. Dzieci powinny przychodzić na świat jako owoce miłości.

– Romantyczny biznesmen, oto kim jesteś – orzekła.

Popatrzył na nią z namysłem.

– A ty nigdy nie chciałaś dzieci?

Odwróciła głowę, uznając pytanie za tak osobiste, że niemal poczuła się obrażona.

– Jestem na to za stara – odparła chłodno.

– W wieku dwudziestu ośmiu lat?! – wykrzyknął z niedowierzaniem. – Do licha, czterdziestoletnie kobiety rodzą dzieci – dodał gniewnie. – Chodzi o zobowiązanie, tak? – domyślił się. – Mogłabyś się zdecydować na luźny związek z mężczyzną, bo w każdym momencie można go zakończyć. Natomiast gdy ma się dziecko, sprawy mocno się komplikują i już nie jest tak łatwo się rozstać.

– Ależ ty mnie dobrze znasz – stwierdziła z przekąsem.

– Nie tak dobrze, jak bym chciał – odparł pojednawczym tonem. – I nie tak, jak bym chciał – dorzucił z rozjarzonymi nagle oczami.

– To znaczy? – spytała, zanim zdążyła pomyśleć.

Na szczęście odwrócił się i wysiadł z samochodu, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

– Czy naprawdę przeraża cię seks? – zagadnął John, nie patrząc na Madeline, gdy szli do windy.

Zaskoczyło ją i zdenerwowało to nieoczekiwane pytanie. Zmyliła krok, patrząc na niego niedowierzająco.

– Czy przeraża? – Wzruszyła ramionami okrytymi cieniutkim złocistym szalem, który narzuciła na suknię. – Nie wiem. Spróbowałam tylko raz, jak wiesz, i było to dość brutalne wprowadzenie w życie.

– Musiał bardzo cię zranić – stwierdził sucho.

– Nie zorientował się, że jestem dziewicą na tyle wcześnie, aby miało go to jeszcze obejść – powiedziała, nienawidząc tego wspomnienia. Ciaśniej otuliła się szalem. – Pierwszy raz w życiu byłam szaleńczo zakochana albo mylnie uznałam, że tak jest. Nigdy więcej nie wystawiłam się na upokorzenie i nie pozwoliłam zranić. Tyle przynajmniej mu zawdzięczam.

– Przeciwnie, nic mu nie zawdzięczasz – zaprzeczył gniewnie John.

Spojrzał na nią z wyrzutem, gdy weszli do windy, i ze złością mocno nacisnął przycisk.

– Planujesz resztę życia spędzić tak jak teraz?

Oczy jej się rozszerzyły.

– To znaczy jak? – spytała rzeczowym tonem.

– Samotnie.

Winda drgnęła i ruszyła do góry. Madeline oparła się plecami o ścianę.

– Ty też jesteś samotny.

– Nie zawsze – odparł znacząco.

Rzuciła mu wymowne spojrzenie.

– Nie interesują mnie przelotne związki – stwierdziła stanowczo. – Nie potrafiłabym zadawać się z przypadkowymi partnerami ani kierować wyłącznie fizycznym pragnieniem.

– A gdybyś spotkała kogoś, na kim by ci zależało, i byłabyś przekonana, że jemu zależy na tobie? – padło zadane cichym głosem pytanie.

Madeline obrzuciła badawczym spojrzeniem twarz Johna.

– Nie wiem.

– A gdybym to miał być ja? – spytał miękko, uwodzicielsko.

– Co my... będziemy mieli na kolację? – zmieniała temat, jej policzki nabrały koloru czerwonych refleksów w jej włosach.

Roześmiał się cicho.

– Poczekamy, zobaczymy.

Josito przygotował wspaniały posiłek złożony z wołowiny po burgundzku, sałatki szefa i pieczonych w domu bułeczek, do czego zaserwował porto o bogatym bukacie. Na deser podał talerz serów. John jadł z wyraźną przyjemnością i apetytem, natomiast Madeline oszczędnie spróbowała jedzenia, od czasu do czasu spoglądając przez okno na błyskawice znaczące zygzakami niebo. Zaprzętało ją to, co John powiedział w windzie. Niezależnie od tego, że ewidentnie jej pożądał i że ona pogodziła się z tym, że go pragnie, w ogóle nie myślała o nim jako kochanku, nie mówiąc już o mężu. Tymczasem zmusił ją, żeby zobaczyła go w tej roli, a własna reakcja na ten pomysł wprawiła ją w zadziwienie.

Bezwiednie błądziła wzrokiem po jego twarzy, zatrzymując się na ustach, które całowały ją tak wprawnie i zaborczo. Wyobraziła sobie, jak dotyka jego opalonej nagiej skóry, a jego ekspansywne usta wędrują po jej ciele i dłonie poznają ją w intymny sposób.

– Nie jesteś głodna? – spytał nieoczekiwanie, odchylając się na oparcie

krzesła z drugą już filiżanką kawy w ręce.

– Rzeczywiście nie bardzo – odrzekła z roztargnieniem.

– Wyglądasz na niespokojną. – Przechylił głowę i wpatrzył się w nią zwięzonymi oczami. – Chodzi o pytanie, które zadałem ci w windzie? Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby się ze mną kochać?

Madeline gwałtownie odstawiła filiżankę, rozlewając kawę, która rozprysła się po białym lnianym obrusie, zalała resztki stojącego przed nią deseru i serwetkę. Z cichym okrzykiem odsunęła się od stołu w samą porę, aby uratować przed zniszczeniem suknię.

– To mi wystarcza za odpowiedź. – John zaśmiał się szelmowsko. – Josito! – zawołał.

Ubrany na białą służący i kierowca w jednej osobie nadbiegł natychmiast, zapewnił Madeline, że na obrusie nie zostanie najmniejsza plama, i poprosił ich, aby przeszli do pokoju dziennego, a sam zabrał się do sprzątnięcia.

John, wciąż się śmiejąc, usadowił się w głębokim, obszernym fotelu, uprzednio zdjawszy marynarkę i krawat.

– No, no, to się nazywa zareagować – skomentował, rozpinając górne guziki koszuli.

– Ręka mi się omsknęła – stwierdziła Madeline.

Zrzuciła pantofle i posyłając mu złe spojrzenie, umościła się z podkulonymi nogami na kanapie, stojącej naprzeciwko fotela.

– Oczywiście – przytaknął John.

Zapalił papierosa, przyciągnął sobie podnóżek i oparł na nim stopy obute w eleganckie pantofle.

Madeline wpatrzyła się w swoje splecione dłonie.

– No cóż, owszem, przyznaję, że nie spodziewałam się z twojej strony



takiej propozycji.

Uniósł brwi i odpowiedział przesadnie uprzejmym tonem, który nie wróżył niczego dobrego.

– Nie miałem pojęcia, że złożyłem ci propozycję – rzekł przewrotnie.

– A jak to inaczej nazwać? – spytała.

Wzdrygnęła się, gdy huk pioruna, który uderzył gdzieś blisko, wypełnił pokój.

– Bezpośrednio sformułowane, ale zadane bez żadnych podtekstów pytanie – odrzekł i zaciągnął się papierosem. – Zwyczajnie jestem ciekawy, czy kiedykolwiek myślałaś o mnie jako kochanku.

– Do czego ci potrzebna ta wiedza? – nie ustępowała.

Nachylił się do popielniczki i rozgniółł niemal nienawistnie ledwo zapalonego papierosa.

– Nie możemy się cofnąć do tego, co dawniej nas łączyło, do przyjaźni – stwierdził rzeczowo. – Już ci to mówiłem, i to szczerze. Posmakowałem ciebie i pragnę więcej. To ludzkie, skarbie, i ty nie jesteś bardziej odporna na te emocje i na mnie niż ja na ciebie.

– Nie popędzaj mnie.

– Popędzać? Na litość boską! Przecież to trwało dwa lata! – wykrzyknął John, ewidentnie tracąc cierpliwość.

Zerwał się na równe nogi i stanął blisko, górując nad Madeline, która miała świadomość, że jest bardzo męski i pociągający w na wpół rozpiętej koszuli, odsłaniającej opaloną szeroką pierś. Mimo to rzuciła mu w twarz:

– Nie chcę być dodatkiem do ferrari, rancza i nafcarskiej korporacji!

– A dlaczego miałabyś być? Skąd ten pomysł?

– Jesteś taki przytłaczający – zdobyła się na szczerą odpowiedź, unikając wzroku Johna. – Taki... zaborczy.

– Przyznaję, jestem wobec ciebie zaborczy, bo chciałbym cię mieć. Ciebie całą, każdy skrawek twojego ciała. I te luksusowe stopki też.

– Ciszej! – skarciła go, rzucając spojrzenie w kierunku kuchni. – Josito cię usłyszy.

– Josito niczego nie usłyszy w tym huku piorunów – oświadczył. – Ale jeśli ma ci to przeszkadzać... – Urwał i przeszedł do kuchni.

Do uszu Madeline doszły stłumione głosy, na chwilę zapanowała cisza, a potem John wkroczył z powrotem do pokoju w towarzystwie Josita.

– Dobranoc, *señorita*. – Lekki, domyślny uśmiezek igrał na ustach służącego, który przez złożone ramię przewiesił marynarkę. – Do widzenia, *señor Durango* – dorzucił przy drzwiach.

Po chwili usłyszeli odgłos zamykania głównych drzwi do apartamentu.

– No i co ty narobiłeś! – Madeline wyprostowała się, wciąż siedząc na kanapie. – Pomyśli, że planujesz mnie uwieść.

– I będzie miał rację, bo planuję – potwierdził John.

– To sobie planuj! – sapnęła ze złością, macając stopą po podłodze w poszukiwaniu pantofli. – Wracam do domu.

Wstała, ale John chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie. Wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Rozumiem. Dla ciebie posuwam się za szybko – przyznał z ciężkim westchnieniem.

Uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Górował nad nią, nie zdążyła bowiem włożyć butów na wysokich obcasach. Miał ciepłe dłonie i ich dotyk działał na nią uspokajająco. Nieoczekiwanie dla samej siebie roześmiała się nerwowo i opuściła wzrok na jego nagą pierś widoczną w rozpięciu eleganckiej koszuli, której biel podkreślała opaleniznę.

– Czuję się jak nastolatka na swojej pierwszej prawdziwej randce –

przyznała samokrytycznie. – Obawiam się, że tak właśnie się zachowuję. Od tak dawna nie zbliżyłam się do żadnego mężczyzny...

– To, co się dzieje między nami, jest dla nas obojga nowością – stwierdził John.

– A rzeczywiście, założę się, że to zaskakujące dla ciebie – powiedziała, bo nagle to do niej dotarło.

Podniosła głowę i popatrzyła Johnowi w oczy

– To znaczy co? – spytał ze zdziwieniem.

– To, że potencjalna zdobycz chce znaleźć się po drugiej stronie drzwi i uciec od ciebie – wyjaśniła i przyłożyła dłonie do miękkiej, gładkiej koszuli.

– Wyobrażam sobie, że od większości chętnych opędzasz się jak od uprzykrzonych much.

– Jasne, nawet chowają się pod łóżkiem. – Zachichotał, ale zaraz spoważniał. – Nie podpasz pod kategorię „zdobycz”. Podobnie jak nie jesteś jednorazowym podrywem ani kandydatką na partnerkę w przelotnym związku.

– W takim razie kim? – rzuciła lekko Madeline, nadal wpatrując się w srebrzystoszare oczy Johna.

Wzjął głęboki oddech i lekko zacisnął dłonie na jej ramionach, gdy przyciągnął ją do siebie bliżej.

– Jesteś kimś niezwykle wyjątkowym, i wiesz o tym. Ufam ci.

– Ja też ci kiedyś ufałam – powiedziała z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Lubisz mnie całować – prowokował, patrząc na nią z zachwytem. – Dlatego przede mną uciekasz. Wiesz jednak, że nie potrafisz długo trzymać się ode mnie z daleka.

– Fakt – przyznała. Oparła czoło o jego pierś i było tak, jakby wróciła do domu z dalekiej podróży. – Nienawidziłam tego, co działo się między nami

przez ostatnie tygodnie. Te kłótnie, oddalanie się od siebie. Myśl, że będziesz nieobecny w moim życiu, była nie do zniesienia. – Zaciśnęła palce na materiale koszuli i zamknęła oczy. – Musiałam się dowiedzieć, czy jesteś na mnie wściekły.

– I w tym celu wsiadłaś do samochodu i przywiozłaś dwa sześciopaki piwa?

– Coś w tym rodzaju. – Westchnęła, po czym dodała z uśmiechem: – Kiedy zobaczyłam, jak się zbliżasz, nie byłam pewna, czy ci je wręczyć, czy raczej rzucić nimi w ciebie. Nie wyglądałeś sympatycznie.

– Rzeczywiście wówczas nie byłem w miłym nastroju. Spytaj Josita.

– Owszem, słyszałam, że figowiec należy w twoim domu do zagrożonych wyginięciem gatunków roślin.

– Aha, czyli Josito wypłakiwał się na twoim ramieniu.

– Nie wyzywaj się na nim. Jest miły.

– Podobnie jak ja.

Odsunęła się od niego trochę i przecząco pokręciła głową.

– Nie zawsze – mruknęła, śledząc wyraz jego oczu.

Delikatnie dotknął jej ust i palcem obrysował ich kontur.

– Pobudzeni mężczyźni rzeczywiście bywają wyjątkowo nieprzyjemni – usprawiedliwił się.

– Postaram się wtedy nie zbliżać do ciebie nawet ukryta za pancerzem – oświadczyła Madeline. – Dostanę jeszcze jedną filiżankę kawy czy zamierzasz już teraz zaciągnąć mnie za włosy do swojej jaskini?

– Za nic w świecie nie wyrwałbym nawet jednego twojego włosa – oznajmił John. Wsunął w nie dłonie.

– Uwielbiam czuć, jak prześlizgują się między palcami, Kocham ich zapach przypominający dzikie kwiaty.

– Mówisz wierszem? – wyszeptała.

Stali tak blisko siebie, że widziała wszystkie promieniste zmarszczki wokół jego oczu, a także gęste, krótkie rzęsy. Czują pod dłońmi, jak jego pierś wznosi się w szybkim, urywanym oddechu.

– Jedyne, jaki przychodzi mi do głowy, to Tennysona o szarzy lekkiej brygady. Chciałabyś posłuchać? A może wynagrodzę ci to w inny sposób?

Pochylił głowę. Bliskość Johna działała hipnotycznie na Madeline, więc rozchyliła usta.

– To jak narkotyk, prawda? – wyszeptała, gdy jego usta przesunęły się po jej wargach.

– Co jest jak narkotyk? – spytał, obsypując pocałunkami jej policzki, powieki, nos.

– Całowanie się – odparła, przesuwając palcami po guzikach jego koszuli.

Nagle ogarnęło ją tak silne pragnienie, aby go dotykać, że aż zadrżała.

– Uhm – potwierdził nieartykułowanym mruknięciem, bardziej zainteresowany poznawaniem wargami konturów jej twarzy niż rozmową.

Po chwili wziął Madeline na ręce i zaniósł na kanapę.

– Nie pośpieszaj mnie – poprosiła szeptem, chowając twarz w zagłębieniu jego ciepłej szyi. – Tak dużo czasu minęło.

– Dla nas obojga – zapewnił ją zagadkowo.

Usiadł, sadzając ją sobie bokiem na kolanach, a Madeline oparła policzek o jego ramię.

– Powiem ci szczerze, nie owijając w bawełnę. Jestem na wpół żywy. Odwaliłem dzisiaj niezły kawał fizycznej roboty i czuję to w kościach. Jutro muszę wstać o szóstej, żeby zdążyć na biznesowe sympozjum poza miastem. Trochę pieścizot to wszystko, na co mnie stać, niezależnie od tego, że

niczego nie pragnę goręcej, jak cię dotykać.

– Dokąd to nas oboje zaprowadzi? – spytała niepewnie.

Odsunął delikatnie złotorudy kosmyk, który opadł jej na oczy, wpatrując się w nią wnikliwie, jakby studiował wysmakowany obraz.

– W całkiem nowe rejony pełne niespodzianek i radości odkrywania – oznajmił pewnie. – Nie bój się.

– Ciebie? Jesteś moim przyjacielem, zrobię dla ciebie wszystko – zapewniła z uśmiechem, który znikł, gdy wpatrzyła się w ciemniejące oczy Johna. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ust, a potem koniuszkami palców jego wąsów. – Wszystko.

Przyciśnięta do jego piersi, wyczuła, jak mocno bije mu serce. Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, jakby chciał ją w siebie wtopić. Przestali słyszeć wiatr wyjący za oknem, miotający deszczem o szyby.

– Nie potrafię wrócić do tego, co wcześniej nas łączyło – powiedział poważnym tonem John. – Czy na pewno zdajesz sobie z tego sprawę? Nie zamierzam cię zmuszać do czegoś, czego nie chcesz, ale dla mnie platoniczna relacja nie wchodzi w rachubę – podkreślił.

Madeline bawiła się perłowymi guzikami jego koszuli.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – przyznała.

Przesunęła głowę niżej, po muskularnym ramieniu Johna, cały czas patrząc na niego marzycielsko szeroko otwartymi oczami. Jej ciało było chętne, gotowe, a umysł zarejestrował nowe, nieznanne jej uczucie natarczywego pragnienia. Nieświadomie przeciągnęła się i nieznacznie wygięła, ale ten ruch wystarczył, aby uwypuklić linie jej ciała i kobiece kształty.

– Nie rób tego – ostrzegł John, nie spuszczać z niej wzroku.

– Dlaczego? – prowokowała go, spoglądając przez na wpeł przymknięte

powieki.

– Dobrze wiesz dlaczego, ty mała ruda czarownico – odpowiedział, pochylając głowę.

Zawładnął ustami Madeline w zaborczym pocałunku. Przekręciła się w jego ramionach, wtulając się w Johna, a on nie przestawał jej namiętnie całować. Zaprotestowała tylko raz, gdy nie powściągnął swojego zapachu, ukąsił jej dolną wargę. Odsunął się natychmiast, oddychając ciężko jak po wyczerpującym biegu.

– Sprawilem ci ból – powiedział urywanym głosem.

– To nic – zapewniła go lekko zdyszana. – Możesz...

Pieszczotliwie przesunął palcami po szyi Madeline, gdy znów zaczęli się całować. Tym razem zachował ostrożność, ale nie zrezygnował z żarliwości. Wsunął powoli język w jej rozchylone usta, pieścił ich wewnątrz. Zesztywniała, gdy zsunął palce na linię dekoltu, choć jej nie przekroczył. Leniwie drażnił wrażliwą skórę, cierpliwie rozbudzał pożądanie, aż Madeline wygięła się z cichym jękiem.

– Co się stało? – spytał przewrotnie.

Schowała twarz w zagłębieniu jego szyi. Drżała z pragnienia, które budził tak niestrudzenie.

– John... proszę... – wyszeptała urywanie.

– Tak jak teraz, Ruda, tego chcesz? – spytał zmysłowym tonem, delikatnie muskając jej obrzmiałe piersi, okryte cienkim materiałem sukni.

Zadrżała i pozwoliła mu na przekroczenie kolejnej granicy intymności. Lekkie pieszczoty wzbudzały tak silne doznania, że aż wbiła mu palce w ramiona.

– Spójrz na mnie – poprosił ochryple. – Pozwól mi na siebie patrzeć, pozwól mi widzieć.

Madeline spełniła życzenie Johna, a on natychmiast wyczytał w jej oczach, że rozbudził w niej pierwotny instynkt. Ujął jej dłoń i przyłożył sobie do koszuli.

– Dotykaj mnie. Pokażę ci, jak to na mnie działa.

Drżącymi palcami, nieporadnie, rozpiniała guziki, aż dotarła do paska od spodni. Jej oczy otwarcie syciły się widokiem umięśnionej i opalonej piersi.

– Na litość boską, dotykaj mnie – wydyszał i przycisnął jej obie dłonie do swojej ciepłej, lekko wilgotnej skóry.

Patrzyła zafascynowana, jak surowa twarz Johna mięknie pod pieczątką jej palców, przesuwających się po skórze, chwytających pierścionki włosów, przywierających do twardych mięśni. Jak odbija się na niej uczucie przyjemności. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w życiu chciała tak dotykać mężczyzny, była tak ciekawa jego skóry i ciała. John był męski w każdym calu, przyjemnie było na niego patrzeć, jeszcze lepiej mieć go blisko siebie. Poczuli, że zadrżał, i w jej oczach pojawiło się zdziwienie.

– Zszokowana? – spytał nierównym głosem, przyciskając jej dłonie do swojej piersi i przesuwał wargami po powiekach, nosie, kącikach ust. – Czy nie tak dzieje się z tobą, kiedy cię dotykam?

– Tak – przyznała – ale ty jesteś mężczyzną.

– A mężczyźni nie powinni okazywać uczuć, to chcesz powiedzieć? – Odsunął ją od siebie, aby móc na nią popatrzeć. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa – wyznał. – Nie potrafię tego ukryć. Nie potrafię też opisać, jaką mi sprawiasz przyjemność.

Oczy miała pełne oczekiwania, szczęśliwe i oddane, ciało gotowe na jego przyjęcie.

– To samo czuję, gdy chodzi o ciebie – przyznała nieśmiało.

Oczy Johna pociemniały jak stare srebro.



– Czy z nim było tak samo? – spytał nieoczekiwanie.

Myślał o Allenie i zazdrość wyraźnie słyszalna w jego głosie wprawiła ją w osłupienie.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Ani trochę. Wyobrażałam sobie, że go kocham, ale tak naprawdę nawet go nie pragnęłam. Może dlatego tak mnie bolało, gdy... – Odwróciła głowę, żeby John nie zobaczył grymasu, który pojawił się na jej twarzy. – Byłam taka głupia! – wykrzyknęła i nieoczekiwanie uderzyła go pięścią w pierś. – Ślepa i głupia!

– Przestań. – Objął ją mocno i kołysał w ramionach, jakby była skrzywdzonym dzieckiem. – Przestań, proszę. Wiesz, że w żaden sposób nie chciałbym cię skrzywdzić, ani fizycznie, ani psychicznie. – Pocałował ją we włosy. – Żałuję tylko, że cię wtedy nie znałem, że ten pierwszy raz nie był ze mną – dokończył, bezradnie wzruszając ramionami. – Postarałbym się, żebyś czerpała z tego przyjemność.

Wtulila się w Johna, czując się całkowicie bezpieczna w jego ramionach, i cieszyła się tą nowo odkrytą czułą stroną jego natury.

– Jesteś dla mnie dobry – wyszeptała. – Johnie Durango, bardzo, ale to bardzo mnie obchodzisz.

– Ty też wiele dla mnie znaczysz – odwzajemnił się po krótkiej chwili milczenia.

Wypowiedział to wyznanie z lekkim przymusem, jakby było czymś nowym i dotąd niespotykanym w jego życiu. Madeline uprzytomniła sobie, że sam przyznał, iż chciał od kobiet tylko jednego i nie była to miłość. Roześmiała się lekko, radośnie.

– Przyszedł czas wyznań? – zakpiła z niego łagodnie.

– Na to wygląda – odparł i też się roześmiał.

Ponownie oparła głowę na jego ramieniu i spojrzała z leniwym,

zmysłowym uśmiechem.

– Może jeszcze trochę całowania – zasugerowała kuszącym tonem.

Przesunął koniuszkami palców po jej szyi, obojczykach, dotarł do piersi. Pieścił je powoli, delikatnie, śledząc, jak reaguje jej ciało. W pewnym momencie powiedział cicho:

– Nienawidzę niczego robić połowicznie.

Minę miał poważną, a nawet uroczystą, przemknęło Madeline przez głowę. Nie przestawał jej pieścić w sposób, jakiego nigdy nie zaznała, a przy tym śledził wzrokiem, jak jej ciało reaguje na zmysłowe doznania.

– Dlatego któregoś dnia będziemy razem, i to w każdym sensie. Czy to rozumiesz? Za mocno na siebie działamy, aby to miało się nie wydarzyć.

– Ale... jeszcze nie teraz – poprosiła niepewnie.

– Nie teraz, kochanie – zapewnił ją łagodnie. – Nie dzisiejszej nocy. Zresztą padam z nóg, a o siódmej rano muszę złapać samolot, ale któregoś dnia...

Madeline nie spuszczała wzroku z twarzy Johna. Milczenie nabrzmiewało znaczeniami. Przerwała je, pytając nerwowo:

– A potem co?

– Dlaczego nie mamy się przekonać, co przyszłość przyniesie?

Odchyliła się lekko.

– Nie chciałabym cię znowu stracić – wyznała.

– To nigdy się nie zdarzy – oznajmił stanowczo John.

Nagle ułożył ją na plecach na kanapie, a sam oparł się na rękach, przyłożonych po obu stronach jej głowy.

– Nigdy na to nie pozwolę, Madeline.

– Rzadko tak się do mnie zwracasz – zauważyła. Oddech jej przyspieszył, głos zabrzmiał nierówno.

– Ruda lepiej do ciebie pasuje.

Wsunął ciepłą dłoń pod jej plecy i wpatrując się intensywnie w jej oczy, rozpiął suwak sukni aż do talii.

– John – zaprotestowała bez przekonania i nakryła dłońmi jego palce zaczynające zsuwać stanik sukni. – Ja... nie mam niczego pod spodem.

– Wiem... – Uniósł kąciaki ust w przewrotnym uśmiechu.

– Sam powiedziałeś, że nienawidzisz niczego robić połowicznie – przypomniała mu.

– Może to było pochopne. Sprawdźmy.

Odsunął jej usiłujące go powstrzymać dłonie i więżąc ją wzrokiem, powoli zsuwał stanik do talii. Madeline czuła na sobie jego spojrzenie z całą intensywnością. Oddech uwiązał jej w piersi na widok wyrazu jego twarzy, gdy nasyczał się jej nagością.

– Zdałam egzamin? – zdobyła się w końcu na rzucenie tej uwagi.

– Jesteś tak piękna...

Czułość w jego głosie ujęła ją do głębi. Znowu wpatrzył się w jej oczy i wsunął ramię pod szyję, a palcami drugiej ręki dotknął nagiej skóry. Drgnęła i wciągnęła głęboko powietrze.

– Nie bój się tego – uspokajał, obwodząc czule palcami jej piersi, rozkoszując się jedwabistością jasnej skóry. – Znamy się dobrze, wystarczająco długo.

Ledwie mogła oddychać.

– Nigdy mnie... nie dotykałeś... – wyszeptała z trudem.

– Chciałem – zapewnił ją gorączkowo. – Właśnie tak. I tak... – Pochylił głowę i przyłożył usta do delikatnego, wrażliwego ciała.

Jęknęła mimowolnie i wsunęła palce we włosy Johna, nie wiedząc, czy chce go przyciągnąć, czy odepchnąć.

– Smakujesz jak płatki róż – powiedział niskim, pogrubiłym głosem i wsunął dłonie pod jej plecy, aby przybliżyć jej piersi do swoich ust. – Róże i miód, i najwspanialsze łakocie świata. Ruda, mógłbym cię zjeść!

John wargami delikatnie skubnął pączki jej nabrzmiąłych piersi, a jej serce trzepotało się w piersi i pomyślała, że zaraz umrze. Gorące wargi przesunęły się po jej ciele w górę, aż dotarły do ust, a wtedy John przycisnął szeroką pierś do jej nagiego ciała. Leciutko wilgotna, pokryta pierścionkami włosów skóra przyjemnie ochłodziła jej rozgrzane piersi. Czuła go – ciężkiego, silnego, a zarazem czułego – na sobie. Objęła go i rozkoszowała się bliskością, konkretną i namacalną. Przesunął usta na jej policzek, do ucha, wzdłuż szyi za uchem i poczuła, że przeszedł go dreszcz.

– John... – szepnęła niepewnie.

Przekreślił się na kanapie, nie wypuszczając jej z objęć. Leżała teraz na nim, czując całą sobą jego długie, silne ciało, a on znów zaczął ją całować, niespiesznie, już nie tak zachłannie. To był powolny, długi, słodki pocałunek.

Madeleine czuła, jak John drży – był to widomy znak powściąganego, silnego pożądania. Odwzajemniała jego pocałunek. Pod jej nagimi piersiami jego skóra zaczynała pulsować gorącem, pierścionki gęstych włosów na piersi przyjemnie ją łaskotały, wąsy muskały wargi.

– Pragniesz mnie... bardzo, tak? – zdołała wyszeptać, patrząc mu prosto w oczy.

– Mogę nad tym zapanować – zapewnił ją ochryple.

Widziała napięcie na jego twarzy, czuła, jak drżą obejmujące ją silne ramiona. Powoli wciągnęła powietrze, żeby choć trochę uspokoić oddech. Przepelniało ją tyle nowych, nieznanых jej dotąd emocji, że czuła się tak, jakby miała eksplodować. Niczego nie pragnęła bardziej niż dać mu to, czego on usilnie pożywał.

– Czy ty – zaczęła niepewnie, a jej głos zabrzmiał jak przez mgłę – jesteś naprawdę zmęczony?

– Jestem – potwierdził, ale bez przekonania. – Może okazać się to korzystne, bo będę potrzebował więcej czasu. – Pocałował ją lekko, czule. – Och, pozwól mi być z tobą, skarbie – wyszeptał gorączkowo.

– Pozwól się kochać. Pokazać ci, jaką przyjemność może dać sobie dwoje ludzi, którym zależy na sobie.

Teraz i ona zadrżała.

– Chcę cię zadowolić – powiedziała łagodnie. – Chcę ci dać... wszystko.

– A ja tobie – szeptał z ustami przy jej wargach. – Nie chcę seksu. Chcę cię kochać. Posiadać ciebie i być przez ciebie posiadany. Brać i dawać. Stać się jednością, duszą i ciałem. Z tobą i tylko z tobą – mówił gorączkowo, drżąc na całym ciele od powstrzymanego pożądania.

Pragnienie, czułość, uległość, poczucie, że jej ciało jest gotowe na niego – jej umysł to zaakceptował. Pragnęła go. Nie było miejsca na obawę, nie było potrzeby się zastanawiać.

– Tylko z tobą – powtórzyła cichym szeptem, a jej słowa omal nie zagłuszyło wściekłe walenie deszczu o szyby.

John wstał, podniósł ją z kanapy i wziął na ręce. Madeline sięgnęła do jego ust i całowała go, gdy niósł ją przez ciemny hol do swojej sypialni.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wciąż padało. Taksówka właśnie zjechała z obwodnicy na ulicę, przy której mieszkała Madeline. Nachyliła się do okna, z niepokojem śledząc powalone konary drzew i porzrzućane połamane drewniane elementy konstrukcyjne budynków.

– Mamy jakiś nowy plac budowy? – zażartowała, ale nie było jej do śmiechu na widok ewidentnych śladów nocnych zniszczeń.

– W nocy przetoczyły się silne burze – odparł starszy mężczyzna, siedzący za kółkiem. – Potężnie wiało, nieźle też błyskało. A skoro o tym mowa, to założę się, że tu była mocna zawierucha. Wystarczy spojrzeć.

Taksówkarz wskazał na małego żółtego volkswagena zgniecionego potężnym konarem dębu, który wbił się w budynek.

– Och nie! – wykrzyknęła Madeline, zaciskając palce na wieczorowej torebce tak dobrze pasującej do jej złotej sukni. – To mój dom! Och! Proszę się zatrzymać tutaj. Przejdę na drugą stronę ulicy. Ile panu płacę?

Mężczyzna podał jej koszt przejazdu. Na jego pomarszczonej twarzy malowało się współczucie. Z troską popatrzył za swoją pasażerką, jak przechodzi przez ulicę do zniszczonej posesji.

Madeleine stanęła przed domem, próbując oszacować rozmiar zniszczeń. Łzy mieszały się z kroplami deszczu spływającymi jej po policzkach. Samochód nadawał się do kasacji, dom też nie wyglądał tak, jakby dało się go uratować. Nie była słabą kobietą, przeżyła większe nieszczęścia, w tym śmierć ojca. Mimo to świat wydał jej się nagle nieprzyjazny i z całego serca żałowała, że John Durango właśnie leci odrzutowcem do Denver na ważną biznesową konferencję.

Wyrwał jej się szloch, objęła się ciasno ramionami i patrzyła na zniszczony front domu. Wcześniej John ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem, jakie stwarzało dla budynku stare, rozłożyste drzewo. Pień został rozszczepiony, jakby jakaś potężna ręka zadała mu cios karate. Uznała, że sama nic tu nie poradzi.

– Madeline!

Odwróciła się i ujrzała Donalda Duranga wychodzącego ze stojącego obok domu pani Rose. Ze szlochem wpadła w jego ramiona.

– Dzięki Bogu! – powiedział ze szczerą ulgą. – Odchodziłem od zmysłów. Gdzie ty byłaś?

Co za idiotyczne pytanie w tych okolicznościach, pomyślała. Naturalnie, nie zamierzała na nie odpowiadać.

– Nieważne. Spójrz na mój biedny mały samochód! Och, Donald... – Otarła oczy. – Wejdę do środka i zrobię sobie filiżankę kawy – oświadczyła nieprzytomnie, patrząc na dom pustym wzrokiem. Szok kompletnie ją oszołomił.

– Chodź ze mną – zaproponował Donald. – Chwilowo nie będę korzystał z mieszkania nad garażem, czyli pracowni. Możesz tam mieszkać, dopóki nie naprawisz dachu i nie usuniesz drzewa z pokoju dziennego – dodał ze słabym uśmiechem. – Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

– Mój samochód... – powiedziała z płaczem załamana Madeline.

– Silnik dożywał swoich dni. I tak musiałabyś kupić nowe auto.

– Nieprawda. Mógł jeszcze przejechać kolejne setki kilometrów.

– Najwyraźniej spędzasz za dużo czasu z Johnem, skoro tak twierdzisz – ocenił Donald. – Nadawał się tylko na złom.

Bezradnie spojrzała na suknię.

– Nie mam żadnych ubrań.

– Zostań tutaj. Pobuszuję w środku i coś ci przyniosę. Z zewnątrz wygląda na to, że tylko pokój dzienny został zniszczony. Cała reszta powinna być w porządku.

– Chyba nie powinieneś tam wchodzić – powiedziała niepewnie. – Nie chcę, by coś ci się stało z powodu ubrań. Mogę sobie coś kupić.

– Nic mi nie będzie.

– Pani Rose... – Madeline spojrzała z niepokojem na sąsiedni dom.

– Czuje się dobrze – zapewnił ją. – Pobiegłem do niej, jak tylko znalazłem się na miejscu. Chciałem sprawdzić, co się z tobą dzieje. – Westchnął ze szczerą ulgą. – Wydzwaniałem do ciebie bezskutecznie przez całą noc. Pani Rose powiedziała mi, że przyjechał po ciebie mężczyzna w ferrari. Niezła obserwatorka z tej pani Rose i nieuleczalna romantyczka, zdaje się. Jest przekonana, że ty i John uciekliście, żeby się pobrać.

Madeline zrobiło się gorąco na samą myśl o tym.

– No... może niekoniecznie – odparła wymijająco, odwracając wzrok.

– Tak czy owak, to nie moja sprawa – zauważył Donald, ale patrzył z ciekawością na Madeline. – Zobaczą, co uda mi się znaleźć.

Stała na zimnym deszczu i patrzyła, jak poszedł w stronę zniszczonego domu. W głowie jej się kręciło i wciąż czuła się jak odrętwiała. Wyjść z ciepłego łóżka Johna, żeby zastać zniszczony samochód i uszkodzony dom...

Zamknęła oczy, jakby w ten sposób mogła się obronić przed wspomnieniami o minionej nocy. Wciąż czuła na swoich pośladkach dłoń Johna, delikatnie je unoszące; jego usta i aksamitną szczoteczkę wąsów, gdy całował wszystkie wrażliwe miejsca na jej ciele; wspaniałe męskie ciało na swoim ciele. Nadal w uszach miała głos, szepczący lekko ochryple żarliwe słowa.

Wszystko między nimi się zmieniło, włączając w to przyjaźń i



bezpretensjonalne poczucie koleżeństwa. Rano John był powściągliwy, a ona płochliwa, wręcz nieśmiała. Kryła się przed jego baczным spojrzeniem pod brązowymi prześcieradłami i narzutą w czekoladowo– kremowe pasy.

– Porozmawiamy, kiedy wrócę z Denver – zapowiedział.

– Tak – zgodziła się cicho.

Wsadził ją do taksówki, odwrócił się i wszedł do domu, nie oglądając się za siebie.

– Gotowa stąd odejść? – Głos Donalda wyrwał Madeline z zadumy.

Uniósł walizkę, którą trzymał w ręce.

– Pozamykałem pomieszczenia, które nie uległy zniszczeniu, deszcz nie narobił w nich szkód. To tylko pokój dzienny, a wyremontowanie go nie powinno nastęczyć trudności. Najtrudniejsze będzie usunięcie drzewa.

– Zadzwoń... – odchrząknęła – wezwę kogoś później. – Ociekająca wodą suknia przyłgnęła do jej ciała, nie było to przyjemne. – Chciałabym się przebrać w coś suchego.

– W takim razie chodźmy. Zaparkowałem przed domem pani Rose.

Poszła za nim jak w transie, przystanąła tylko na chwilę, żeby krótko porozmawiać ze starszą panią, która okazała szczerą radość, że widzi ją całą i zdrową, ale i nie skrywała ciekawości, gdzie młoda sąsiadka podziewała się przez całą noc. Madeline dyplomatycznie uniknęła odpowiedzi na to pytanie i zdołała wsiąść do samochodu, zanim pani Rose się zorientowała.

– A właściwie gdzie byłaś? – nie wytrzymał Daniel. Zerkał na nią badawczo, gdy jechali w stronę jego domu. – Przecież nie z Johnem. Za dobrze cię znam, żeby w to wierzyć.

Gdybyś tylko znał prawdę, pomyślała, powstrzymując się od śmiechu. Wzruszyła ramionami i posłała mu wymuszony uśmiech.

– Nie chciałbyś wiedzieć. Może popełniałam morderstwo, żeby zebrać

jak najbardziej realistyczne doświadczenia do nowej książki.

Westchnął z przesadą.

– A teraz robisz ze mnie współodpowiedzialnego po fakcie.

– Nie martw się, znam dobrego prawnika, wyciągnie nas oboje.

– W to, że znasz prawnika, akurat nie wątpię – zauważył ze śmiechem.

Oparła się wygodnie o siedzenie.

– Dziękuję, że zaoferowałeś mi lokum. Czy jesteś pewien, że nie przeszkodzi ci to w przyjmowaniu przyjaciół? – drażniła się z nim.

– A ty kim niby jesteś? – odciął się.

– Wiem, w kogo się zamienię, kiedy John Durango odkryje, gdzie mieszkam – stwierdziła i przymknęła oczy.

Będzie wściekły, dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Jak ona mu to wytłumaczy? Teraz, kiedy wkroczyli na nowy grząski grunt, a ich wzajemne stosunki się skomplikowały?

– Pani Rose zaproponowała ci pokój u siebie. – Donald dolał oliwy do ognia, jego niebieskie oczy błysnęły łobuzersko.

– Pani Rose jest członkinią Historycznego Stowarzyszenia Wdów Wojennych – odpowiedziała.

– I co z tego?

Odwróciła się na siedzeniu.

– To, że nie ograniczają się do wspomnień o wojnie, odtwarzają te wydarzenia.

Wyraźnie zdziwiony, spytał:

– Jeżdżą na koniach, wymachują szablami i tak dalej?

– Nie bądź głupi – rzuciła ze zniecierpliwieniem. – Nie ta wojna.

– A która?

– Pierwsza wojna światowa. Przywołują jej wydarzenia, czytając na

głos wiersze i poematy o tematyce wojennej, śpiewając wojenne pieśni. Delikatne staruszki pędzące konno i wymachujące szablami... Masz wyobraźnię. – Stłumiła śmiech, żeby go nie urazić.

– Zasugerowałem taką możliwość, bo znam panią Rose – odrzekł Donald.

W duchu przyznała mu rację, ale nie powiedziała tego głośno. Przyjęcie oferty sąsiadki byłoby jak przyznanie, że obawia się reakcji Johna na wiadomość o zamieszkaniu u Donalda. Poza tym przy całym zamieszaniu, jakie wywoływały cotygodniowe spotkania stowarzyszenia i związane z nimi przygotowania, o pisaniu nie byłoby mowy. Do tego pani Rose była bardzo rozmowna, a kiedy nie mówiła, słuchała radia grającego na cały regulator, bo była na wpół głucha. Lokalne wiadomości stanowiły żelazny punkt programu, za nic w świecie by z nich nie zrezygnowała.

Pozostawało więc zamieszkanie u Donalda albo motel. Nie zamierzała dać Johnowi powodów do satysfakcji. Nawet po tej nocy, którą właśnie spędzili, nie nabył do niej praw. Nie jest jego własnością i nie pozwoli się wpisać na listę mienia ruchomego i nieruchomego. Powiedziała mu to wyraźnie.

Mieszkanie nad garażem było o rzut beretem od tylnego wejścia do rozległego domu Donalda. Miało wydzieloną obszerną łazienkę z pełnym wyposażeniem i pokój będący skrzyżowaniem kuchni z jadalnią. Poza tym nic nie dzieliło dużej otwartej przestrzeni głównego pomieszczenia, wyposażonego w składane łóżko. Pełno tu było obrazów i sztalug, ale Madeline to nie przeszkadzało. Miała nadzieję intensywnie pisać, co powinno odwrócić jej uwagę od otoczenia.

Z uczuciem zawodu rozpakowała walizkę z ubraniami, które wybrał dla niej Donald. Spodnie, bluzki, nawet kilka sukienek z niemnącym

wykończeniem i ani śladu bielizny. Nieważne, jak tylko będzie miała się czym przemieszczać, rozwiąże ten problem. Co gorsza, nie pomyślał o laptopie. Stanowczo musi przede wszystkim poszukać samochodu, żeby działać niezależnie.

Przebrała się w dżinsy i niebieski podkoszulek, przeprowadziła kilka rozmów telefonicznych i zapukała do drzwi domu Donalda.

– Mogę pożyczyć na krótko twój samochód? – spytała wprost, bez zbędnych wstępów. – Muszę pomyśleć o czymś w zastępstwie volkswagena – dodała z z troskaniem.

– Po co ten pośpiech? – spytał. – Mogę ci pożyczyć lincolna na tak długo, jak zechcesz tu zostać.

– Za duży – odparła.

Naturalnie, prawdziwym powodem rezygnacji z propozycji Donalda była chęć polegania wyłącznie na sobie. Wolała nie być od niego zależna.

– Muszę mieć jakiś środek transportu. Może zechciałbyś poświęcić mi trochę czasu i pomógłbyś mi wybrać samochód?

– Dla ciebie wszystko.

Donald poinformował gospodynię, gdzie się wybiera, i zaprowadził Madeline do lincolna.

– Wskakuj – powiedział z ożywieniem. – Co ci chodzi po głowie? Fiat, ferrari...

– Volkswagen – wpadła mu w słowo.

Rzucił jej wymowne spojrzenie.

– Nie jesteś już ubogą pisarką, która musi oszczędzać każdego centa – powiedział lekko uszczypliwie.

– Lubię te samochody. Są ekonomiczne, mają dobre przyspieszenie i są słodkie.

– Boże, daj mi cierpliwość. Ostatnie, o czym pomyślałbym, kupując auto, to czy jest słodkie.

– Według mnie lincolny są słodkie – oświadczyła.

Donald uruchomił silnik.

– Jedźmy, zanim zaczniesz rozwijać tę myśl.

Na szóstej autogieldzie, do której ją zawiózł, znalazła w końcu to, co chciała. Małego żółtego volkswagena, łudzaco przypominającego zniszczony wóz. Różnił się od swojego poprzednika tylko tym, że nie miał wgniecenia na tylnym błotniku i był o pięć lat młodszy.

– To?! – wykrzyknął Donald z niedowierzaniem i niesmakiem.

– Przestań obrażać mój nowy samochód. – Poklepała pieszczotliwie dach. – Czyż nie jest słodki?

Donald z wyrazem rezygnacji na twarzy potrząsnął tylko głową.

– Zadzwoń do ubezpieczyciela w sprawie starego? – spytał.

– Oczywiście. Ściągnęłam też ludzi do remontu, powinni już być na miejscu.

– Wybacz, że wtykam nos w nie swoje sprawy, ale nie byłoby wskazane najpierw oszacować koszty? Poprosić o jakiś kosztorys?

Madeline roześmiała się.

– Znam Billa Gonnellsa od wieków, chodziliśmy razem do szkoły. Jest przedsiębiorcą budowlanym i na szczęście dla mnie, może się podjąć remontu.

– Ja też znam Billa. Apartament nad garażem, w którym teraz mieszkasz, to jego dzieło. – Uśmiechnął się do niej. – A co z drzewem?

– Ludzie z obrony cywilnej mają je usunąć. Zostanie pocięte i sprzedane na loterii fantowej jako drewno opałowe. Dochód posłuży na kupienie nożyc hydraulicznych dla ekip ratunkowych.

– Jak błyskawica, co? – nie krył podziwu. – Jesteś znakomicie zorganizowana.

– Nie potrzebuję drewna, a cel jest wart zachodu. Obiecałam im, że zrobię reklamę w prasie.

– Ty i te twoje pomysły – rzucił z przekąsem Donald.

– Stare dziennikarskie nawyki – zauważyła ze śmiechem. – Mam wiele szacunku dla strażaków i ludzi z ekip ratowniczych, a zwłaszcza dla ochotników. Poświęcają na ćwiczenia prywatny czas, kupują za własne pieniądze wyposażenie i są do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny.

– Często bawisz się w błędnego rycerza? – zażartował, chociaż patrzył na nią z podziwem.

– Tylko raz dziennie, bo się starzeję.

Madeline pojechała do swojego domu po laptopa i notatki. Zaparkowała w pobliżu i poszła dalej pieszo, wymijając ratownicze ekipy i uśmiechając się z wdzięcznością do pracujących mężczyzn. Stary Volkswagen został uwolniony od konara, który go zniszczył. Wgnieciony dach przypominał rozłupany żółty melon. Mieli go odholować na złomowisko i poczuła się tak, jakby straciła dobrego znajomego.

Przystanąła przy aucie i przyłożyła dłoń do wgniecionego błotnika. Przypomniała sobie, jak rozbawiło ją, gdy John usiłował go prowadzić. I to, jak pojechała do niego, gdy wraz z pracownikami rancza zbierał siano. Usiadł obok niej i całował ją namiętnie... Zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową, odpędzając te myśli. Weszła do domu, szybko skompletowała wszystko, co jej było potrzebne, i wróciła do mieszkania nad garażem.

Przez dwa dni nie miała żadnej wiadomości od Johna. Siedziała nad laptopem, uparcie usiłując zarysować postaci głównych bohaterów i miejsca akcji dalszego ciągu *"Wieży wiertniczej"*. Cały jej plan działania zawalił się w

ubiegłym tygodniu i zdawała sobie sprawę z tego, że powinna nadgonić stracony czas.

Prawdę mówiąc, była o wiele bardziej zdyscyplinowana wtedy, gdy pracowała jako reporterka. Pisała nocami po powrocie z redakcji. O wiele ostrożniej i rozsądniej gospodarowała czasem. Po rozstaniu z dziennikarstwem i podjęciu pisania „na pełny etat”, jak to nazwała, nabrała złych nawyków, z których najgorszym było jeżdżenie co rano do miasta. Co oznaczało, że zabierała się do roboty późnym rankiem, a przerwa na lunch skutecznie wybijała ją z rytmu, co nie pomagało później się skoncentrować.

Teraz przeszkadzały w skupieniu się wspomnienia długiej, burzliwej nocy, którą spędziła w ramionach Johna Duranga.

Wpatrywała się w komputer, myśli kłębiły się jej w głowie, ciało pulsowało od obrazów, które podsuwała pamięć. Nawet przy swoim żalośnie małym doświadczeniu w miłości, odniosła wrażenie, że John od dłuższego czasu nie był z kobietą. Czuły i cierpliwy, trzymał żądzę na wodzy, dopóki nie doprowadził Madeline do takiego stanu, że przestała się kontrolować. Dopiero wtedy się połączyli. Musiało go to wiele kosztować, ciało miało napięte, mokre od potu. Potem był namiętny, kompletnie nad sobą nie panował i przeproszał ją za to, co znając go, uznała za dziwne.

Nie spodziewała się oszałamiającej przyjemności, którą ją obdarzył. Pamiętała, jaki ból sprawiło jej to za pierwszym razem, i z początku opierała się Johnowi. W końcu lęk przełamały jego głos, rzucające urok słowa, oswajające ją dłonie, zmysłowe pocałunki. Z wprawą, na wspomnienie której wciąż przyspieszał jej oddech, pieścił ją i całował, aż zaczęła go błagać, żeby zakończył te słodkie, wymyślne, odbierające jej rozum miłosne zabiegi.

Nie szydził z jej absolutnego poddania, nie chełpił się, nie śmiał z jej błagań. Pieścił ją, jakby grał na bezcennym, czułym instrumencie, całując,

smakując, rozkoszując się nią w noc wypełnioną błyskawicami, deszczem i grzmotami.

Zostało im kilka godzin snu, zanim budzik odezwał się przenikliwie, wzywając Johna na konferencję w Denver. Na wpół śpiąca, patrzyła na niego, jak szybko się ogarnia i ubiera. Zawstydzona, nie chciała wstawać pod jego bacznym wzrokiem. Wyczuł to i bez słowa zostawił ją samą, żeby mogła się ubrać. Wymienili może z dziesięć słów, zanim wsadził ją do taksówki, a w jego srebrzystoszarych oczach czytała poczucie winy, żal i niepewność.

„Nie pozwól, żebym ci sprawił ból”, szeptał głosem pełnym pożądania, delikatni unosił jej ciało i prowadził ją, uczył rozkoszy. „Chcę, żeby było idealnie”. „Jest... wspaniale”, wyszeptała, głos jej się łamał ze wzruszenia. Dał jej nowe doznania i emocje, graniczące z szaleństwem.

Madeline zamknęła oczy i zadrżała. Wydawało się niemożliwe – zaznać takiej rozkoszy i nie umrzeć. Wreszcie zrozumiała, dlaczego Francuzi określają akt miłosny *la petite mort* – mała śmierć.

Wstała i wyłączyła laptopa. To prowadzi donikąd. Jak ma pisać z głową wypełnioną Johnem? Przygotowała sobie grzankę z serem i filiżankę kawy. Może potem odzyska twórczą wenę.

Niestety, potem, a właściwie dużo później, wciąż nie zdołała spłodzić nawet jednego akapitu. Właśnie minęła dziewiąta wieczór. Po raz drugi wyłączyła komputer i postanowiła wziąć prysznic. Równie dobrze może pójść wcześniej spać.

Dobrze było czuć igielki wody rozpryskujące się na skórze. Namydliła się mydłem o kwiatowym zapachu, zamknęła oczy i znów poczuła na sobie pieszczące dłonie Johna, w uszach rozbrzmiał jego niski głos, cicho mówiący jej, jak cudownie wygląda w świetle stojącej na stoliku nocnym lampki, którą zapomnieli zgasić.



Zirytowana na samą siebie, oplukała się szybko. Nie chce pamiętać. Teraz, gdy mu uległa, będzie oczekiwał, że tak ma być znowu, a od tego tylko krok, aby traktował ją jak swoją własność. Nie zostanie jego kochanką, o nie! Ma jeszcze jakąś rodzinę, z którą powinna się liczyć, a zresztą sama jest w tych sprawach staroświecka i nie potrafiłaby zaakceptować tego rodzaju związku. Wystarczająco źle się stało, że poddała się namiętności, którą w niej tak umiejętnie rozpalili. Nie obnaży swojej słabości przed całym Houston!

Wyszła spod prysznic i wytarła się puszystym niebieskim ręcznikiem. Zdjęła czepek kąpielowy wykończony falbanką i falujące złocistorude włosy rozsypały się po jej białych ramionach.

A jednak wciąż w głowie kołatała się myśl, jak zdoła wyjaśnić swoją obecność tutaj Johnowi, kiedy wróci on z Denver. Wiedziała, jaki ma stosunek do Donalda i nawet jeśli nie rozumiała dlaczego, jedno było pewne: trudno jej będzie znaleźć argumenty, żeby mu wyjaśnić powody swojej decyzji. Z drugiej strony, jest przecież dużą dziewczynką i niezależnie od, nazwijmy to, ciepłych uczuć wobec niego, nie jest jego własnością.

Czułość.

Stała z ręcznikiem zwisającym jej luźno w dłoni, zastanawiając się nad tym słowem. Niewiele miało wspólnego z głodem jej ciała, chęcią, by sprawić przyjemność Johnowi, dzielić ją z nim. Nigdy dotąd nie doznawała takich uczuć i nie bardzo potrafiła je nazwać. Ruchem głowy odrzuciła do tyłu włosy. To prowadzi donikąd, uznała w duchu. Pograżona w rozmyślaniach, wyszła z łazienki do pokoju naga, z zapomnianym ręcznikiem przewieszonym przez rękę. Usłyszała trzaśnięcie drzwi na dole, czyjeś kroki i, zanim zdążyła się zorientować, że za chwilę będzie miała towarzystwo, wewnętrzne drzwi prowadzące do mieszkania zostały otwarte z impetem i w progu stanął John, wyglądający jak uosobienie furii.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zaskoczona Madeline w milczeniu wpatrywała się w nieoczekiwanego gościa, zapominając o tym, że stoi naga.

– Spodziewałaś się mojego kuzyna? – spytał lodowatym tonem.

Spojrzenie srebrzistoszarych oczu wędrowało po jej ciele, jakby ją oceniał.

Dopiero teraz, pod wpływem tego badawczego wzroku, drżącymi rękami owinęła się ręcznikiem.

– Nikogo się nie spodziewałam – odparła zdenerwowana.

– To co tu, do cholery, robisz?

Madeline pomyślała, że John musi używać tego samego tonu, dyscyplinując niesubordynowanych członków zarządu. Mimo woli zarumieniła się, ale nie zważając na to, dumnie wyprostowała ramiona okryte falującymi rudymi włosami.

– A co to, do cholery, cię obchodzi?

– Zadajesz mi takie pytanie po tym, co między nami zaszło?! – rzucił ze złością.

Poczerwieniała jeszcze bardziej i odwróciła wzrok.

– Uważasz, że po jednej wspólnej nocy stałam się twoją własnością?

– Nie odpowiadaj mi pytaniem na pytanie – zniecierpliwił się.

Szybkim ruchem sięgnął do kieszeni po papierosy, nie znalazł ich, co skwitował, wypowiadając pod nosem przekleństwo, którego Madeline, ku swojej uldze, nie dosłyszała.

– Byłeś w pobliżu mojego domu? – Odwinęła koniec ręcznika i zasupłała go ciaśniej. – Wiesz, co się stało?

– Tak, byłem koło twojego domu – potwierdził i dopiero teraz zauważyła, że jest blady. – Mogłaś zostawić kartkę w drzwiach – dodał. – Musiałem wyciągnąć panią Rose z łóżka, żeby się dowiedzieć, czy żyjesz. Zdziwiła się moim widokiem, bo nie wiadomo dlaczego – kontynuował z gniewem – była przekonana, że planujemy sekretny ślub.

Madeline poczuła się urażona, bo najwyraźniej możliwość ślubu z nią nie mieściła się w głowie Johna.

– Pani Rose jest nieuleczalną romantyczką – zauważyła, unikając jego wzroku.

– Nie znalazłaś ani minuty, żeby zadzwonić i powiadomić Josita?

– Przepraszam – powiedziała pojednawczo. – Byłam za bardzo zdenerwowana, żeby o tym pomyśleć. Musiałam kupić samochód, znaleźć ekipę remontową i jakieś miejsce do mieszkania. Drzewo wbiło się w dom!

– Nie widziałem żadnego drzewa, kiedy obok przejeżdżałem – zareplikował.

– Służby porządkowe zdążyły je usunąć.

– Jakoś to wszystko mnie nie przekonuje. Poza tym wciąż nie usłyszałem wyjaśnień na temat twojej obecności w pracowni Donalda.

– A powinnam się tłumaczyć? – spytała nieustępliwie. – Jestem wolna, ładnych parę lat temu skończyłam dwadzieścia jeden lat i nikt, ale to nikt nie będzie mi mówił, co mam robić! – podkreśliła.

– Tak uważasz? – rzucił zimnym tonem John.

– Jestem tego pewna – odparła stanowczo i po namyśle dodała pojednawczym tonem: – Nie chcę z tobą walczyć.

– Mieszkasz z nim?

– Oczywiście, że nie! – Madeline podniosła głos, dając wyraz irytacji. – Na litość boską, co ludzie by sobie pomyśleli!

– Już pomyśleli – uświadomił jej lodowatym tonem. – Wyobrażałaś sobie, że nikt nie zauważy?

– Musiałam gdzieś zamieszkać – burknęła.

– Co ci przeszkadzało skorzystać z pokoju u pani Rose?

– Historyczne Stowarzyszenie Wdów Wojennych, oto co.

– Mogłaś wprowadzić się do mnie.

Mieszkać z nim, mieć go koło siebie, siadać razem do posiłków, patrzeć, jak chodzi po domu, dzielić z nim życie... Nie, to niemożliwe, za trudne, zbyt osobiste. John podszedł bliżej, wciąż był zły, ale oczy mu złagodniały. Duże ciepłe dłonie ujęły ją za ramiona, stali teraz naprzeciwko siebie, badając wzrokiem swoje twarze.

– Nie rób tego – wyszeptała niepewnie. Dotyk Johna działał na nią magicznie.

– Zamieszkaj ze mną – powiedział cicho.

Pochylił głowę, dotknął wargami jej ust i pocałował ją delikatnie i zarazem zmysłowo. Madeline poczuła, że traci rozsądek.

– Ja... nie mogę... – wyszeptała.

– Przecież chcesz – przekonywał ją. – Chcesz, prawda?

Uniósł ją z podłogi i wziął na ręce. Ustami skubał jej rozchylone wargi, kąsał je leciutko, przeniknięty tytoniem oddech mieszał się z jej oddechem, gdy niósł ją do łóżka.

– Pamiętasz, jak było – szeptał – błagałaś mnie...

– Nie!

Wciąż się opierała, nienawidząc własnej słabości, nienawidząc siebie za to, że tak łatwo zwyciężył. Wystarczyło, aby jej dotknął, i skapitulowała.

– Tak – powiedział, nie odrywając warg od jej ust.

Ułożył ją na łóżku i niemal wcisnął w materac własnym ciałem, gdy

zaczął ją całować namiętnie, przewyciężając resztki oporu. Poddała się cudów- nemu uczuciu bezwładności, które ją ogarnęło, gdy John zsuwał ręcznik z jej ciała, powoli, drażniąco.

– Jesteś... ciężki – wyszeptała urywanie, kiedy w końcu oderwał wargi od jej nabrzmiąłych ust.

– To tylko to cholerne ubranie – powiedział z lekkim uśmiechem – nie ja.

Obsypał pocałunkami jej przymknięte powieki, nos, policzki, kąciki ust.

– Pachniesz polnymi kwiatami i smakujesz jak miód.

Oddech mu przyspieszył, uniósł się lekko i zaczął ją całować po szyi, obojczykach, ramionach, rozkoszując się jej jedwabistą skórą, aż dotarł do piersi, które nabrzmiały od pieszczoty, zdradzając podniecenie, które ogarnęło Madeline.

– Pomóż mi się rozebrać – poprosił gardłowo.

Wyciągnęła ręce, ujęła jego twarz w dłonie, tak by móc mu patrzeć w oczy. Płonęły, pociemniałe z pożądania.

– Musimy porozmawiać – powiedziała niepewnie, chociaż drżała na całym ciele z pożądania.

– Lepiej nam to wyjdzie bez słów – zapewnił ją niskim, zmysłowym głosem. Obwiódł palcem kontur jej ust, wpatrując się w nią płonącymi oczami. – Boże, jak ja za tobą tęskniłem! Przez cały czas myślałem o tym, co się między nami wydarzyło, czułem twoją skórę, w uszach dźwięczały mi twoje ciche, słodkie pojękiwania.

– Przestań! – rzuciła, odwracając głowę, bo zachciało jej się płakać.

Zesztywniał, a po chwili delikatnie, ale jednak zmusił Madeline, by na niego spojrzała.

– Ty się tego wstydzisz – skonstatował z niedowierzaniem.

Zamknęła oczy, usta jej drżały.

– Tak, jestem zawstydzona – przyznała niechętnie.

– Puść mnie, John. Proszę.

Bez słowa przetoczył się na łóżku i wstał. Obserwował ją, gdy cała zaróżowiona naciągnęła na siebie ręcznik, a potem już siedząc, owijała się nim starannie. Wcisnął obie ręce w kieszenie, patrząc na nią z gniewem.

– Porozmawiaj ze mną, do diabła! Czego tu się wstydzić?

Wbiła wzrok w dywan, coraz bardziej zdenerwowana.

– Łączyło nas coś rzadkiego – zdołała w końcu powiedzieć. – I to się rozpadło. Dlaczego to zrobiłeś? – Głos jej się załamał. – Dlaczego to zniszczyłeś?

– Nie zgwałciłem cię – zauważył lodowatym tonem.

– Nie – przyznała – ale wykorzystałeś to, co do ciebie czułam. Jesteś taki sam jak wszyscy mężczyźni, Johnie Durango. Obchodzi cię jedynie, jak dostać to, czego chcesz. Jestem zdziwiona, że miałeś tyle cierpliwości, aby czekać na mnie dwa lata, skoro świat jest pełen rozmaitych Melody, chętnych na każde skinienie.

Twarz Johna wyraźnie pobiadła pod opalenizną.

– To tyle dla ciebie znaczyło?

Roześmiała się niewesoło.

– A ile miało znaczyć? – spytała.

Zrobiła to wbrew sobie, świadoma, że skwitowała wspaniałe przeżycia w pogardliwy sposób. Mimo to postanowiła, że nie okaże Johnowi słabości, nie skończy jako ostatnia zdobycz, chwilowa zabawka, porzucona, gdy się znudzi. Przecież zapowiedział, że więcej się nie ożeni. Zresztą wcale nie chciałyby wyjść za niego za mąż.

– W jaki sposób tu trafiłaś? – spytał, przerywając ciężkie milczenie,

które zapadło po słowach Madeline. – Czekał na ciebie?

Westchnęła ze znużeniem.

– Wróciłam do domu i zobaczyłam zniszczony samochód oraz drzewo tkwiące w pokoju dziennym. Ty byłeś w drodze do Denver, a Donald czekał na mnie na ganku domu pani Rose. Zaoferował mi mieszkanie. Co miałam powiedzieć?

– Na przykład, nie, dziękuję – zasugerował zimnym tonem. – Obnosiłaś się ze swoją znajomością z moim kuzynem, odkąd go poznałaś. Tolerowałem to ze względu na naszą przyjaźń. Zamieszkać w jego progach to co innego.

– Twoje zaufanie do mnie zbija z nóg – zauważyła z goryczą.

– To nie jest kwestia zaufania – sprzeciwił się, a w jego głosie brzmiało znużenie. – Założyłem, że czeka nas coś bardziej stałego niż jedna przelotna noc. Jak się okazało, nie podzielasz mojego przekonania. Wiesz, jaki jest mój kuzyn i jakie żywi wobec ciebie uczucia. Skoro praktycznie zamieszkałaś u niego, zakładam, że je odwzajemniasz. Nie chciałem w to uwierzyć, ale teraz nie mogę zamykać oczu na prawdę.

– Nie pragnę skrycie Donalda – odcięła się.

– Udowodnij to. Wprowadź się do mnie.

– Nie.

– To mówi samo za siebie, prawda?! – Widać było, że John z trudem panuje nad sobą. – Wybierasz jego, nie mnie.

– Nieprawda! – wykrzyknęła, wstając. – Nie łączy nas taki rodzaj znajomości, bo nie śpiam z nim!

Omiótł ją gniewnym spojrzeniem, w jego oczach pojawiła się pogarda i Madeline miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Ty z moim kuzynem – rzucił jadownicę.

– Donald – poprawiła go. – Ma na imię Donald. Dlaczego nigdy nie

używasz jego imienia?

– Czyżby ktoś mnie wzywał?

Donald stanął w drzwiach, mając na sobie szlafrok narzucony na piżamę. W jednej ręce trzymał butelkę szampana, w drugiej dwa kieliszki. Uśmiechał się złośliwie.

– Przepraszam, że to tak długo trwało, moja droga.

John wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować. Zadał błyskawiczny cios pięścią i Donald wylądował na środku dywanu. Kieliszki rozbiły się, butelka szampana uderzyła w podłogę z głuchym dźwiękiem.

– Kuzynie, czy to było uprzejme? – spytał szyderczo Donald, pocierając szczękę.

John nie zadał sobie trudu, aby mu odpowiedzieć. Spojrzał oskarżycielsko na pobladałą, zszokowaną Madeline. Wcześniej nie widziała w jego oczach takiej pogardy. Popatrzył wymownie na okrywający ją ręcznik, potem na Donalda, odwrócił się i bez słowa wyszedł.

Madeline zacisnęła dłonie na ręczniku i spojrzała z wyrzutem na Donalda.

– Co w ciebie wstąpiło? – spytała chłodno.

– Usłyszałem, jak wypytuje Maisie, gdzie jesteś, i pomyślałem, że dobrze będzie wykonać przyjacielski gest. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wobec kogo? – spytała z równym jak poprzednio chłodem.

– Nie złość się. Działalem pod wpływem impulsu. Od czasu do czasu odczuwam potrzebę, aby dopiec kuzynowi Johnowi. – Zachichotał. – Widziałaś jego minę? Miałem szczęście, że nie złamał mi zuchwy.

– Będiesz tak uprzejmy i usuniesz pozostałości swojego prostackiego działania pod wpływem impulsu? – spytała Madeline.

Czuła się odrętwiała, niczym martwa. Uniósł brew i spojrzał na nią



zachęcająco.

– Wciąż możemy napić się szampana. A może raczej – dodał z dziwnym spojrzeniem – wolałabyś się w nim wykąpać?

Podeszła do szafy i włożyła szlafrok na ręcznik.

– Dobranoc, Donaldzie.

Z westchnieniem podniósł butelkę szampana z podłogi i przybrał skruszony wyraz twarzy.

– Dopilnuję, żeby uprzątnięto ten bałagan rano. Uważaj na szkło. Dobranoc.

Madeline nie odpowiedziała. Po wyjściu Donalda położyła się w szlafroku do łóżka. Łzy spływały jej po policzkach. Dlaczego tamtej nocy, gdy uległa Johnowi, nie pomyślała o tym, że to wszystko między nimi zmieni?

Nie będzie już leniwych poranków spędzanych na jeździe konnej. Wieczorów w operze. Wspólnego oglądania w telewizji serialu z aktorem, który tak bardzo przypominał Johna. Telefonów na dobranoc, bo on poczuł się samotny i potrzebował pogadać. Straciła to bezpowrotnie i dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że znaczyło to dla niej bardzo dużo. Czy naprawdę nie mogłaby zamieszkać z nim na jego warunkach? Spędzać noce w jego ciepłych, opiekuńczych ramionach?

Wtuliła twarz w poduszkę. Cóż, było za późno. Sama sobie to zawdzięcza. Zamiast przyznać, że jest w nim zakochana, zmusiła go do usunięcia się z jej życia. Nie należał do mężczyzn, którzy gotowi są przybiec z powrotem. Na to był zbyt dumny.

Miłość. Kilka liter, jedno słowo, a tak potrafi zmienić czyjś świat i wszystko wokół. Pokochała Johna. Dlaczego nie zrozumiała tego, zanim zaniósł ją do swojego łóżka? Dlaczego nie rozpoznała, że to nadchodzi?

Może tylko powtórzyć sobie: za późno. John myśli, że zdradziła go z nielubianym kuzynem, nigdy jej nie wybaczy, a ona została z tą swoją drogocenną wolnością i niezależnością. Co jej po nich? To puste słowa, tak jak i jej życie bez Johna Duranga.

Następnego ranka wstała późno, wzięła prysznic i włożyła prostą białą sukienkę. W związku ze zbieraniem materiału do powieści miała spotkać się ze znajomym policjantem, a wyglądała upiornie. Była blada, miała podkrążone oczy. Na szczęście odpowiedni makijaż to zatuszował.

Donald stanął na jej drodze, gdy szła do volkswagena. Najwyraźniej czatował na nią.

– Dzień dobry. Przepraszam za ostatnią noc. Dobrze się czujesz?

Nie mogła się do niego nie uśmiechnąć, chociaż jeszcze wczoraj najchętniej by go zabiła.

– Nie najgorzej, dziękuję. Co się stało, to się nie odstanie. Ostatnio niezbyt dobrze z Johnem się dogadywaliśmy.

– Mądra dziewczyna! Dokąd się wybierasz?

– Do „Reno”. – Madeline wymieniła nazwę restauracji w śródmieściu, mieszczącej się w kompleksie biurowym z podziemnym parkingiem i sklepami. – Gromadzę materiały do następnej książki.

Zmarszczył czoło i spytał z lekką ironią:

– Oczywiście wiesz, że to jedna z ulubionych knajp mojego kuzyna?

Akurat teraz nie miała najmniejszej ochoty natknąć się na Johna, ale było za późno, żeby zadzwonić do sierżanta Jacka Mulligana i zmienić miejsce spotkania. Do umówionej pory zostało tylko dziesięć minut. Trudno, postanowiła Madeline, zaryzykuje.

– Ależ to wymaga namysłu... – dociął jej Donald.

Zaśmiała się niewesoło.

- Nie myślę, ale się modłę. Nawiasem mówiąc, jak szampan?
- Doskonały. Do dna butelki. Cóż, życzę ci szczęścia.
- Dziękuję, będzie mi potrzebne – powiedziała właściwie do siebie.

Madeline знаła sierżanta Jacka Mulligana z czasów, gdy była reporterką zatrudnioną w prasie. Pełnił służbę w wydziale zabójstw i stanowił dla niej nieocenione źródło informacji. Nie miał nic przeciwko temu, aby dzielić się z nią swoją wiedzą, o ile nie dotyczyła poufnych danych o właśnie prowadzonych śledztwach.

– Nawet nie wiesz, jak ci jestem wdzięczna – powiedziała Madeline, gdy po godzinie intensywnego wypytywania o przypadek, który ją szczególnie interesował, zamówili spaghetti. – Zwłaszcza że to twój wolny dzień.

Uśmiech nieznacznie zmiękczył surowe rysy twarzy doświadczonego policjanta, który widział i słyszał to, o czym zwykli ludzie rzadko mają pojęcie. Przeciągnął dłonią po siwych włosach.

– Drobiazg. Nie zapomniałem, że dedykowałaś mi jedną ze swoich książek. Żona wyciąga ją, ile razy mamy gości.

– Przynajmniej to mogłam dla ciebie zrobić.

Upiła łyk kawy i po raz kolejny zerknęła w kierunku wejścia, co robiła za każdym razem, gdy ktoś wchodził do restauracji.

– Czy chciałabyś coś jeszcze wiedzieć? – spytał Mulligan.

– Prawdę mówiąc, tak – odparła z uśmiechem. – Potrzebuję informacji na temat handlu narkotykami, bo ten właśnie proceder umieściłam w tle powieści, a zależy mi na zadbanie o jak największe prawdopodobieństwo. Kontaktowałam się z rządową agencją zwalczającą handel narkotykami i wiele mi to dało, potrzebuję jednak bardziej szczegółowych danych o lokalnym rynku. Na przykład jak to jest być policjantem tropiącym dilerów,

działającym pod przykrywką.

– Zwyczajnie. Najpierw człowiek przestaje się golić i kąpać, potem uczy się przybierać odpowiedni wyraz twarzy i mówić, jakby był na hajcu.

Widelec, który wzięła do ręki Madeline, zawisł nad talerzem ledwie tkniętego makaronu, oblepionego gęstym, czerwonym sosem.

– Proszę?

– No dobrze, wygląda to tak... – zaczął Mulligan.

Powoli i systematycznie wprowadził ją w strukturę narkotykowej organizacji. Zaczął od rodzajów marihuany, skąd pochodzi, kto ją kupuje, jak się ją pali. Madeline pilnie robiła notatki, mając nadzieję, że później zdoła odcyfrować własne bazgroły. Wołała nie liczyć wyłącznie na pamięć.

– Dwadzieścia lat pracuję na ulicach – ciągnął Mulligan – a wciąż mam silną motywację do tego, co robię. To brudny interes, a najobrzydliwsze jest to, że człowiek odkrywa, jak wielu poważanych i szanowanych obywateli za tym stoi. Pajęczyna korupcji jest rozległa, a walka z jej ukróceniem frustrująco nieskuteczna. Tragedia polega na tym, że większość dilerów jest znana policji, ale nie można nikogo aresztować bez oczywistych dowodów i właśnie tu zaczynają się problemy.

– Czy to znaczy, że trudno sformułować akt oskarżenia?

– Nie. Natomiast uzyskać wyrok skazujący, tak

– wyjaśnił ze znużonym uśmiechem, który mówił wszystko. – Człowiek spędza tygodnie na zbieraniu dowodów, wreszcie dokonuje upragnionego aresztowania dilera i stawia go w stan oskarżenia, a jacyś sędziowie przysięgli zwalniają go z powodu uchybień dowodowych.

– To dlatego policjanci tak psioczą?

– Niekoniecznie, po prostu pracujemy ciężiej. – Sierżant upił łyk kawy. – A właśnie, chłopaki ze służb ratowniczych są wniebowzięci, że oddałaś im

drewno.

– Mam nadzieję, że zdążą je przygotować na loterię.

– Wtedy musieliby ją przesunąć na jesień. Zamierzają składować drewno i wysuszyć je przez lato.

– No tak, powinnam była o tym pomyśleć.

W tym momencie kątem oka dostrzegła wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę o wyrazistej twarzy i bystrych oczach, w jasnoszarym garniturze z kamizelką i pasującym kolorem stetsonie, wchodzącego do restauracji z trzema towarzyszami.

Zaciekawiony Mulligan popatrzył w tym samym kierunku.

– Ktoś znajomy? – spytał.

– Dobre pytanie...

John Durango przeprosił swoich znajomych i ze stetsonem w dłoni podszedł zdecydowanym krokiem do ich stolika. Jego mina zapowiadała nieuchronne kłopoty i Madeline zebrała się w sobie. Miała jednak nadzieję, że nie zrobi jej sceny w restauracji.

– W co, do cholery, się bawisz? – rzucił bez zbędnych wstępów, rzucając przelotne spojrzenie na jej towarzysza. – Powiedziałem ci, że to koniec, więc dlaczego mnie śledzisz?

– Ja ciebie śledzę? – zachnęła się z niedowierzaniem.

– A jak inaczej wytłumaczysz swoją obecność w mojej ulubionej restauracji? – zapytał zjadliwie, patrząc na nią pogardliwym wzrokiem.

– Jem lunch ze znajomym – odpowiedziała chłodnym tonem. – Nie uganiam się za tobą, podobnie jak nie uganiałabym się za mężczyzną, który uważa, że jest darem niebios dla kobiet.

– Nie jesteś zbyt wybredna w doborze kompanów, co? – John obrzucił Mulligana gniewnym spojrzeniem. – Nie jest dla ciebie za stary?

– Niech cię nie zwiodą siwe włosy, synu, dopiero co skończyłem szkołę średnią – odciął się szyderczym tonem sierżant.

Johna nie rozbawiła ta uwaga. Wciąż z ponurą miną wpatrywał się w Madeline.

– Skoro jesteś tak zdesperowana, aby mnie szukać, równie dobrze możemy porozmawiać. – Odsunął krzesło i usiadł, rzucając kapelusz na stojące obok wolne krzesło. – Pozbądź się znajomego i przedyskutujmy sprawę.

– Nie zamierzam postąpić nieuprzejmie, a poza tym nie ma o czym dyskutować – rzuciła oschle, głęboko urażona zachowaniem Johna.

Niedawno nawet przez myśl by mu nie przeszło, aby rozmawiać z nią w ten sposób albo podejrzewać ją o rozwiązłość. Teraz patrzył na nią tak, jakby zaczęła świadczyć usługi jako prostytutka.

– Nie? – Odwrócił się do Mulligana. – A pan jest jednym z tych kryminalistów, z których wyciąga informacje potrzebne do pisania powieści?

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknęła z oburzeniem Madeline. – Nie znam żadnych kryminalistów!

– Nie? A były przemytnik, z którym korespondowałaś?

– Zamkniesz się wreszcie?! – W jej głosie zabrzmiały piskliwe nuty.

Zerknęła z niepokojem na sierżanta, który próbował skryć uśmiech.

– Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś miała w swojej świcie jakiegoś specja od mokrej roboty – kontynuował John. – Znasz ludzi najgorszego autoramentu.

– Nie wszyscy twoi znajomi zaliczają się do śmietanki towarzyskiej – odcięła się. – Na przykład ten cuchnący pijak, z którym przyszedłeś na bożonarodzeniowy obiad.

– To był pierwszy nacierz pracujący dla mojego ojca i pachniał wodą kolońską, którą mu pożyczyłem – oznajmił z oburzeniem. – Nie był pijany!

– Ciekawe, jak to inaczej nazwać? – spytała gniewnie. – Próbował zagrzebać pasztet z wątróbek w araukarii!

– Próbował pozbyć się tego cholernego specjału, żeby nie musieć go jeść – poinformował ją.

– Ale ty swój zjadłeś!

– Akurat – burknął. – Wepchnąłem w kieszenie.

Popatrzyła na niego ze złością.

– Spędziłam sporo czasu, przygotowując pasztet!

– Josito spędził więcej, próbując się go pozbyć z moich kieszeni – stwierdził zgryźliwie John.

Madeline ledwie nad sobą panowała i dlatego nie zareagowała na ostatnią złośliwość Johna. W tym momencie nienawidziła go za arogancję i za nieskazitelny wygląd. Dwie kobiety siedzące nieopodal bez skrupowania przypatrywały mu się z jawną aprobatą. Przedłużające się milczenie przerwał John.

– To do niczego nie prowadzi – stwierdził nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Zjesz ze mną lunch i porozmawiamy o ostatniej nocy.

– Nie zamierzam skorzystać z tej propozycji – oznajmiła stanowczo.

– Ale zjesz – zakomenderował.

Uśmiechnęła się zjadliwie.

– Skoro nalegasz... Proszę, podzielę się swoim.

Wciąż uśmiechnięta, uniosła talerz, przechyliła go i spaghetti powoli zsunęło się na kolana Johna. Czerwony sos rozlał się po spodniach jasnego, drogiego garnituru.

Jack Mulligan wciąż się zaśmiewał, gdy wraz z Madeline zjechał windą na podziemny parking.

– Do końca życia nie zapomnę wyrazu twarzy wielkiego Johna Duranga

– zdołał wreszcie powiedzieć. – Postaram się pamiętać, żeby broń Boże cię nie zdenerwować.

Teraz, kiedy było już po wszystkim, Madeline też się roześmiała.

– Nie wiem, co gorsze. Sos do spaghetti czy odkryć po tych wszystkich jego uwagach, w jakim towarzystwie się obracam. Naprawdę nie znam żadnych płatnych zabójców – dodała, rzucając ukradkowe spojrzenie na sierżanta.

– Cieszę się. Szkoda lunchu. Chcesz pójść gdzie indziej?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Bardzo ci dziękuję, ale całkowicie straciłam apetyt. W pełni doceniam pomoc, na jaką mogę liczyć przy zbieraniu informacji niezbędnych do pisania powieści kryminalnych. Gdybym mogła zrobić coś dla ciebie...

– Już zrobiłaś – zapewnił ją z szerokim uśmiechem.

– Od miesięcy tak się nie uśmieiałem.

Później, rozszyfrowując na świeżo notatki, Madeline zastanawiała się, czy słusznie postąpiła, ignorując chyba jednak pojednawczą propozycję Johna. Może chciał przeprosić za rzucane na nią oskarżenia, pogodzić się? Zaraz przyszło jej do głowy, że mogło jedynie chodzić o zaciągnięcie jej do łóżka. I ta myśl bolała najbardziej. Co prawda, prosił ją, aby z nim zamieszkała, ale nie jako żona. Tymczasem ona coraz wyraźniej rozumiała, że pragnie dzielić z nim życie, rodzić mu dzieci, kochać go, póki starczy jej życia, ale nie za cenę bycia jedynie kochanką. Kimś, do kogo przyznaje się z zażenowaniem jak do wstydliwego nałogu. Z tym nie potrafiłaby się pogodzić, skoro jej uczucia są głębsze, uznała.

Z ciężkim westchnieniem wstała zza prowizorycznego biurka i zapatrzyła się w okna domu Donalda. Zdaje się, że w tych warunkach i okolicznościach, w tym stanie ducha, z gonitwą myśli w głowie, nie napisze



książki. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek w życiu doznała silnego poczucia pustki i wszystko widziała w ciemnych barwach.

Ponury nastrój nie opuszczał jej przez wiele dni, podczas których musiała z całych sił powstrzymać się, aby nie zatelefonować do Josita i nie wypytać go, czy John jest w Houston. Zresztą co by to zmieniło? Nie zamierzał do niej zadzwonić. Prawdopodobnie pokazuje się na mieście, bywa w towarzystwie z Me– lody i nic go nie obchodzi, że Madeline znikła z jego życia. Wiele kobiet zawarłoby z nim bliską znajomość i bez oporów wylądowałoby w jego łóżku. Dołączyła do tej grupy, a on zapewne czuł dla niej pogardę za to, że tak łatwo mu uległa, i stracił dla niej szacunek

Musiała mieć te myśli wypisane na twarzy, bo w piątkowy wieczór wyraźnie zaniepokojony Donald zaprosił ją do dyskoteki.

– Spodoba ci się – przekonywał. – Podają wspaniałe steki, a muzyka jest wystarczająco głośna, żebyś zapomniała, jak się nazywasz. Nowe miejsce, ulubione przez młodych ludzi.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Jak młodych?

– Jeśli właściwie się ubierzemy, to nikt nie zwróci na nas uwagi.

– Piękne dzięki – powiedziała zgryźliwie. – Wyglądam tak staro?

– Jesteśmy w tym samym wieku – przypomniał jej.

Madeline westchnęła.

– Ostatnio czuję się tak, jakbym miała czterdziestkę na karku. Energia i entuzjazm mnie opuściły. No cóż, postaram się je z siebie wykrzesać. W szafie wisi wspaniała srebrna sukienka, odpowiednia do dyskoteki, której nigdy nie miałam okazji włożyć. Wpadnę po nią do domu.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Teraz cię poznaję.

Poniewczasie pomyślała, że powinno ją zastanowić to, dlaczego Donald zabiera ją do dyskoteki, skoro wolał Verdiego i Wagnera. Dopiero gdy siedzieli przy stoliku, patrząc na oświetlony różnokolorowymi, pulsującymi światłami parkiet i słuchali dudniącej muzyki, zrozumiała, co nim kierowało. Podniosła wzrok znad talerza ze stekiem i zauważyła zaledwie cztery stoliki dalej Johna Duranga z Melody, która prawie siedziała mu na kolanach.

– Zamorduję cię – powiedziała słodkim głosem do Donalda, ze znieruchomiała w pół drogi ręką, w której trzymała widelec. – Doczekasz się, że którejś nocy spryskam niewykrywalną trucizną twoją kolację i będę z radością patrzyła, jak się dusisz i usiłujesz złapać ostatni oddech.

– Nie zrobisz tego – zaprzeczył z przekonaniem Donald i upił łyk czerwonego wina. – Marzysz o nim. Zadzwoiłem do Josita, to znaczy Maisie zadzwoniła i spytała, gdzie on jest. Reszta była dziecinnie prosta.

– Tak jak ja dziecinnie naiwna. Natychmiast zabierzesz mnie do domu – poleciła zdecydowanie i rzuciła serwetkę na stół.

– Och nie. To nie wchodzi w rachubę – odparł. – Jeśli teraz wyjdiesz, to od razu domyśli się, że jesteś zazdrosna.

– Nie jestem... – zaczęła i zniżyła głos – nie jestem zazdrosna.

Uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie, że tak, i to bardzo.

W tym momencie Madeline poczuła na sobie czyjś palący wzrok i natknęła się spojrzeniem na Johna. Wpatrywał się w nią srebrzystoszarymi oczami tak intensywnie, że jej serce przyspieszyło rytm. Usta pod wąsami zacisnęły się w ciekawą wąską linię, rysy twarzy wyostrzyły. Szybko pochyliła głowę nad talerzem.

– No, no, co za groźne spojrzenie – Donald roześmiał się ironicznie. – Wściekły, co?

– Wiesz dobrze, że ostatnio omijam Johna na kilometr – odparła ze złością.

– I odwrotnie, jeśli wyraz twarzy mojego kuzyna ma tu coś do rzeczy. A Melody wygląda, jakby dopiero co dorosła. Świetnie wygląda i jest taka młoda.

Zabolało. Madeline wbiła w Donalda wzrok, który mówił „zapłacisz mi za to”, i z przyjemnością patrzyła, jak niespokojnie poprawił się na krześle.

– Rzeczywiście jest niezwykle atrakcyjna – przyznała lekkim tonem, choć nadal była zdenerwowana.

– John ma szczęście.

Donald wyduł wargi i przyjrzał się jej uważnie.

– Dziwne, ale co innego twierdziłaś na przyjęciu u Elise. Mało tego, zrobiłaś wszystko, żeby go wyrwać z jej szponów.

– Wtedy byliśmy jeszcze przyjaciółmi – zauważyła Madeline i posmutniała.

Dokończyła jeść stek, praktycznie nie czując jego smaku, i uniosła do ust kieliszek z winem, odchylając głowę do tyłu. Złocistorude loki zafalowały przy tym ruchu, srebrzysta sukienka, oblepiająca szczupłe ciało, zabłysła, podkreślając kolor włosów.

– Mam nadzieję, że nadal jesteś moją przyjaciółką? – spytał Donald.

– Tak sędzę – odparła z westchnieniem. – Ktoś o tak okropnym charakterze jak ty potrzebuje przynajmniej jednego przyjaciela. Szczęśliwie dla ciebie jestem gruboskórna niczym nosorożec.

– I masz pamięć niemowlaka – dodał, jak zwykle żartując, po czym wstał od stolika. – Zatańcz ze mną. Pokażemy im, jak to się robi.

– Nie jestem pewna, czy w ogóle wiem, jak to tańczy – zauważyła, pozwalając mu zaprowadzić się na parkiet.

– To łatwe. Wystarczy wyobrazić sobie, że spaceruje się bosą w wodzie pełnej błotnych węży.

– A pfuj! – oburzyła się przesadnie, starając się sprawiać wrażenie całkiem swobodnej, bo właśnie przechodzili obok stolika Johna.

Donald przystanął, uśmiechając się promiennie. John w rozpiętej pod szyją białej jedwabnej koszuli i drogiej marynarce z bordowego aksamitu przyciągnąłby oczy każdej kobiety, uznała Madeline.

– Proszę, proszę, czy to nie kuzyn John? – powiedział Donald z udawanym zdziwieniem. – I z kim? Melody, jeśli się nie mylę. – Rzucił jej pełne uznania spojrzenie. – Nie wiem, czy ci wiadomo, moja droga, że Madeline to bliska przyjaciółka Johna – dodał przewrotnie.

– Rzeczywiście, znamy się blisko – oświadczył John, a dwuznaczność tej uwagi dotarła tylko do Madeline.

– Tak, tydzień temu byliśmy razem na lunchu – zemściła się słodkim tonem. – Spaghetti, prawda?

John uniósł brew, robiąc ironiczną minę.

– Tak to nazywają – zgodził się obojętnym tonem.

– Nie wiedziałem, że lubisz chodzić do dyskoteki, kuzynie – zauważył niewinnym tonem Donald.

John spojrzał na niego ze złością.

– Melody lubi – oznajmił oschle.

Madeline ze złości krew uderzyła do głowy, ale zmusiła się do uśmiechu.

– To przyjazne miejsce dla młodych ludzi, prawda, John? W twoim wieku, stary przyjacielu – wymówiła te dwa słowa z naciskiem – ten rodzaj tańca może okazać się niebezpieczny dla kręgosłupa, nie wspominając o bolących stawach.

– Nie bolą mnie stawy – skwitował krótko.

– Ty wiesz lepiej – zgodziła się. – Wspomniałam o nich, kierując się troską o twoje zdrowie, bo nie tak dawno narzekałeś na bóle.

Była zaskoczona swoją bezczelnością. Poza tym drażnienie go nie pomagało rozwiązać jej problemu.

– Znalazłem doskonałe lekarstwo na bóle – odrzekł po chwili John, przygarniając ramieniem Melody, która natychmiast przytuliła się do niego, spoglądając z satysfakcją na rywalkę.

– Chodźmy, kochanie. – Donald objął Madeline w talii i uśmiechnął się szeroko do Johna, któremu oczy rozbłysły niebezpiecznie. – Na razie, kuzynie.

Odrętwiała, pozwoliła mu się prowadzić na parkiet. Tam zatraciła się w tańcu i muzyce, jakby ból i złość, które czuła, miały wyparować wraz z krokami tańca disco. Niecałe dwa tygodnie temu ona i John byli ze sobą tak blisko, jak to tylko możliwe, a teraz znaleźli się jakby na dwóch krańcach planety.

Poczuła na sobie czyjś wzrok, odwróciła się i zobaczyła tańczących w pobliżu Melody i Johna. Jak na mężczyznę jego rozmiarów i wieku, poczynił sobie na parkiecie wspaniale, mógł zawstydzić wielu młodszych, także Donalda. W dodatku wyglądał całkiem świeżo, gdy muzyka umilkła na chwilę.

Jakaś młoda dziewczyna o niebieskich oczach podeszła bliżej, wyraźnie zafascynowana Johnem.

– Przepraszam – zwróciła się do niego – czy nie jest pan... – wymieniła nazwisko znanego aktora, grającego aktualnie w popularnym serialu telewizyjnym.

– Przykro mi, ale nie – odparł z uśmiechem łudzaco podobnym do

uśmiechu aktora.

– Czy ktoś już panu mówił... – nie poddawała się dziewczyna.

– Że wyglądam jak on? – wpadł jej w słowo. – Parę osób.

– Cóż, naprawdę pan tak wygląda. Przepraszam, mam nadzieję, że nie wprawiłam pana w zakłopotanie.

– Naturalnie, że nie – zapewnił ją z szelmowskim uśmiechem.

W oczach Madeline, przysłuchującej się tej rozmowie, błysnęło rozbawienie. John na nią spojrzał, dostrzegł to, co wyrażał jej wzrok, i na moment wrogość znikła. Ile razy siedzieli w jego miejskim apartamencie albo jej niewielkim domu przy kawie i ciastkach, oglądając telewizję i patrząc na gwiazdę serialu? Trudno policzyć, odpowiedziała sobie w duchu Madeline i zauważyła, że John przeniósł wzrok na Donalda, potem na Melody. Poczuła, że znów między nimi wyrósł niewidoczny mur.

Muzyka zabrzmiała ponownie i Madeline zaczęła kołysać się w takt rytmu, poruszając się tak zmysłowo, że Donald wpatrzył się w nią szeroko rozwartymi oczami. Szybko zorientowała się, że nie był jedynym, który śledził wzrokiem krągłości jej ciała, uwypuklone ruchem i połyskującą sukienką. Tańczyła, śmiała się, dawała spektakl życia, a coś kruchego i pięknego, co zaczęło się w niej rodzić, wiedło jak pączki kwiatów zwarzone mrozem.

Kilka minut potem Melody poszła do toalety, a Donald w tym samym momencie do baru na drinka. Madeline i John, opuszczeni przez partnerów, skierowali się do swoich stolików.

– To na nic – odezwał się.

– Co na nic? – spytała spokojnie.

– Chodzenie za mną, żeby się wytłumaczyć – wyjaśnił ze zwykłą sobie arogancją.

Taki wysoki, barczysty, seksowny... Madeline miała ochotę rzucić mu się w ramiona, ale odpowiedziała chłodno:

– Nie chodzę za tobą.

– Tak? A kto dzwonił do Josita zapytać, gdzie dzisiaj będę? – Srebrzystoszare błyszczące oczy przewiercały ją na wylot. – On uważa, że ty.

– To była Maisie – sprostowała odruchowo Madeline.

– Żadna różnica – powiedział z satysfakcją. – No dobrze. Powiedz mi, że Donald przyszedł do ciebie z szampanem tylko dla żartu.

– Oczywiście! – potwierdziła zdecydowanie, a jej oczy błagały o zrozumienie. – Chciał cię wyprowadzić z równowagi, zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Rzeczywiście bardzo to mnie obeszło – przyznał, zatrzymując się i patrząc na nią z gniewem – ale nie na długo. Gdy odzyskałem rozum, dotarło do mnie, że guzik mnie obchodzi, dlaczego on tam się znalazł. Nie chcę kobiety, która prosto z moich ramion wskakuje w ramiona innego mężczyzny.

– To ciekawe, co mówisz. W takim razie dlaczego zadajesz się z Melody? – spytała sarkastycznie, nie spodziewając się, jaki wywoła efekt.

Nagle wszystko wokół nich znikło, jakby znów byli głodni siebie i nic innego się nie liczyło. Patrząc w jego ciemniejące oczy, Madeline zrobiła krok do przodu i potknęła się. Gdy John ją złapał i postawił na równe nogi, zdała sobie sprawę, że upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

– A to co znowu? – spytał oschle. – Jesteś pijana?

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Upajający był dotyk jego dłoni, jego bliskość uderzyła jej do głowy.

– Obcas mi się przekrzywił – powiedziała zaczepnym tonem.

– Pozbieraj się. – John boleśnie zacisnął dłonie na jej ramionach. – To nie przyjęcie u Elise, nie wyniosę cię stąd, bo udajesz omdlenie. Mówiłem na

serio: między nami skończone. Nie chcę cię, Madeline.

Nic nigdy nie zabolalo jej bardziej niz te ostatnie slowa. Widziala go jak przez mgle. Zielone oczy o rozszerzonych zenicach zasnuły łzy. Dolna warga zaczęła jej drzeć. Odsunęła się, unikając wzroku Johna.

– Zechcesz mi wybaczyć – powiedziała lodowatym tonem.

– Madeline...

W jego głębokim niskim głosie wyraźnie dało się wyczuć niezwykłą jak na niego niepewność, ale ona nie miała ochoty się przekonać, co to mogło oznaczać. Szybkim krokiem skierowała się do damskiej toalety, gdzie bez słowa wyminęła zdziwioną Melody, stojącą przed lustrem, i zamknęła się w kabinie. Po kilku głębokich oddechach i paru próbach nadania twarzy obojętnego wyrazu, upewniwszy się, że nie będzie płakać, wyszła z kabiny i stanęła przed lustrem. Odbiła się w nim jej blada twarz i nienaturalnie błyszczące oczy.

– Coś nie tak? – spytała Melody, zerkając na nią przelotnie, skoncentrowana na nakładaniu warstwy czerwonej szminki na usta. – Nie wygląda pani za dobrze.

– Po prostu za dużo wina – wyjaśniła Madeline, zamykając oczy.

Melody wrzuciła szminkę do torebki.

– Cóż, lepiej wróć, zanim Johnowi zacznie mnie brakować. Och, czy on nie jest niewiarygodny? Mamy spędzić następny weekend w Nassau, on ma tam dom. Ledwo się mogę doczekać! Mam nadzieję, że już pani lepiej. *Ciao!*

Powstrzymywane łzy jednak spłynęły po policzkach Madeline. Nienawidziła Johna i Melody, chciała wrócić do domu i zapomnieć o tym koszmarnym wieczorze. Wyjęła przybory do makijażu, żeby dodać twarzy trochę koloru. Dotknęła różem policzków, pomalowała usta i skierowała się



do stolika, przy którym czekał Donald. Popatrzył na nią, gdy siadała, i ściągnął brwi.

– O co, do cholery, chodzi?! – wybuchnął.

Madeline uniosła wysoko brwi.

– Raczej o co tobie chodzi?

– Wyglądasz jak żywy trup – zdiagnozował, nie bawiąc się w grzeczności. Wziął do ręki rachunek i wstał. – Wychodzimy, i to natychmiast.

– Ale...

– Żadnych ale. Nie powinienem cię tu przyprowadzić. Chodźmy.

Objął ją w talii i pociągnął do wyjścia. Czowała na swoich plecach wzrok Johna, ale nie odważyła się obejrzeć. Nie chciał jej. Musi oswoić się z tą myślą.

Donald zaprowadził ją do mieszkania nad garażem i zamiast wyjść stanął niezdecydowanie przy drzwiach, z ręką na klamce.

– Co on zrobił, że tak cię zdenerwował? – spytał, wyraźnie zatroskany.

Madeline z uśmiechem przecząco pokręciła głową.

– Nic. Po prostu była to bardzo niezręczna sytuacja.

Donald wepchnął ręce do kieszeni.

– To moja wina – przyznał ponuro. Wyglądał na zawstydzonego. – Jesteś jedyną słabością Johna – dodał po chwili. – A w każdym razie tak było. A wiesz, co mówią o wojnie, miłości i fair play?

Madeline usadowiła się na kanapie, po czym zapytała:

– Dlaczego go tak nienawidzisz? Z pewnością nie dlatego, że twój ojciec zostawił mu udziały.

Zaśmiał się nieprzyjemnie, rysy twarzy mu stężały. Przez chwilę wyglądał jak John, gdy miał zły nastrój.

– Wychowywaliśmy się razem. Mieszkał u nas, gdy jego ojciec służył w

piechocie morskiej. Moje całe życie kręciło się wtedy wokół Johna. Mój ojciec go uwielbiał. On robił wszystko dobrze, ja źle. Dopóki nie skończyłem szesnastu lat, stale miałem go koło siebie i praktycznie pozbawił mnie miłości ojca. Nigdy w jego oczach nie dorównałem Johnowi. Nigdy!

Madeline nic na ten temat nie wiedziała. John zwykle nabierał wody w usta, gdy była mowa o Donaldzie, który z kolei też nie opowiadał o kuzynie.

– Przełknąłbym to, i nawet bym się nie zadławił – zażartował. – Także udziały, które ojciec jemu zapisał. Gdy jednak ożenił się z Ellen.

Madeline zauważyła, że twarz Donalda złagodniała. Malował się na niej smutek.

– Kochałeś ją – domyśliła się bez trudu.

– Uwielbiałem – potwierdził. – Była moją dziewczyną, zanim John mi ją odebrał.

– Zależało mu na niej – stwierdziła, przypominając sobie te rzadkie momenty, gdy John wspominał o żonie.

– Całkowicie ją sobie podporządkował. Nie mogła swobodnie zrobić kroku, zanim nie upewniła się, czy to jemu odpowiada. Nie miała własnego życia, była całkowicie w jego władzy – mówił z goryczą Donald.

– Tymczasem on zajmował się wyłącznie tą przekłętą kompanią, tak jakby się z nią ożenił. Ellen była zdana na siebie.

Madeline wstała z kanapy, podeszła do niego i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Mogła go zostawić – powiedziała cicho. – Ludzie w większości przypadków żyją w klatkach, które sami sobie budują. Nie można czynić kogoś odpowiedzialnym za własne szczęście.

– Cóż, to już bez znaczenia, prawda? Jej już nie ma, a życie toczy się dalej. Wsadzanie szpil Johnowi daje mi siłę, żeby wstawać każdego ranka.

– Co za głupi powód!

Donald poczerwieniał.

– Co proszę?

– Świat to nie kostnica – powiedziała stanowczo. – Ellen zmarła, ale ty jesteś wciąż młody i masz wiele do zaoferowania kobiecie. Przestań próbować położyć się z nią do grobu i zacznij żyć, zanim będzie za późno. Możesz tak bardzo uwikłać się w swoją okrutną grę, że zapomnisz, co to znaczy kochać.

Donald popatrzył na nią bystro błyszczącymi oczami.

– Jesteś zakochana w Johnie? – spytał łagodnie.

Odwróciła się do niego plecami.

– Kiedyś był moim przyjacielem – odpowiedziała wymijająco. – Jestem bardzo zmęczona. Dobranoc, Donaldzie.

Życie Madeline wróciło w utarte koleiny. Skupiła się na pisaniu i poświęcała temu dużo czasu, aby odrobić zaległości. Ucieszyła się, że nadszedł termin dorocznego balu dobroczynnego. Przyda się odmiana w codziennej rutynie, rozmyślała, wkładając czarną obcisłą suknię z jednym ramiączkiem, udekorowaną czerwoną różą.

Zobowiązała się do uczestniczenia w balu dawno temu, gdy kwitła jej przyjaźń z Johnem, a ponieważ należała do komitetu organizacyjnego, nie mogła się wycofać. Donald miał inne zobowiązania, nie mógł jej towarzyszyć i przed samym wyjściem z domu ogarnęła ją pokusa, aby jednak zrezygnować z uczestnictwa w charytatywnej imprezie. W końcu z westchnieniem wzięła torebkę i podeszła do drzwi, pocieszając się, że może John wyjechał i w związku z tym nie natknie się na niego na balu.

Niestety, był pierwszą osobą, którą zobaczyła, wchodząc do centrum administracyjno–kulturalnego.

W wieczorowym ubraniu wyglądał tak niewiarygodnie przystojnie, że nie mogła oderwać od niego wzroku, a jednocześnie ogarnął ją lęk przed ewentualnym kontaktem. Spojrzał na nią i jego oczy zarejestrowały wszystkie krągłości jej ciała z błyskiem, widocznym mimo dzielącej ich odległości.

Madeline pospiesznie podeszła do członków komitetu organizacyjnego, odpowiedzialnych za pozyskiwanie sponsorów. Wdała się z nimi w rozmowę, zanim John zdążył wykonać jakiś ruch w jej kierunku. Zresztą pewnie jej to nie groziło, doszła do wniosku, przecież wyraźnie powiedział, że nie chce mieć z nią do czynienia.

Udało się jej go unikać przez większość wieczoru. Znała wiele osób, które tutaj przyszły, i nie narzekała na brak partnerów do tańca. Sprawiało jej dużą przyjemność wirowanie w walcu w takt melodii granej przez orkiestrę i podziwianie kreacji innych kobiet.

Tuż przed północą Jack Rafter, ich wspólny znajomy, schwycił ją za rękę ze słowami „tutaj jesteś” i zaciągnął do stojącego samotnie Johna.

– John, oto Madeline. Ponieważ nie masz partnerki do tego ostatniego dzisiaj tańca, przyprowadziłem ci najlepszą, jaka może ci się trafić. Przez cały wieczór nie widziałem was razem na parkiecie.

Madeline miała ochotę zdzielić go w głowę torebką, ale nie odważyła się zrobić sceny. Poza tym miał dobre intencje.

– Pozwolisz? – spytał John z bezosobową uprzejmością i ujął jej łokieć, aby wprowadzić ją w taneczny krąg.

Orkiestra grała wolny taniec, sentymentalną, tęskną melodię i Madelineomal nie uciekła z parkietu. Nie mogli zagrać czegoś skoczniejszego?

– Przykro mi, że wylądowałaś ze mną – powiedziała z przymusem i sztywno przyjęła konwencjonalną pozę taneczną.

– Wyglądałaś tak, jakbyś zamierzała uciec – zauważył. – Jednak to nie

w twoim stylu zrobić scenę, prawda? A może się mylę?

Zaczerwieniła się lekko, patrząc uparcie w jego szyję i pilnując się, aby nie podnieść wzroku wyżej.

– Nie zapominaj, że pochodzę z bardzo konwencjonalnej rodziny.

– Z wyjątkiem twojej ciotecznej babki Jessie – powiedział jakby do siebie z lekkim uśmiechem.

Madeline zdobyła się na nikły uśmiech.

– Z wyjątkiem – potwierdziła.

John przyłożył płasko dłoń do jej pleców, pokrytych cienkim jedwabistym materiałem sukni. Mimowolnie przyciągnął ją do siebie bliżej, gdy poruszali się w takt zmysłowej melodii. Nieoczekiwanie splótł ich dłonie. Oddychał szybko, tak jak i ona. Poczwała jego ciepły oddech na swoim czole.

– Rozluźnij się – wyszeptał urywanie – żebym poczuł ciebie... całą.

Madeline nie potrafiła się mu oprzeć pomimo bólu, który przez niego cierpiała. Pozwoliła, by przygarnął ją blisko i ciasno objął, przybliżając policzek do jej skroni. Wąsy załaskotały ją lekko, gdy poczuła na skórze jego usta. Przymknęła oczy i zarzuciła mu ramiona na szyję. Jęknęła cichutko, czując, jak bliski kontakt z jego ciałem budzi pulsowanie w jej ciele i znajome bolesne pragnienie. Wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi, upajała się zapachem ciała i wody kolońskiej o drzewnej nucie.

– John... – wyszeptała tęsknie.

– Bliżej? – szepnął. – Tak?

Przesunął ręce niżej i przycisnął do siebie jej ciało w sposób intymny. Madeline z trudem złapała oddech, przywierając mocniej do Johna.

– Och, nie – wyszeptała bezradnie. – Nie rób tego, proszę, ja... nie mogę tego znieść.

– Wciąż mnie pragniesz – powiedział ochryple. – Czuję to.

– Nie! – Odsunęła się od niego, pod powiekami zapiekły ją łzy, spojrzała w jego osrebrzone płonące oczy. – To skończone, sam to mówiłeś. – Pojedyncza łza spłynęła po jej rozgrzanym policzku. – Powiedziałeś, że mnie już nie chcesz.

Oderwała się od niego i pospiesznie zeszła z parkietu. Dołączył do niej, gdy wyszła na zewnątrz, objął ją ramieniem i pociągnął w cień za wysoką kolumną, jedną z kilku przy głównym wejściu.

– Nie tak szybko, jeszcze nie – oświadczył, trzymając ją mocno. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

– Niewłaściwa dziewczyna – powiedziała sarkastycznie, ocierając ze złością łzy. – Zapomniałeś już o swojej przyjaciółce blondynce?

Ze zniecierpliwieniem wciągnął powietrze i potrząsnął nią lekko.

– To ty zapomnij o Melody.

– John, ona jest taka słodka, chętna i młoda – nie ustępowała, próbując się oswobodzić z jego uścisku.

– Przestań! – zakomenderował. Chwycił ją za biodra i unieruchomił.

Madeline odchyliła głowę i spojrzała na jego poważną twarz.

– O co chodzi, John? Czy zakłócam twój spokój?

– Co za pytanie?! – rzucił szorstko.

W milczeniu przyglądał się jej bacznie przez dłuższy czas, w końcu odezwał się:

– Powiedz mi, co mój kuzyn robił u ciebie w pokoju tamtej nocy.

Zaskoczona, zamrugła powiekami.

– Proszę?

– Jestem gotów wysłuchać twoich wyjaśnień, o ile takowe istnieją.

– Och, John, jak to szlachetnie z twojej strony! – Madeline podniosła głos, wyprowadzona z równowagi. – Szkoda, że nie uważam, abym ci była

winna wytłumaczenie.

– Pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie – mocniej zacisnął dłonie na jej biodrach – i powiesz mi to, co chcę wiedzieć... w taki czy inny sposób.

Madeline poczuła na ustach jego zaborcze wargi. Bardzo chciała udać, że to na nią nie działa, ale w objęciach Johna nie było to możliwe. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, płucom zabrakło powietrza. Rozchyliła usta, drżała na całym ciele, wymknął się jej cichy, przeciągły jęk.

– Och Boże, jak ja ciebie pragnę – wyszeptał tuż przy jej ustach, obwodząc je językiem i skubiąc lekko, zanim znów zaczął ją namiętne całować. – Pragnę cię!

Mogłaby to samo mu powiedzieć, ale głos ją zawiódł. Poddała się bez protestu, objęła go, pozwoliła mu się całować w sposób, w jaki tego chciał, i odpowiadała mu tym samym.

– Jedź ze mną, Madeline – wyszeptał niskim, pogrubiłym głosem i dreszcz pożądania przeszedł jego potężne ciało.

Mocniej zacisnął ramiona, a ona czuła wyraźnie, jak bardzo John jej pożąda. Zebrała się w sobie i odepchnęła od jego piersi. Ku jej zdziwieniu, wypuścił ją z objęć. Odwróciła się do niego tyłem, zacisnęła dłonie na torebce, usiłując się uspokoić.

– Nie, John – powiedziała cicho.

– Jest aż tak dobry? – spytał ochryple.

Określiła się na pięcie, urażona do żywego. Wściekła, obrażona, nie zauważyła wyrazu bólu i frustracji w jego oczach.

– Niech cię cholera! – rzuciła.

– Maniery, maniery – odwzajemnił się sarkastycznie, patrząc z uznaniem na jej rzucające błyskawice zielone oczy i nieujarzmione rude włosy. – Ależ jesteś piękna, kiedy chcesz kąsać.

– Tak, mam ochotę kąsać. Ciebie – odparła z rozdrażnieniem.

Zrobił krok w jej stronę.

– Jedź ze mną do domu, a pozwolę ci... – Zniżył głos kusząco. – Kąsałaś mnie tamtej nocy, pamiętasz?

Pamiętała. Zaczerwieniła się i zanim zdążyła pomyśleć o odpowiedzi, stanął tak blisko, że przestała myśleć. Tak bardzo chciała z nim iść, ale przecież nie mogła, nie teraz, po tym jak on... Wciągnęła głęboko powietrze.

– Przyznaję, że wiele ci zawdzięczam – wyszeptała drżącym głosem. – Nauczyłeś mnie mojego ciała. Nie powinnam jednak zostawiać dłużej Donalda samego. Czeka na mnie.

Odsunęła się, nie odważając się spojrzeć Johnowi w oczy po tym bezczelnym kłamstwie, którego użyła, aby nie wylądować w jego łóżku.

Zesztywniał.

– Zatem nie pozwól, żebym cię zatrzymywał, kochanie. W końcu... co za różnica czyje ciało.

Madeline odwróciła się i na miękkich nogach skierowała do samochodu. Dzięki niebiosom, że zdołała umknąć. Kocha go, pragnie i poszłaby za nim na kraj świata, gdyby tego chciał. Musi jednak się bronić, by do tego nie doszło. Gdyby pojechała do jego domu, umocniłaby go w przekonaniu, że jest łatwa.

Łzy spływały jej po policzkach, gdy usiadła w fotelu kierowcy i uruchomiła silnik. Czeka ją życie bez Johna.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Po powrocie do tymczasowego mieszkania wyczerpana ostatnimi przeżyciami Madeline wyciągnęła się na łóżku i okryła, ale nie zdołała zasnąć. Rozpamiętywała wydarzenia wieczoru i pełne napięcia spotkanie z Johnem. Ogromnie żałowała, że w ferworze kłótni, zła i rozżalona, skłamała. Zdarzyło się to po raz pierwszy podczas trwania ich znajomości. Bez względu na to, co sobie o niej pomyślał, powinna wytłumaczyć Johnowi, że wprowadziła go w błąd po to, aby mu zrobić przykrość. Co miała do stracenia? Dumę? Może szacunek do siebie?

Przewycięzając obawę, sięgnęła po telefon drżącą dłonią. Była noc, ale John z pewnością jeszcze nie spał, uznała, choćby dlatego, że był typową sową. Sygnał rozbrzmiał wiele razy, a mimo to nikt się nie zgłosił. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Czy czuł się równie nieszczęśliwy jak ona? – zastanawiała się. Zachowanie Johna podczas wspólnego tańca i później świadczyło o tym, że wciąż jej pragnie. Może jeszcze będzie można wszystko naprawić i wrócić do punktu wyjścia, zanim przepaść między nimi stanie się nie do zasypania.

W końcu Madeline usłyszała:

– Rezydencja Durango.

Od razu rozpoznała głos Josita.

– Dobry wieczór, to ja – powiedziała z wahaniem.

– Miło mi panią słyszeć, *señorita*– odezwał się po dłuższej chwili Josito, ale powiedział to oficjalnym tonem. – Czym mogę służyć?

– Mogłabym rozmawiać z Johnem? – spytała szybko w obawie, że się rozmyśli.

Josito odchrząknął.

– *Momentito* – odchrząknął znowu. – *Señor* Durango, to pani Vigny.

Do uszu Madeline dobiegły przekleństwa, po których padły krótkie, wypowiedane rozkazującym tonem polecenia, zbyt niewyraźne, by mogła je zrozumieć. Czekala ze ściśniętym sercem.

Josito odchrząknął po raz kolejny.

– *Señorita* – zaczął sztywno – uhm...

Krzyk Johna „Powiedz jej to, do cholery!” przerwał wypowiedź Josita.

– Bardzo przepraszam, *señorita* – kontynuował z wyraźną niechęcią służący – pan Durango nie chce z panią rozmawiać i... mówi...

W tym momencie rozległ się wrzask Johna „Powiesz jej wreszcie, do jasnej cholery!”, nakładając się na głos Josita, który wziął głęboki oddech.

– Mówi... że nie chce... więcej z panią rozmawiać ani pani widzieć i... żeby pani przestała go niepokoić.

Madeline zamknęła oczy. Nawet nie próbowała odpowiedzieć, tylko odłożyła telefon. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Nie należała do płaczliwych osób i nie roniła łez z byle powodu. Musiało się stać coś niesłychanego, żeby pozwoliła sobie na płacz. Czuła się tak, jakby opłakiwała kogoś zmarłego. Po części tak właśnie było, bo John ogłosił, że dla niego jest martwa, jakby pochował ją za życia.

Reszta weekendu upłynęła jej jak w malignie. Poniedziałkowy ranek przyniósł wreszcie coś przyjemnego. Bill Gonnells zadzwonił z wiadomością, że może zamieszkać we własnym domu. Natychmiast zaczęła przygotowywać się do opuszczenia mieszkania nad garażem. Wrzucała zebrane ubrania wprost do bagażnika żółtego volkswagena. Donald obserwował ją z melancholijną miną, wcisnąwszy dłonie do kieszeni.

– Cieszyłem się twoją obecnością tutaj – powiedział z uśmiechem. – Nie

tylko dlatego, że to drażniło Johna.

– Mnie też było przyjemnie tu mieszkać – odwzajemniła jego uśmiech.

– Jestem ci winna przysługę.

Uniósł brwi, robiąc zabawną minę.

– Chodzi ci o to, że jeśli dach mojej rezydencji kiedykolwiek się zawali, pozwolisz mi mieszkać w twoim domku na drzewie?

– Nie ma dachu ani ścian – przypomniała mu.

Zadarł dumnie brodę.

– Byłem skautem.

– W takim razie jest twój w podbramkowej sytuacji. Donald – zmieniła ton na poważny – naprawdę doceniam, że udostępniłeś mi apartament.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Obrzucił ją badawczym wzrokiem. – Ostatnio jesteś bardzo blada. Może powinnaś pójść do lekarza.

Madeline uciekła spojrzeniem w bok.

– Żyję nerwami, to dlatego – oznajmiła. – Poza tym nie mogę być chora, bo przybieram na wadze. – Szarpnęła pasek spodni.

– Mimo to martwię się o ciebie.

– Jak miło. Powiadomisz mnie, gdyby były do mnie jakieś telefony?

– Od Johna, tak?

Zaczerwieniła się.

– Od kogokolwiek.

– Tak, oczywiście. – Odchrząknął i zapytał: – Chcesz, żebym wyjawiał mu prawdę o tej nocy, gdy przyszedłem z szampanem?

– Nie, bo wtedy musiałabym mu powiedzieć prawdę o balu dobroczynnym. Dałam mu do zrozumienia, że czekasz na mnie w domu— wyznała.

Donald niepomierne się zdziwił.

– Dlaczego?!

– To długa historia. – Zrobiła niezadowoloną minę.

– W każdym razie udała mi się ta sztuczka, zadziałała. Zadzwoiłam, żeby sprostować to kłamstwo, ale John nie chciał ze mną rozmawiać. Przez Josita przekazał, żebym więcej nie szukała z nim kontaktu.

– Może miał zły nastrój. Nie przypuszczam, że rzeczywiście tego chciał – zasugerował Donald. – Wiesz, że ma paskudny charakter.

– Może. – Westchnęła ciężko. – Poczekamy, zobaczymy.

Nie musiała długo czekać. Tego samego popołudnia przed jej doprowadzonym do stanu używalności domem zatrzymał się rolls-royce. Serce biło jej mocno, gdy wyglądała przez okno. Na widok Josita ogarnęło ją rozczarowanie. Niósł niewielkie pudełko i wyglądał jak siedem nieszczęść. Otworzyła drzwi, zanim zdążył zadzwonić.

– Tak? – spytała z rozbudzoną nadzieją. Może to był pojedynczy podarunek, pomyślała.

Służący wręczył jej tekturowe pudełko z drobiazgami, które przez lata zostawiła w domu Johna, w tym wykonane przez niego zdjęcia. Zachciało jej się płakać, gdy patrzyła na te pamiątki.

– Przepraszam... – powiedział z ubolewaniem Josito. – Jest jak ranne zwierzę. Trudno z nim rozmawiać. Zmusił mnie do mówienia tych okropnych rzeczy przez telefon. Przepraszam, *señorita*, ale nie pozwolił mi zadzwoni i przeprosić pani. Zagroził, że mnie zwolni.

– Zwolni? – zachnęła się. – Przecież jesteś z nim od... – Urwała.

– *Si*. Właśnie, *señorita*.

Wzruszył ramionami i wyprostował się, sprawiając wrażenie trochę wyższego w ciemnym ubraniu, które miał na sobie.

– Ostatnio bez oporów zwalnia ludzi. Zawsze był wymagający i surowy,

ale teraz nie ma litości. Tamtej nocy, gdy pani zadzwoniła, wziął ze sobą butelkę whisky do sypialni i rano nie mógł unieść głowy. Pierwszy raz od śmierci pani Durango widziałem, żeby tak pił. Jak wytrzeźwiał, kazał mi przeczesać rezydencję i znaleźć wszystko, co do pani należy, a potem zawieźć do domu *señora* Donalda. To on mi powiedział, że pani wróciła do siebie. – Josito ciężko westchnął i bezradnie rozłożył ręce. – Rzuca talerzem z tłuczonymi ziemniakami, bo mają zbyt kremową konsystencję. Każe mi powtarzać przez telefon okropne rzeczy swojej przyjaciółce. A tydzień temu zrobił coś przedziwnego. Szedł w telewizji ten serial, który oglądaliście razem. Wziął tę wielką donicę z fiołkami afrykańskimi, która stoi na stoliku do kawy, i walnął nią w ekran!

Wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w pudełko.

– Rzeczywiście staraliśmy się nie przepuścić żadnego odcinka – powiedziała stłumionym głosem Madeline. – To moja wina. Skłamałam mu... – Potrząsnęła głową, jakby chciała przywołać się do porządku. – Lepiej wracaj, póki wciąż masz pracę. Ja też zabieram się do roboty.

– *Sí, señorita. Lo siento mucho.*

– Mnie też jest przykro. Dbaj o niego, Josito. Za dużo bierze na swoje barki.

Niski i drobny służący skinął z powagą głową.

– Oczywiście, że się o niego troszczę. Przyznam się, że ostatnio z wielką przyjemnością przejechałbym po nim samochodem. Ze trzy razy – dodał z przebłyskiem wisielczego humoru.

– Wstydź się. – Madeline podjęła żartobliwy ton. – Przecież wiesz, jak drogie są opony.

– Ma pani rację.

– Josito... – zaczęła, unikając jego wzroku. – Czy on... hm... wciąż

widuje Melody? Wspomniała mi jakiś czas temu, gdy przypadkowo się spotkałyśmy, że jadą razem do Nassau na weekend.

– Melody? – Nachmurzył się. – *Señorita*, on spędza większość nocy w biurze, zaharowując się na śmierć. A jak wychodzi z biura, kowboje pędzą do kościoła.

Uniosła brwi ze zdziwieniem.

– Kaze im słuchać kazań?

– Nie, *señorita*. Chodzą do kościoła modlić się, żeby Bóg ich ocalił od jego obecności – odpowiedział z przesadną powagą. – *Adiós, señorita*.

Następnego ranka Madeline nie mogła unieść głowy znad poduszki, nękana falą mdłości. Zupełnie odebrało jej to siły. Nadpobudliwa reakcja na sposób, w jaki John ją potraktował, doszła do wniosku. Mdłości jednak nie mijały i Madeline zaczęła się niepokoić.

Pomyślała, że może to skutek przepracowania, i położyła się do łóżka.

Zdziwiła się, gdy nazajutrz zjawił się Donald, przynosząc niewielki obraz na płótnie. Otworzyła mu drzwi w bordowym szlafroku z weluru, twarz miała bladą, włosy potargane.

– Cześć – rzuciła słabym głosem.

Wrażenie, jakie na nim wywarł jej widok, wyraźnie odbiło się na jego twarzy.

– Co się z tobą dzieje?! – wykrzyknął, wyraźnie przestraszony.

– Jakiś wirus – uspokoiła go. – Co to jest? – Pokazała głową na płótno.

Odwrócił je i zobaczyła swój dom oraz żółtego volkswagena, zaparkowanego przed wejściem.

– Prezent na stare nowe mieszkanie – wyjaśnił z szerokim uśmiechem Donald. – Mam nadzieję, że poprawi ci humor.

Była zła na siebie za łzy, które napłynęły jej do oczu. Co się ze mną

dzieje? – pomyślała. Ostatnio jestem płacziwa, rozemocjonowana, przesadnie sentymentalna. Najwyższa pora zaprzestać oglądania starych melodramatów w telewizji.

– Dziękuję. To miłe, Donaldzie – powiedziała.

Wzruszył ramionami, lekko zażenowany.

– Nie wpadłem na żaden lepszy pomysł. – Zmierzył ją wzrokiem. –

Widziałaś ostatnio Johna?

Potrząsnęła przecząco głową z nikłym uśmiechem.

– To skończone, przecież wiesz.

Skrzywił się.

– Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

– To i tak prędzej czy później by się stało – zapewniła go, dotykając uspokajająco jego ramienia. – Słuchaj, naprawdę muszę się położyć. Chyba jestem chora.

– Chętnie ci pomogę. Chcesz, żebym wezwał lekarza?

– Nie. To jakaś nawracająca infekcja – powiedziała wymijająco. – Trudno się jej pozbyć, a wysysa ze mnie energię. Będę musiała pisać w łóżku – dokończyła z westchnieniem.

– Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, to zadzwonisz do mnie, zgoda?

– Jesteś kochany, dziękuję.

Donald skinął głową, zrobił bezradny gest ręką, odwrócił się i zszedł po schodach. Madeline zamknęła za nim drzwi. Gdyby tylko udało jej się stanąć na nogi! Może powinna przestać sobie pobażać, już jakiś czas temu opanowało ją lenistwo. A może to jednak depresja wywołana silnymi emocjonalnymi przeżyciami? Pozwolę sobie na jeszcze jeden dzień w łóżku, postanowiła, a potem zabiorę się na serio do pracy.

W końcu Madeline przestała się oszukiwać, że jej organizm zaatakował wirus. Miała silne przekonanie, że już wie, co jej jest. Ona i John nie zadali sobie trudu, żeby się zabezpieczyć podczas pamiętnej upojnej nocy. Jeszcze przez dwa dni zwlekała z wizytą u lekarza, ale symptomy były wyraźne. W końcu przewyciężyła strach i w niespełna sześć tygodni po tym, jak kochała się z Johnem, wybrała się do ginekologa.

Był uprzejmy i przyjazny. Potwierdził jej podejrzenia, niemniej zaproponował próbę ciążową. Pobrano jej krew, a gdy następnego ranka zadzwoniła do jego gabinetu, upewniła się, że jest w ciąży.

Ciąża! Niczego innego nie spodziewała się usłyszeć, a mimo to krążyła bez celu po domu przez pół godziny. Całe jej życie zostało wywrócone do góry nogami. W końcu usiadła w wygodnym obszernym fotelu w pokoju dziennym i odruchowo przyłożyła dłonie do talii. Nagle dotarło do niej z całą wyrazistością, że nosi w sobie nowe życie, dziecko.

Zapatrzyła się na białe zasłony, które niedawno powiesiła, i pomyślała z roztargnieniem, jak pięknie wyglądają i jak to dobrze, że sobie o nich, leżących bezużytecznie w szafie w sypialni, przypomniła. Po chwili roześmiała się głośno z tych swoich nieprzystających do sytuacji myśli. Była w ciąży, niezamężna i, co gorsza, sama jak palec, bez wsparcia rodziny, a zastanawiała się nad zasłonami.

Z westchnieniem wygodniej rozsiadła się w fotelu. Dziecko... Uśmiechnęła się do siebie, myśląc o delikatnej istocie, którą będzie kochać, ochraniać, o którą będzie dbać. Słodko pachnące, miękkie małe ciało, z którego wyrośnie... Właśnie. Jaką przyszłość zapewni swojemu dziecku? Houston nie było małym miastem, ale była tu za dobrze znana, by roztopić się w masie mieszkańców. To nie fair wobec dziecka pozbawiać go ojca. Mogła oczywiście poprosić Donalda, aby się z nią ożenił, i przeczuwała, że nie



miałby nic przeciwko temu. Tyle że to też nie byłoby fair. A kiedy John odkryje, że ona jest w ciąży...

Roześmiała się gorzko. Oczywiście pomyśli, że to dziecko Donalda. On i Ellen nie mogli mieć dzieci i wiedziała na pewno, że odmawiał przeprowadzenia badań, bo nie interesowało go, czyja to wina. Pozwoliła sobie ludzić się myśla, że wyjawi nowinę Johnowi, ale tylko przez moment. Jeśli nie uwierzył, że prawdą jest to, co powiedziała mu o Donaldzie, tym bardziej nie da wiary, że to jego dziecko. Poza wszystkim nie miała siły toczyć z nim kolejnej bitwy. Mógłby ją zranić jeszcze bardziej. Na tym polega największy problem z przyjaciółmi, którzy stali się wrogami – wiedzą, co zabolii najmocniej.

Zaparzyła sobie herbatę i popijając ją z filiżanki, zaczęła się zastanawiać, co robi. Miała niezameżną ciotkę w Georgii, mieszkała na obrzeżach Atlanty. Może wymyśli bajeczkę o tragicznie zmarłym mężu, najlepiej zamordowanym?

Roześmiała się i odstawiła pustą filiżankę. Dziwne. Zaczęła sięgać myślą w przyszłość, nie koncentrując się na ciąży. Pewnie dlatego, że nie czuła się schwytna w pułapkę macierzyństwa. Wyobraziła sobie, jak to będzie cudownie mieć dziecko w domu. Może małego chłopca, podobnego do ojca? Przeleje na niego całą swoją miłość, którą John Durango pogardził. Nazwie go Cameron, zdecydowała, drugim imieniem Johna, a poza tym podoba jej się brzmienie tego imienia. A na drugie da mu Edward po jej zmarłym ojcu. Cameron Edward Vigny...

Dosyć tego, przywołała się do porządku. Najwyższa pora wziąć się do pracy. Trzeba napisać kolejny rozdział. Wstała, żeby podejść do biurka, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Och nie, tylko nie pani Rose i kolejna godzina ożywionej dyskusji na temat hałaśliwych sąsiadów po

przeciwnej stronie ulicy.

Otworzyła drzwi, przygotowana na widok starszej pani. Zobaczyła Johna Duranga z bukietem ciemnoczerwonych róż w ręce.

TTLR

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Madeline patrzyła na Johna, nie wierząc własnym oczom, na wpół świadomie rejestrując, jak wspaniale wyglądał w niebieskim blezerze, białej jedwabnej koszuli rozpiętej pod szyją, białych spodniach i kremowobiałym stetsonie na lekko falujących włosach.

– Odbyliśmy długą rozmowę z moim kuzynem – odezwał się po chwili John z poważnym wyrazem twarzy. – Ma rację, nie wyglądasz dobrze.

Madeline pomyślała, że to dobrze, iż John zdecydował się na pojednawcze kroki, ale dla nich było już na wszystko za późno. Była w ciąży i nie chciała, by ożenił się z nią z poczucia obowiązku. Nie kochał jej, tego była pewna po tym, jak ją potraktował. Zalała ją fala goryczy, poczuła ucisk w gardle.

– Miło, że wpadłeś, ale nie planuję w najbliższej przyszłości parapetówki. Może za dwadzieścia lat. Będę pamiętać, aby wysłać ci wtedy zaproszenie – oświadczyła i chciała zamknąć drzwi.

Natychmiast temu zapobiegł, wsuwając stopę w lśniącym bucie między drzwi a futrynę.

– Nie zaprosisz mnie do środka przez wzgląd na stare dobre czasy? – spytał cicho, błędząc wzrokiem po jej twarzy.

– Nie zaproszę – odparła spokojnie, ale stanowczo. – Twoja noga przeszkadza zamknąć mi drzwi. Będziesz łaskawy ją usunąć?

Wąsy uniosły się niecierpliwie do góry, ale zaraz opadły.

– Nie myślałem tego, co kazałem Jositowi ci powtórzyć – rzekł szorstkim tonem.

Dobrze wiedziała o tym, że nienawidził przeproszać, praktycznie nigdy

tego nie robił – to było najwięcej, na co potrafił się zdobyć.

– Naprawdę? – Patrzyła na niego ze smutkiem w oczach.

John zacisnął dłoń na zielonym papierze u nasady bukietu ciemnoczerwonych róż.

– Czego się spodziewałaś? Miałem paść przed tobą na kolana po tym, jak mi oświadczyłaś, że mój kuzyn na ciebie czeka?

– Mogłeś mieć trochę więcej wiary we mnie – zauważyła z przyganą, zielone oczy patrzyły oskarżycielsko. – Przyjąłeś najbardziej dla mnie upokarzające założenie, gdy dowiedziałeś się, że wyłudowałam w mieszkaniu nad garażem. Myślałeś, że nie mogłam się doczekać, aby wskoczyć Donaldowi do łóżka. Nie potrafię wybaczyć ci, John, tego braku zaufania do mnie.

– Nie wiesz, jak przedstawiała się relacja moja z kuzynem. Nie ostatnio, ale przez całe lata aż do tej pory, a zwłaszcza po śmierci Ellen. Nienawidził mnie za to, na co nie mogłem poradzić. Żaden z nas nie zrobił niczego, aby to wyjaśnić, aż do dzisiejszego ranka. Powiedział Jositowi, że chce ze mną pogadać, spotkaliśmy się w moim biurze. Rozmawialiśmy o naszej przeszłości i o tobie. – Wciągnął głęboko powietrze. – Martwi się twoim wyglądem.

– Niepotrzebnie. Właśnie zamierzałam wyjść, żeby kupić sobie trochę ubrań i skoczyć do fryzjera – zakpiła.

– Wiesz, że nie o to chodzi! – zniecierpliwił się. – Jesteś blada jak upiór i... – nachmurzył się – jakaś inna.

Uważaj, dziewczyno, nie wydaj się z niczym, przestrzegła się w duchu Madeline. Potrząsnęła głową, odrzucając włosy do tyłu i zobaczyła, jak przywarł wzrokiem do złocistorudych pasm.

– Pracowałam ostatnio zbyt forsownie i mało spałam – wyjaśniła ze

spokojem. – Byłam wczoraj u lekarza, powiedział, że nic mi nie jest. – Pewnie, ciąża nie choroba, pomyślała sarkastycznie.

Odprężył się trochę, ale pionowa zmarszczka między brwiami nie znikła.

– Przepraszam cię, John, jestem bardzo zajęta.

– Ja też. Mam spotkanie z szejkiem z Arabii Saudyjskiej w sprawie dzierżawy pól naftowych.

– Pozwól więc, żebym dłużej cię nie zatrzymywała.

Madeline ponownie spróbowała zaniknąć drzwi. Czowała, że ma głupią minę. Pewnie wyglądam jak zestresowana nastolatka, która nie może się powstrzymać od ogryzania paznokci, przemknęło jej nedorzeczenie przez głowę.

– Wysłuchasz mnie?!

– Oczywiście – potwierdziła ironicznie. – Z taką samą uwagą, z jaką ty słuchałeś moich wyjaśnień co do Donalda.

– Wy tłumaczył mi, jak to było i dlaczego tak postąpił. A także z jakiego powodu skłamałaś na balu dobroczynnym – dodał z goryczą, patrząc niemal błagalnie na Madeline, co w jego wypadku wydawało się niemożliwe.

Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– To już teraz nieważne – oświadczyła, marząc o tym, aby wreszcie znaleźć się bezpiecznie w środku.

– To przeszłość. Zapomnij o tym.

– Nie mogę. Nie rozumiesz, że nie mogę?!

Wyprostowała się i spojrzała na niego badawczo.

– Co właściwie Donald ci powiedział? – spytała.

Zastanawiała się, dlaczego po twarzy Johna przemknął wyraz bólu. A może tylko odniosła takie wrażenie? Przecież w żaden sposób nie mógł

wiedzieć o dziecku.

– Weźmiesz przynajmniej róże? – spytał z godnością. – Zaczynam dostawać kataru siennego.

Wyjęła bukiet z jego ręki, przyłożyła do jego piersi i powoli, z rozmysłem, rozkruszyła ich ciemnoczerwone główki o jego śnieżnobiałą koszulę.

Wstała następnego ranka, wzięła jedną z tabletek powstrzymujących mdłości, które przepisał jej lekarz, i ubrała się w spodnie z gumą w talii i bluzkę wypuszczaną na wierzch. Potrzebowała luźniejszych ubrań i dzisiaj postanowiła je nabyć. Na razie nie kupi ciężowych strojów. Najpierw powinna wymyślić historyjkę noszącą cechy prawdopodobieństwa na użytek staroświeckiej ciotki, skoro ma ją poprosić o zgodę na wspólne zamieszkanie. Co za szczęście, że nie musi chodzić co rano do pracy i że ma zajęcie zapewniające finansową stabilizację.

Szukała w sklepach luźnych spodni z elastycznym pasem w talii, ale ku jej zdziwieniu nie okazało się to łatwe. W końcu zdesperowana pojechała do dużego centrum handlowego w pobliżu budynku zajmowanego przez firmę Johna. Liczyła na to, że go nie spotka. Wczorajsza konfrontacja z nim wiele ją kosztowała, minęła godzina, zanim trochę się uspokoiła.

W małym butiku znalazła wreszcie to, czego szukała. Kupiła cztery pary spodni w pastelowych kolorach, o dwa numery większych, niż zwykle nosiła, i dwie ładne bluzki, pasujące do nich. Wyszła z chłodnego, klimatyzowanego butiku i poczuła, że musi gdzieś przysiąść i odpocząć. Było jej gorąco, brakowało jej powietrza i z minuty na minutę czuła się coraz bardziej słabo. Upuściła torebkę, żeby mieć pretekst do schylenia się. Miała nadzieję, że to zapobiegnie mdłościom i omdleniu. Nie pomogło. Samochód stał zaparkowany stosunkowo blisko, ale równie dobrze mógł stać o kilometry od

niej, bo i tak nie miała siły do niego dojść.

Oddałaby połowę tantiem za coś chłodnego do picia. Rozejrzała się wokół, ale nie dojrzała w pobliżu żadnego baru. Złośliwość losu, uznała w duchu. Po minucie postanowiła jednak podejść do samochodu. Albo zdobędzie się na ten wysiłek, albo będzie dalej tu siedzieć, co nic jej nie da.

Wzięła torebkę i torbę z zakupami i ruszyła w kierunku wyjścia. Ściany dziwnie wykrzywiały się w jej oczach, rozmazywały się sylwetki ludzi. Jakiś mężczyzna w ciemnym garniturze i stetsonie podszedł do niej, ale zanim na niego spojrzała, zrobiło jej się ciemno przed oczami i zemdłała.

Ocknęła się na wyściełanej pluszem sofie, biały sufit powoli konkretyzował się w jej oczach. Zamrugła kilka razy i wzięła głęboki oddech. Czowała się dobrze, mdłości i uczucie osłabienia znikły. Odwróciła głowę i napotkała niespokojne spojrzenie Johna Duranga.

– Już ci lepiej? – spytał.

Rozejrzała się wokół. Trzech nieznanych jej mężczyzn patrzyło na nią od drzwi, John siedział przy niej na sofie.

– Tak, dużo lepiej – zdołała odpowiedzieć.

– W takim razie może zechcesz mi wyjaśnić, po co wybrałaś się tutaj w takie gorąco? Żeby zemdleć w centrum handlowym? – zapytał uprzejmym tonem.

Spojrzała na niego ze złością i podniosła się do siedzącej pozycji.

– Kupowałam ubrania, a na co innego to wygląda? – naskoczyła na niego, pokazując gestem na torbę leżącą na niskim stole. – Co cię to obchodzi, gdzie ja mdleję? Wykupiłeś centrum?

Trzej mężczyźni wycofali się dyskretnie, jeden z nich zamknął za sobą cicho drzwi.

– Chciałabyś coś zimnego do picia? – zaproponował John po dłuższej

chwili milczenia.

Najwyraźniej niepokój o mnie przeważał nad wybuchowym temperamentem, pomyślała Madeline. Prześliznął się wzrokiem po jej ciele, jakby szukał przyczyny jej omdlenia. Powieki miał półprzymknięte, nie mogła dostrzec, jaki wyraz mają jego oczy.

– Chętnie, może parę łyków coli – odparła.

W klimatyzowanym pomieszczeniu było przyjemnie chłodno.

– Zaraz ci przyniosę.

Wyszedł, a ona, już w dobrej formie, rozejrzała się wokół. Gabinet był utrzymany w szarej tonacji, przełamanej niebieskimi akcentami. Stały w nim meble wyściełane pluszem i drewniane biurko wykończone na wysoki połysk. Ktokolwiek to urządził, miał dobry gust.

Nie upłynęła minuta, a John wrócił z oszronioną puszką coli. Otwartą podał Madeline.

Upiła spory łyk.

– Jesteś cudotwórcą – pochwaliła.

– Definitywnie tak – powiedział jakby do siebie. Srebrzystoszare oczy rozbłysły zagadkowo.

Madeline upiła kilka łyków coli, aż poczuła, że mdłości i omdlenie już jej nie grożą.

– A może masz ochotę coś przekąsić? – spytał. – Co dzisiaj jadłaś?

– Piłam herbatę – przyznała z ociąganiem.

– Zwariowałaś – oświadczył, ale w jego głosie zabrzmiała czułość. –

Chodźmy, postawię ci lunch.

– Za wcześnie – zaprotestowała.

– To śniadanie.

– Już po jedenastej.



Przechylił głowę.

– Skarbie, jeśli zachce mi się zjeść śniadanie o północy, to je dostanę.

Chcesz się założyć?

Uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy od długiego czasu, co, jak się okazało, wywołało piorunujący efekt. Popatrzył na nią w taki sposób, że zmieszana Madeline uciekła spojrzeniem w bok.

– Idziesz, Ruda? – spytał łagodnie.

Poczuła ciepło na sercu, gdy usłyszała wymyślony przez niego przydomek. Sięgnęła po torebkę i zakupy. Dobrze było wiedzieć, że nie jest już na nią zły. Nawet jeśli nie wrócą do przyjacielskiej zażyłości, którą cieszyli się przez dwa lata, to może zostaną zwykłymi przyjaciółmi. W każdym razie dopóki ona nie wyjedzie. Przyjemnie będzie zabrać ze sobą trochę umilających życie wspomnień.

Dostali bekon i jajka w jednej z restauracji znajdujących się w obrębie centrum handlowego, co wywołało zdziwienie kilku osób, które pojawiły się tu, aby zjeść wczesny lunch.

– Znam szefa kuchni.

Wąsy powędrowały w górę, gdy John uśmiechnął się do Madeline, przełknąwszy ostatni kawałek tostu. Odchylił się na siedzenie i popijał kawę.

– Dobrze się złożyło – odparła z zadowoleniem, porządnie najedzona. – Nie pamiętam, kiedy byłam taka głodna.

Zaśmiał się, twarz miał odprężoną, lekko rozbawione oczy patrzyły na nią z czułością.

– Masz dość?

– Więcej niż dość. Dziękuję ci.

– Jajka są wskazane, jeśli masz tendencję do omdleń. Mają sporo białka.

Stek też nie byłby od rzeczy. – Przekrzywił głowę. – Co byś powiedziała na

stek dziś wieczorem?

Zesztywniała lekko, spojrzała na niego nieufnie, łatwo wyczytała w jej wzroku obawę.

– Sama nie wiem.

Nachylił się ku niej, twarz miał spokojną, przyjazną.

– Skarbie, nie będę próbował zaciągnąć cię do łóżka – zapewnił ją łagodnym tonem. – Obiecuję. Nawet cię nie dotknę, jeśli nie będziesz tego chciała.

Była pod wrażeniem.

– Możemy wrócić do punktu wyjścia? – spytała spontanicznie.

– Nie – zaprzeczył. – Powinniśmy powoli, drobnymi kroczkami, dzień po dniu posuwać się do przodu. Żadnych zobowiązań, ale i żadnego wyciągania przeszłości.

Zawiesiła wzrok na jego wyrazistej twarzy. Nie powinnam zaakceptować tego planu, pomyślała. Gdybym miała odrobinę zdrowego rozsądku, to wstałabym i uciekła. Tyle że kochała go zbyt mocno, aby zrezygnować z tych okruchów, które jej ofiarował. Kilka dni w jego towarzystwie nie spowoduje większej zmiany. I tak wyjedzie z Houston, a i John nie zdąży nabrać podejrzeń. Oczywiście pod warunkiem, że ona przestanie mdleć. Chyba nie przyszło mu do głowy, że ona jest w ciąży.

– Dobrze – zgodziła się.

John wyraźnie się ucieszył.

– Powiem Jositowi, żeby po ciebie pojechał. Albo nie, przyjedziemy obydwoj.

– Nie potrzebuję zbrojnej eskorty.

Poruszył się niespokojnie na krześle.

– Nie chcę, żebyś prowadziła sama po nocy. Ustąp mi, proszę cię.

– Przecież zawsze sama prowadziłam – zaprotestowała.

John sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Wąsy mu drgnęły, gdy wygiął usta z irytacją i powiedział:

– Na twojej ulicy dokonano dwóch włamań w ciągu tygodnia. Właśnie w nocy. Proszę cię, ustąp mi, do cholery!

Roześmiała się, patrząc, jak próbuje opanować wyraz niezadowolenia na twarzy.

– Dobrze, w końcu to twoja benzyna.

– Masz słuszość, to moja benzyna. Co za przyjemność posiadać kompanię nafcarską, jeśli nie można sobie sprawić trochę radości, używając jej produktów, prawda?

Roześmiała się i dłużej nie protestowała.

Rolls–royce podjechał pod dom punktualnie o szóstej. Za kierownicą siedział uśmiechnięty Jo–sito, a John wyglądał jak z żurnala, gdy w ciemnym wieczorowym ubraniu wysiadł z auta, żeby otworzyć przed Madeline tylne drzwi.

Popatrzył z uznaniem na czarną wieczorową suknię, tę samą, którą miała na sobie podczas balu dobroczynnego, z tą różnicą, że róża była biała, nie czerwona. Madeline nie miała wielkiego wyboru – z całej jej wieczorowej garderoby wciskała się tylko w tę jedną suknię.

– Dokąd jedziemy? – spytała z zaciekawieniem.

– W miejsce, gdzie podają najlepsze steki w całym Houston.

– I gdzie to jest?

– W moim apartamencie.

Pobladła i z niedowierzaniem popatrzyła na Johna. Wyciągnął rękę i zamknął jej dłoń w uspokajającym uścisku.

– Nie masz się czego obawiać – zapewnił ją cicho.

– Mówiłem na serio wtedy, gdy jedliśmy śniadanie w restauracji. Josito zostanie w apartamencie na całą noc. Będzie cię bronił za cenę życia.

Madeline trochę się odprężyła, ale pozostała świadoma, że wspomnienia wspólnej nocy opadną ją, ledwie przekroczy próg, a bardzo się tego obawiała. Ciekawe, co by się stało, gdyby spojrzała mu prosto w oczy i wypaliła „John, jestem w ciąży”. Łobuzerski uśmiezek błysnął w jej oczach i zgasł, zanim zdążył je rozjarzyć. Pewnie by zemdlał. A potem... Lepiej nie myśleć, co by było potem. I lepiej będzie, jak zacznie się kontrolować. Zacisnęła palce na torebce.

– A skąd te wyśmienite steki? Z rancza? – spytała. Spojrzał na nią z przesadnym przerażeniem.

– Z rancza? Przecież nie hoduję mięsnego bydła!

– Sądziłam, że znowu jesteśmy przyjaciółmi.

– Owszem.

– Czy te twoje stare, wyliniące krowy z rodowodem są za dobre, żeby je zaserwować przyjaciółom? – dokuczała mu.

– Stare wyliniące krowy osiągają po dwadzieścia pięć tysięcy i więcej dolarów na aukcjach. Są rasowe. Ich się nie jada.

– Dlaczego nie? Czy trzeba zjeść z nimi ich certyfikaty?

John powoli wciągnął powietrze i powiedział:

– Boże, daj mi cierpliwość.

– Nie dał – podkreśliła Madeline. – Kompletnie nie masz cierpliwości.

– Raz miałem – przypomniał jej z czułym uśmiechem.

Zaczerwieniła się po korzonki włosów i odwróciła wzrok. Zapanowało milczenie, które przerwał John.

– Czy wciąż wstydzisz się tego, co zaszło?

Madeline popatrzyła przez okno na rozświetlone miasto.

– Czy Houston nie jest piękne nocą? – spytała ze sztucznym ożywieniem.

W odpowiedzi roześmiał się i w uszach Madeline ten jego śmiech zabrzmiał drapieźnie.

Stek był niewiarygodnie miękki i soczysty. Josito podał do niego pieczone w domu bułeczki, ziemniaki utłuczone z kwaśną śmietaną i chłodną, chrupiącą sałatę. Na deser upiekł ciasto z brzoskwiniami. Madeline zjadła się tym wszystkim łapczywie, jakby to miał być jej ostatni posiłek w życiu, świadoma rozbawionych spojrzeń, które rzucał na nią John.

– No co? To było pyszne – powiedziała w końcu z pretensją w głosie.

– Cieszę się, że ci smakowało.

Wstał, odsunął jej krzesło, a potem zaprosił ją do pokoju dziennego.

– Brandy? – zaproponował.

Już miała skinąć głową, ale się powstrzymała. Przecież nie będzie piła w ciąży. Uśmiechnęła się do niego, gdy uniósł do ust szklaneczkę z whisky.

– Wolałabyś raczej whisky? – spytał prowokacyjnie.

Oparł się o bar i patrzył na nią srebrzystoszarymi oczami, przesuwając wzrokiem po jej zaokrąglonym ciele, jakby chciał się nim nasycić. Madeline zadarła podbródek.

– Szukasz zagnieceń na mojej sukni? – spytała uprzejmym tonem.

Uśmiechając się, pokręcił przecząco głową.

– Służę ci to, skarbie – powiedział, a w jego głosie zabrzmiały niskie, zmysłowe nuty.

– Niby co? – spytała podejrzliwie.

– Przybranie na wadze, oczywiście. Przecież wiesz, że mi to nie umknęło. – Podniósł szklaneczkę do ust i pociągnął mały łyk bursztynowego

płynu. – Myślałaś, że o co mi chodzi?

– O nic. – Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

Po chwili John usiadł obok Madeline na pluszowej kanapie. Spojrzała na niego podejrzliwie, dobrze pamiętając, do czego to poprzednim razem doprowadziło.

– Nie denerwuj się – powiedział łagodnie. – Obiecałem, że cię nie dotknę, pamiętasz?

– Łamiesz tę obietnicę, dotykając mnie wzrokiem, Johnie Durango – odcięła się.

W sposób oczywisty działała na nią bliskość ukochanego – ciepło bijące od jego ciała, świeży, męski zapach wody kolońskiej. Skrzyżowała nogi w kostkach i splotła dłonie. John westchnął i odchylił się na oparcie kanapy. Przymknął oczy i wyglądał, jakby właśnie wrócił z rajdu po pustyni.

– Zmęczony? – spytała z troską.

– Śmiertelnie – przyznał. – Narzuciłem sobie zabójcze tempo pracy. – Otworzył jedno oko. – Że nie wspomnę o naszych kłótniach.

– Nie zwalaj winy na mnie – obruszyła się Madeline. – Wszystko popsuła twoja podejrzliwość. Od niej się zaczęło.

– Nie, kochanie. – John pokręcił przecząco głową.

– To się zaczęło, ponieważ poszliśmy do łóżka. – Odwrócił się ku Madeline i spojrzał na nią, a wyraz jego oczu sprawił, że zadrżała. – Czy tobie też było tak ciężko jak mnie, gdy wykopaliśmy topór wojenny?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Bardzo się do siebie zbliżyliśmy przez te lata i nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dużo czasu spędzamy razem, dopóki to się nie urwało. Poczułam się samotna.

– Ja też. – Ujął jej dłoń swoją ciepłą dużą ręką. – Moglibyśmy spędzać

jeszcze więcej czasu razem.

– Jak to sobie wyobrażasz?

Wzjął głęboki oddech i powiedział:

– Wyobrażam sobie, że moglibyśmy się pobrać.

Zszokowana, Madeline znieruchomiała, wpatrując się w Johna jak zaczarowana.

– Cholera, pospieszyłem się – ocenił samokrytycznie John. – Zamierzałem stopniowo doprowadzić do... – Urwał, a po chwili dodał: – Mniejsza o to, mleko się wylało. Wyjdiesz za mnie?

Chciała mu odpowiedzieć, ale wargi jej zadrżały i nie od razu udało się jej wydobyć głos.

– Mówiłeś, że... więcej się nie ożenisz – wykrztusiła wreszcie.

– Zmieniłem zdanie. – Wyciągnął z kieszeni papierosy i złotą zapalniczkę.

Madeline patrzyła, jak zapala papierosa, wciąż oszołomiona nagłymi oświadczeniami czy raczej matrymonialną propozycją. Chce się z nią ożenić, ale nie zapewnił jej o swojej miłości, uprzytomniła sobie. Zresztą, gdyby ją kochał, nie byłby zdolny potraktować jej w taki sposób jak przez ostatnie sześć tygodni, rozważała. To nie miało sensu. No i jeszcze dziecko...

Gdyby mogła uwierzyć, że nie zrani jej tak jak przedtem. Skoro tak gwałtownie zareagował na widok Donalda w jej pokoju, co będzie, gdy dowie się o dziecku? Jak go zdoła przekonać, że jest jego, a nie Donalda? A jeśli John po raz kolejny się od niej odwróci? Tego by nie zniosła. Potrzeba jej czasu, aby upewnić się co do jego uczuć, odbudować zaufanie, ale właśnie czasu nie miała. Jeszcze miesiąc i jej ciąża stanie się widoczna. Och, sytuacja bez wyjścia.

– Nie mogę wyjść za ciebie – powiedziała w końcu.

Patrzył na nią w milczeniu, uśmiechając się na widok jej niepewnej miny i przestraszonych oczu.

– Sądzę, że jednak możesz. Musisz tylko przywyknąć do tego pomysłu. Przecież wiesz, że zawsze dostaję to, czego chcę, skarbie, a tego pragnę jak niczego na świecie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek – dodał łagodnie, zniżając głos.

– A to dlaczego? – zażądała wyjaśnień.

Oczy mu pociemniały, gdy przesunął wzrokiem po jej ciele, którego okrągłości uwypukliła czarna suknia, ostatnio zbyt obcisła. Uśmiechnął się szelmowsko.

– Wprawiloby cię to w szok, gdybyś poznała powody – powiedział zmysłowo. – Chodź do mnie, a pokażę ci kilką z nich.

Złapała torebkę ze stolika do kawy i skierowała się do drzwi.

– Dobranoc, John – rzuciła. – Dziękuję za doskonałą kolację.

– Jak planujesz dostać się do domu? – spytał grzecznie.

Przystanęła przy drzwiach, z ręką na klamce.

– Wezwę taksówkę.

– Poczekaj chwilę. Josito cię odwiezie. Tym razem nie będę nalegał, żeby wam towarzyszyć. Czy to ci polepszy humor?

– Tak – odparła niepewnie.

John wstał powoli z kanapy, przypominając jej w tym powolnym ruchu wielkiego, pełnego gracji kocura.

– Pamiętaj tylko jedno, Ruda. Przekonasz się, że prędzej czy później to się stanie.

Dom zaczynał przypominać kwiaciarnię. Każdego dnia przybywały kolejne tuziny róż – czerwone, różowe, białe, herbaciane.

Jeżeli akurat nie dostarczano kwiatów, to John przypominał jej o swoim



istnieniu licznymi telefonami. Zaczął zaopatrywać ją w jedzenie. Wiedział, że Madeline nie przygotowuje sobie śniadań, przysyłał więc Josita z bekonem, jajkami i domowymi biskwitami na podgrzewanych talerzach. Od razu pierwszego dnia przekonała się, że jeśli nie zje, to biedny Josito będzie krążył z na nowo przygotowanym ciepłym jedzeniem aż do skutku. Ze względu na niego opróżniała talerze.

Nie chciała rozmawiać z Johnem, niezależnie od tego, że dzwonił w regularnych odstępach czasu sześć razy dziennie. Miał taką siłę przekonywania, że zmiękczyłby skałę, a tę życiową decyzję musiała podjąć sama. Potrzebowała ją rozważyć, poważnie się zastanowić, a nie byłoby to możliwe w jego obecności. Zdaje się, że po raz pierwszy w swoim życiu John Durango miał się przekonać, że siła jego woli nie wystarczy, aby zdobył to, czego chce.

Jak zwykle w piątkowe popołudnie Madeline pojechała do znajomego sklepu spożywczego i zaparkowała w mniej więcej tym samym miejscu co zawsze. Ledwie wysiadła z samochodu, zdała sobie sprawę, że ma towarzystwo.

Przystanąła przy stoisku cukierniczym tuż przy wejściu do sklepu i wkrótce zobaczyła idącego wielkimi krokami po chodniku Johna Duranga, mającego na sobie niebieskie letnie ubranie w paski i nieodłącznego białego stetsona na głowie. Był ponury niczym chmura gradowa.

– Dlaczego, do cholery, nie chcesz ze mną rozmawiać? – spytał wściekłym głosem. – Nie podobają ci się róże?

– Muszą mi się podobać – odparła ze złością. – Zajmują dwa pokoje. Wypycham nimi poduszki, doprawiam zupe, dekoruję ciastka. Nawet kąpię się w tych cholernych różach!

– Myślałem, że lubisz róże.

– Lubię, ale to nie znaczy, że mają mnie udusić. Już dawno wykorzystałam wszystkie wazony – zrzędziła

– i wszystkie naczynia, które miałam w kuchni. Umieram z głodu!

Natychmiast twarz mu się rozjaśniła.

– Josito będzie ci przywoził lunch i obiad.

– Nie! – wykrzyknęła, w pełni świadoma zaciekawionych i rozbawionych spojrzeń wymienianych przez trzy ekspedientki. – Wystarczy mi śniadanie, dziękuję. Z pozostałymi posiłkami dam sobie radę.

Wiesz, że nie cierpię śniadań – rzuciła oskarżycielskim tonem.

– Rozchorujesz się znowu – dowodził uparcie.

– Musisz odzyskać siły. – Uśmiechnął się. – Jeśli za mnie wyjdiesz, to nabierzesz ciała. Będę cię karmił łyżeczką.

– Nie zamierzam za ciebie wychodzić – powiedziała z rozdrażnieniem.

– Proszę cię, John, po prostu odejść.

– Nie, chyba że powiesz „tak”. – Wsadził ręce do kieszeni. – Mam cały dzień wolny. Będę chodził za tobą.

– W takim razie prędko zgłodniejesz, prawda? – spytała, przygryzając z namysłem kącik warg.

– Mogę coś chapnąć po drodze – odparł, wzruszając ramionami.

– Pozwól mi rozwiązać za ciebie ten mały problem.

– Odwróciła się i przyjrzała wyłożonym wyrobom ciastkarskim. – Cytrynowa beza. – Podniosła ciastko.

– Twoja ulubiona, tak?

Skinął głową.

– Rzeczywiście.

Trzymając ciastko w jednej ręce, drugą wygrzebała dziesięciodolarowy banknot i z uprzejmym uśmiechem wręczyła go jednej z ekspedientek.

- Proszę bardzo, kochanie – zwróciła się do Johna, trzepocząc rzęsami.
- Smacznego – dodała, po czym rozgniotła bezę na jego twarzy.

Była pewna, że to go zniechęci. Następnego ranka, bardzo wcześnie, gdy po bezsennej nocy zdecydowała się na małą przebieżkę w nadziei na poprawę samopoczucia, usłyszała jadący za nią samochód. Ciekawe, kto jeszcze oprócz zwariowanej kobiety w ciąży, niepotrafiącej usiedzieć na miejscu, jest na tyle głupi, żeby wstać o tej nieludzkiej porze, zastanawiała się. Zaraz się przekona, gdy samochód ją wyminie. Nie przejechał obok, obejrzała się więc przez ramię.

Tuż za nią niezwykle powoli sunął biały rolls-royce. Josito prowadził, a John wychylał się przez otwarte tylne okno. Schludnie przystrzyżone wąsy uniosły się ku górze, gdy uśmiechnął się szeroko.

## ROZDZIAŁ DZISIĄTY

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – rzuciła przez ramię i truchtała dalej. Raz, dwa, trzy, zaczęła liczyć w myśli kroki, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem...

– Przyjemną mamy pogodę – kontynuował niezrażony John, spoglądając w górę na gęste listowie drzew rosnących wzdłuż ulicy. – To znaczy jak na początek lata.

– Bardzo przyjemną – odpowiedziała zdyszana, siłą powstrzymując się, aby na niego nie spojrzeć.

– Może odpoczniesz chwilę i przejedziesz się z nami – zaproponował po minucie.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Może raczej ty wysiądziesz z samochodu i poćwiczysz trochę. Powtarzasz, że ludzie, którzy siedzą za biurkiem, szybko się starzeją.

Usłyszała odgłos otwierania, a potem zamykania drzwi i John dołączył do niej, a Josito dalej wolno prowadził rolls-royce'a.

Nawet w znoszonych dżinsach i zwykłej koszuli z bawełnianej dzianiny wygląda elegancko, pomyślała Madeline, zerkając z podziwem na jego muskularne ciało, gdy truchtał leniwie obok niej.

– Wyjątkowo go dzisiaj przypominasz – powiedziała pod nosem.

– Proszę?

– Tego aktora z telewizji – kontynuowała uszczypliwie. – Tyle że on biega w sportowych butach, nie w pantoflach.

Wąsy uniosły się po jednej stronie ku górze.

– Gra w serialu faceta, którego nie stać na porządne pantofle. Nawiasem

mówiąc, dziękuję za ciasto. To, którego posmakowałem, było znakomite.

– Proszę cię bardzo. – Nie wytrzymała i roześmiała się w głos. – Przepraszam cię, ale wtedy wydawało mi się, że to jedyne, co mogę zrobić, aby cię powstrzymać.

– Podobnie jak ze spaghetti, które wylałaś mi na kolana?

– Myślałam, że lubisz spaghetti.

– Lubilem. – Spojrzał na nią uważniej. – Jesteś bardzo blada. Dobrze się czujesz?

– Oczywiście – skłamała.

W rzeczywistości wcale nie czuła się dobrze, ale postanowiła, że nie okaże tego po sobie. Zaczęła znowu liczyć w myślach, a po minucie spytała Johna, rzucając wymowne spojrzenie na samochód.

– Zdajesz sobie sprawę, jak śmiesznie wyglądamy? Uciekając przed rolls-royce'em o wpół do szóstej rano w sobotni poranek?

– Robiliśmy bardziej zwariowane rzeczy – przypomniał jej. – Na przykład powrót pieszo do domu w deszczową noc po koncercie w Jones Hall, kiedy to przemokliśmy do suchej nitki.

– Albo jak przeważyliśmy łódkę, łowiąc ryby, i wpadliśmy w ubraniu do jeziora. – Uśmiechnęła się.

– Czasem dobrze się w swoim towarzystwie bawiliśmy.

– Co nie znaczy, że jeszcze nie będziemy – zapewnił ją. – Na sto procent tak, Ruda.

Przystanąła, czując mdłości. Spojrzała na niego niepewnie, przełykając ślinę.

– John, chyba zemdleję... – zdołała powiedzieć. Złapał ją, zanim upadła na chodnik, i bez trudu uniósł w ramionach.

– Madeline, co się dzieje? – spytał zdenerwowany.

– Madeline!

– Ja... – wyszeptała, opierając głowę o jego szeroką pierś, wdychając zapach jego ciała z takim uczuciem, jakby po długiej drodze wróciła do domu. – Trochę mi słabo.

Zamamrotał coś, co zabrzmiało jak grube przekleństwo, i podszedł, stawiając wielkie kroki do samochodu, przy którym czekał Josito, przytrzymując otwarte drzwi.

– Ciśnij gaz do dechy – polecił Jositowi, siadając na tylnym siedzeniu z Madeline w objęciach. Zamknął drzwi, a potem opuścił kurtynę między nimi a przednim siedzeniem.

*Josito* usiadł na miejscu kierowcy i natychmiast ruszył.

– Myślałem, że ten przekłety lekarz uznał, że jesteś absolutnie zdrowa. – Popatrzył na nią gniewnie.

– Bo jestem – powiedziała uparcie. Wzięła głęboki oddech i odprężyła się w jego ramionach. – Nie fukaj na mnie, John. Czuję się okropnie.

– Chcesz coś zimnego do picia? Colę? Sok z lodem?

Poruszyła potakująco głową, przesuwając ją po jego piersi.

– Z lodem byłoby wspaniale.

– Mówisz i masz. – Odsunął kurtynę. – Josito, zawieź nas do tej nowej lodziarni.

– *Sí, señor. Czy señorita* dobrze się czuje?

– Mam nadzieję – odpowiedział ponuro John.

– Zdecydowanie tak – zaprotestowała słabo. – A w każdym razie będę, kiedy odzyskam oddech. Po prostu trochę przesadziłam. Zarzuciłam bieganie na jakiś czas, to dlatego – tłumaczyła Madeline, zdeterminowana, aby przekonać Johna, że nic się nie dzieje.

Znała go, wiedziała, jaki jest. Doskonale mogła sobie wyobrazić, że

kierowany impulsem postanawia zabrać ją do lekarza i wnosi ją do jego gabinetu, trzymając w ramionach. Cechowała go arogancja, typowa dla bardzo zamożnych ludzi, mających wysoką pozycję, którzy przywykli dostawać to, czego chcą.

– Nie zamierzasz zrobić niczego głupiego? – spytała. Przekręciła głowę na jego piersi i spojrzała niespokojnie na jego męską twarz o wyrazistych rysach.

– Wszystko ze mną w porządku, naprawdę.

Twarcz Johna nie złagodniała ani trochę.

– Czasami mnie przerażasz – powiedział wymijająco. W jego głosie słychać było troskę.

Madeline uśmiechnęła się.

– Bez przesady. Nie próbuję zjeżdżać po najszybszej rurze na basenie ani szybować na paralołni.

– Przestań! – Westchnął ciężko i usiadł wygodniej, nie wypuszczając jej z objęć. – Skoro słabniesz, biegając, to wyobrażam sobie, jak byś się czuła, lecąc w dół z jakiejś cholernej góry. Jeszcze nie zapomniałem dnia, gdy zdecydowałaś się na skok ze spadochronem – dodał, rzucając jej ponure spojrzenie.

Poruszyła się niespokojnie i ułożyła wygodniej na jego piersi.

– To nie moja wina, że to drzewo tam było – broniła się jak dziecko.

– Wyplątywanie cię zajęło mi prawie godzinę, a przedtem ponad godzinę przeczesywałem las, żeby cię znaleźć. Miałaś szczęście, że to mi zajęło tyle czasu i energii, bo złość zdążyła ze mnie wyparować.

– To ciekawe, co słyszę, bo nieźle na mnie na– wrzeszczałeś.

– Zasłużyłaś na to, szalona kobieto – oświadczył bez cienia skruchy. – Nawet nie waż się myśleć o zrobieniu czegoś tak nierozsądnego teraz – dodał

kategorycznym tonem.

Madeline obrzuciła badawczym spojrzeniem twarz Johna. Czyżby zdawał sobie sprawę z jej stanu i nie zdradzał się z tym? – zadała sobie w duchu pytanie i zaczęła przypominać sobie jego ostatnie uwagi.

– W każdym razie dopóki nie zwalczysz tego diabelnego wirusa – dodał po chwili.

– Potrafią się... ucześcić – przyznała Madeline. Wciąż nie potrafiła orzec, czy John wie o jej ciąży.

– Chciałbym, żebyś poszła do innego lekarza – oświadczył nieoczekiwanie. – Nie jestem pewien, czy można ufać temu, u którego byłaś.

– Och nie, to bez sensu – zaprotestowała natychmiast. – Niedługo mi się poprawi. Zresztą już nie czuję mdłości – zapewniła go, próbując usiąść.

– Lepiej nie zmieniaj pozycji – orzekł, przytrzymując Madeline.

Poruszyła się i jej głowa znalazła się na wysokości głowy Johna. Na policzku poczuła jego ciepły oddech.

– To nie jest taki duży samochód – ciągnął John.

– Przypuśćmy, że musielibyśmy zabrać jakiegoś kierowcę, któremu zabrakło benzyny, albo kogokolwiek. Gdzie by usiadł, gdybyś ty zajęła więcej miejsca?

Spróbowała zachować powagę.

– Przypuśćmy, że byłby to urodziwy, umięśniony blondyn, co byś wtedy zrobił?

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, zanim wąsy mu drgnęły w uśmiechu.

– Kazałbym Jositowi posadzić go sobie na kolanach – odparł i wybuchnął śmiechem.

Madeline objęła go za szyję.



– Czy to ma być przytyk, że jestem gruba, panie Durango? – spytała kokieteryjnie.

– Skądże, w żadnym razie. – Poszukał dłońmi jej zaokrągłej się talii, przesunął je na biodra, a potem na plecy w miejsce, gdzie koszulka do joggingu odsłaniała skórę. – Ani trochę nie gruba, panno Vigny. – Potarł prowokacyjnie jej nos swoim nosem. – Tylko ponętnie zaokrąglona.

– John, obiecałeś – przypomniała mu, choć serce zaczęło jej bić szybciej.

Skrzywił się lekko, jego dłonie znieruchomiały.

– Tak, obiecałem – przyznał niechętnie. Pocałował ją lekko w nos, wypuścił z objęć i posadził obok siebie. – Teraz lepiej? – spytał.

– I tak, i nie – zamruczała pod nosem.

– Lepiej przestań, Ruda, zanim to cię przerośnie – ostrzegł ją. Przesunął po niej zaborczym spojrzeniem.

– To niesamowite, że tak śliczna kobieta jak ty jeszcze wypiękniała.

Madeline opuściła wzrok na jego szyję, widoczną w rozpięciu koszuli.

– Pan to potrafi, panie John – przeciągnęła samogłoski niczym dama z Południa i zatrzepotała rzęsami.

– Jasne – odrzekł ze śmiechem.

Nieoczekiwanie jego twarz przybrała bardzo poważny wyraz.

– Skarbie, wyjdiesz za mnie? Zastanawiałaś się chociaż nad tym?

Spojrzała mu prosto w oczy i skinęła powoli głową.

– Tak, zastanawiałam się, ale proszę, nie naciskaj na mnie więcej. Sama muszę podjąć decyzję. Potrzebuję czasu.

– Będzie, jak chcesz, Ruda. – Przyciągnął ją do siebie bliżej. – Masz to u mnie jak w banku.

Parę dni później Madeline przypomniała sobie zapewnienie Johna o

pozostawieniu jej swobody w ustosunkowaniu się do jego matrymonialnej propozycji. Właśnie patrzyła na tuziny róż, których zapach był obezwładniający. Chociaż obiecał jej, że nie będzie na nią wywierał nacisku, codziennie przysyłał nowy bukiet. Wiedziała, że w swoim mniemaniu daje jej czas do namysłu, tak jak prosiła, więc już nie protestowała. Zresztą nie mogła oczekiwać, że w cudowny sposób zmieni mu się charakter. Nie wytrzymała jednak, gdy przekonała się, że dziwnym trafem spotyka go tam, gdzie sama się pojawi.

– Chodzisz za mną – oskarżyła go po tygodniu, kiedy znowu niby przypadkiem wpadł na nią w sklepie z alkoholami w centrum handlowym.

Odciągnął ją od ekspedienta i trzech innych klientów w zaciszną alejkę między regałami z winem.

– Co ty tu robisz? – spytał przyciszonym głosem. – Nie powinnaś pić. Przecież ten wirus doprowadza cię do mdłości.

Pomyślała, że na szczęście John najwyraźniej nie nabrał podejrzeń co do upartego wirusa.

– Nie kupuję niczego, żeby wypić – wyszeptała konspiracyjnie. – Potrzebna mi mała butelka rumu, żeby upiec ciasto. Wiem, że lubisz ciasto z rumem, a nie smakuje tak dobrze ze sztucznym aromatem.

Zmarszczył czoło z namysłem.

– Większość alkoholu powinna wyparować, więc może... W takim razie pomieszaj pół na pół rum kokosowy z ciemnym, a uzyskasz niezapomniany smak.

Madeline zachnęła się i spytała ironicznie:

– A. skąd zaczerpnąłeś tę wiedzę? Przecież nie umiesz gotować.

– Josito mi powiedział.

– Naturalnie, nie będę kwestionować wskazówek Josita. Rum

kokosowy, dobrze. A teraz wróćmy do tematu. Dlaczego za mną chodzisz? Spotkałam cię w sklepie spożywczym, wczoraj w aptece, dzisiaj tutaj. Przyjmij do wiadomości, że naprawdę dobrze się czuję.

– Wiem – oświadczył. – Dużo lepiej wyglądasz, ale to diabelstwo wciąż cię nęka. Możesz znowu zemdleć i kto wtedy się tobą zajmie?

– Nikt w taki sposób jak ty, to pewne. – Westchnęła, na poły rozbawiona, ale i na poły zadowolona. – Wiem, że chcesz mi dać czas do namysłu, o co prosiłam, więc obserwujesz mnie z daleka. Naprawdę nie ma potrzeby, żebyś posuwał troskę o mnie do takich granic. Możesz do mnie co jakiś czas zadzwonić, możemy zjeść razem kolację...

– Kiedy? – przerwał jej, natychmiast wykorzystując okazję. – Dzisiaj? Co mam przynieść?

Nie mogła się nie roześmiać.

– No dobrze, może być dzisiaj. Możesz przynieść butelkę porto, pasującego do spaghetti i czosnkowego pieczywa.

– Wracasz zaraz do domu?

– Tak, proszę pana, jak tylko kupię rum – zgodziła się bez dalszej dyskusji.

– Przekonamy się, czy to prawda – zapowiedział i odwrócił się, by odejść.

Jak mała dziewczynka, ze złości pokazała mu język.

Rzeczywiście zamierzała wrócić prosto do domu, ale nie spodziewała się, że po drodze złapie gumę.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – zwróciła się z pretensją w głosie do żółtego volkswagena, patrząc bezradnie na sflaczałą oponę. – Uratowałam cię przed miesiącami wysłuchiwania kłamstw na swój temat, wypowiedanych przez tego fałszywie uśmiechniętego sprzedawcę, i przed tabunami nieznanomych

ludzi, chcących wypróbować, jak siedzi się na twojej tapicerce. A ty tak mi się odwdzięczasz?

Otworzyła z westchnieniem kufer i wyjęła podnośnik i klucz do odkręcania śrub. Przez chwilę medytowała, w jaki sposób ma zabrać się do uniesienia samochodu. W końcu rozkręciła podnośnik i chciała spróbować wsunąć go w otwory podwozia, gdy usłyszała pisk hamulców.

Jeszcze zanim się obejrzała, wiedziała, kto tak gwałtownie zahamował. Od zaparkowanego po drugiej stronie ulicy czarnego lśniącego ferrari szedł ku niej John. Madeline wyprostowała się.

– Co ty, do diabła, robisz?! – ryknął na nią.

Dobre intencje diabli wzięli, pomyślała pod jego adresem i przybrała wyniosłą minę, zła na niego za despotyczne zachowanie.

– Zmieniam koło, a na co to według ciebie wygląda?! – podniosła głos.

– Myślisz, że sprawiłoby mi przyjemność stanie tutaj bezradnie i robienie z siebie idiotki?

– Nie wiem. A sprawiłoby ci? – odciął się. – Odsuń się, to robota dla mężczyzny.

– Na co ty sobie pozwalasz! – Przesunęła się tak, aby uniemożliwić mu sięgnięcie po lewarek. – Czasy niewolnictwa się skończyły, możesz sobie być właścicielem kompanii nafciarskiej, ale ani ten samochód, ani ja nie należymy do ciebie.

– Ale będziecie – oświadczył spokojnie. – Odsuń się.

– Niedoczekanie!

– Przeciwnie. Wyjdiesz za mnie, i to wkrótce – oznajmił John – Mam po dziurki w nosie gadania o czekaniu. Nerwy mam w strzępach od uważania na ciebie w oczekiwaniu, aż się zdecydujesz.

– O czym ty mówisz?

Po drugiej stronie ulicy uformowała się grupka osób, z dużym zainteresowaniem obserwująca to przedstawienie.

– O tym, że doprowadzasz mnie do szaleństwa, czy teraz rozjaśniło ci się w głowie?

Zrobiła uprzejmie zdziwioną minę.

– Kto, ja?

– Ty! – wykrzyknął. – Nie mogę jeść, nie mogę spać, zaniedbuję swoje obowiązki wobec akcjonariuszy. Całe moje życie kręci się wokół pilnowania, żebyś się nie zabiła!

– Jak można popełnić samobójstwo, biegając po spokojnej uliczce albo kupując butelkę rumu? – spytała z gryzącą ironią.

– A do czego prowadzi zmienianie koła w twoim stanie? – spytał, patrząc na nią oskarżycielsko.

Poczuła, że robi jej się niedobrze. Zbladła.

– W jakim moim stanie? Co masz na myśli?

John dla uspokojenia wziął głęboki oddech i w ostatniej chwili zmienił decyzję. Jeszcze poczeka i uda, że o niczym nie wie.

– To, moja droga, że dopiero co przeszłaś gripę. Nie ma potrzeby, abyś przegrzewała się w tym upale.

Madeline przechyliła głowę i wpatrzyła się badawczo w twarz Johna, ale niczego z niej nie wyczytała.

John westchnął ostentacyjnie.

– Czy jaśnie pani zechce się odsunąć, czy mam cię usunąć z drogi?

– Chciałabym to zobaczyć! – rzuciła i natychmiast zdała sobie sprawę, że nie powinna tego mówić, wzięwszy pod uwagę stan umysłu Johna.

Pochylił się i podniósł ją, zanim zdążyła zareagować. Niosąc ją na rękach, przeciął ulicę, zmierzając do ferrari.

– Johnie Cameronie Durango...

Nie pozwolił jej skończyć. Przystanął przy drzwiach samochodu i zaczął ją całować, nie zwracając uwagi na grupkę rozbawionych świadków. Nawet nie usiłowała się bronić. Dotyk jego ust wciąż był czymś nowym i ekscytującym. Odbierał jej zdolność myślenia.

Odsunął się i złapał oddech.

– Dalej chcesz się ze mną kłócić? – spytał cicho.

– Bardziej niż kiedykolwiek, skoro to ma być kara – szepnęła, rozchylając zapraszająco wargi.

Roześmiał się cicho.

– Poczekaj, aż zabiorę cię do domu, skarbie – zapowiedział. Postawił ją na ziemi i otworzył drzwi. – Wsiadaj. Przyślę kogoś po volkswagena.

– Zamierzasz go tutaj tak zostawić?

– Przecież sam nie odjedzie – rzucił cierpko.

– Przynajmniej mógłbyś mi przynieść torebkę.

Uniósł oczy ku niebu, jakby błagając o cierpliwość.

– Dobrze – zgodził się i przeszedł na drugą stronę ulicy.

– Robota dla mężczyzny – mruknęła Madeline pod nosem, przesiadając się na miejsce kierowcy. – Doprowadzam cię do szaleństwa, tak? – Wychyliła się przez okno, jednocześnie uruchamiając silnik. – Zostawię ci samochód przed moim domem! – wykrzyknęła.

Odjechała z rykiem silnika, zostawiając klnącego Johna Duranga na pastwę chichoczących gapiów.

Wiedział. Teraz zyskała pewność. Stąd wynikało jego dziwne zachowanie, to rozpieszczanie jej, rzekomo niespodziewane spotkania. Wiedział o dziecku i dlatego naciskał, aby wyszła za niego za męża. Pragnął dziecka. Jej też... w każdym razie fizycznie. Przecież jego dziecko nie może

się urodzić poza małżeństwem. Gotów był się osobiście poświęcić. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że to jego wina. Na tyle go znała, aby wiedzieć, że zaważyło poczucie odpowiedzialności. Nie zadbał o środki ostrożności i był gotów ponieść konsekwencje na równi z nią, podsumowała swoje rozważania i łzy pociekły jej z oczu. Gdy dojechała do domu, żałośnie popłakiwała. Zostawiła ferrari na podjeździe z kluczykami w środku, wbiegła do środka i zamknęła drzwi na klucz. Rzuciła się na kanapę i rozszlochała.

Wydawało jej się, że upłynęła wieczność zanim się uspokoiła. Właśnie w tym momencie rozległo się łomotanie do frontowych drzwi. Madeline usiadła na kanapie.

- Odejdź! – krzyknęła głosem nabrzmiałym łzami.
- Otwórz albo je wyważę – ostrzegł. – Twój wybór.

Przez głowę jej przemknęło, ile będzie kosztować reperacja, i ta myśl zdecydowała. Poderwała się z kanapy, otarła twarz grzbietem dłoni i otworzyła drzwi.

John gotował się ze złości w drodze do domu Madeline, ale złagodniał na jej widok.

– Przyprowaździłem twój samochód. – Wręczył jej kluczyki. – Dobrze się czujesz?

Autentyczna, głęboka troska w jego głosie omal nie skruszyła jej determinacji, aby zachować spokój.

- Tak – skinęła głową. – Dziękuję ci.

Wyglądał, jakby koniecznie chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak zacząć. W końcu wykonał krótki, bezradny gest dłonią.

- Do zobaczenia – rzucił, odwracając się, aby odejść.

Patrzyła bezradnie na jego plecy. Narobił sobie kłopotu, bo martwił się o nią, a ona odpłacała mu, rzucając w twarz ciastem i każąc zmieniać koło w

pełnym słońcu. A on nawet nie zamierzał na nią nawrzeszczeć. Mało brakowało, a znowu zaczęłaby szlochać.

– John!

Zatrzymał się w miejscu, ale nie odwrócił.

– Tak? – spytał cierpko.

– Kolacja o siód... siódmej – wyjąkała.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę i zaczęła się obawiać, że nic jej nie odpowie albo co gorsza, odmówi.

– Będę – oświadczył w końcu i odszedł.

Madeline zamknęła za nim drzwi. Nic by z tego nie było. To nie mogłoby się udać. Przecież widziała, że jest zdenerwowany i rozczarowany, a w końcu oboje byli winni powstania tej sytuacji. Nie może wyjść za niego za mąż. To byłoby nie fair obarczyć go dzieckiem i nią samą tylko dlatego, że kierowało nim poczucie obowiązku. Gdyby ją kochał, to co innego.

Znekana, zamknęła oczy. Och, gdyby ją kochał! To jak życzyć sobie, aby trawa zmieniła się w złoto, a krople rosy w brylanty. Zastanawiała się, dlaczego chce się z nią ożenić, a teraz poznała odpowiedź. Czuł się winny, to wszystko. Rzeczywiście lubił ją i jej pragnął, ale to jeszcze nie miłość. A ona nie wyjdzie za mąż z żadnego innego powodu. Za nic w świecie. Małżeństwo bez miłości, wzajemnej miłości, to obustronna pomyłka. Teraz czciła ziemię, po której chodził John Durango, ale nieodwzajemniona miłość prędzej czy później się wypali. Kochać i nie być kochaną – to by ją zabiło.

Nie potrzebowała więcej czasu na zastanowienie. Podjęła decyzję. Przesaną się widywać, a ona wyjedzie z Houston. To dla nich obojga najlepsze rozwiązanie. Właśnie to powie mu dzisiaj wieczorem.

Całe popołudnie spędziła w kuchni, przyrządzając specjalny sos do spaghetti, robiąc sałatkę szefa kuchni i przygotowując pieczywo czosnkowe.



Na deser upiekła ciasto z rumem, które John tak lubił.

Obawiała się, jak przyjmie jej decyzję, ale musiała mu ją zakomunikować. Tak będzie dla nich obojga najlepiej. Powtarzała sobie to jak mantrę, biorąc prysznic i przeszukując szafę. Czarna sukienka odpadała, bo żeby się w nią zmieścić, musiałyby ją rozciąć z boku od góry do dołu, a żadnej innej nie kupiła. Wobec tego zdecydowała się na zwykłe, codzienne spodnie w pudrowym niebieskim kolorze i bladoniebieską wzorzystą, luźną bluzkę. Włosy zostawiła rozpuszczone, bo lubił, gdy je tak nosiła. Potem usiadła, starając się zająć umysł do czasu, aż John się zjawi.

Czas włókł się niemiłosiernie, czuła się znękana własnymi myślami. Ostatnie tygodnie uświadomiły jej, jak ważną rolę w jej życiu odgrywał John. A także to, że życie bez niego straci cały smak. Pocieszyła się, że dziecko jej to zrekompensuje. Dotknęła lekko zaokrąglonego brzucha i uśmiechnęła się. O tak, dziecko jej to wynagrodzi. Pogрузыła się w słodkim śnie na jawie, wyobrażając sobie, jak John trzyma w swoich potężnych ramionach ich maleńkie, kruche dziecko.

Wstała z krzesła i zaparzyła sobie herbatę. Te rojenia do niczego nie prowadzą. Ma być silna, a nie rozczulać się.

Otworzyła drzwi dokładnie o siódmej i zobaczyła Johna z bukietem biało– różowych margerytek.

Podobnie jak ona włożył zwykłe ubranie z denimu, świetnie na nim leżące, i niebieską koszulę, rozpiętą pod szyją.

– Czytasz w moich myślach, co? – spytał, wskazując na jej strój utrzymany w rozmaitych odcieniach niebieskiego.

Madeline roześmiała się.

– Na to wygląda. Co się stało? Zabrakło róż w kwiaciarni? – spytała żartobliwie, kiedy wręczył jej bukiet.

Przez chwilę John wyglądał na spłoszonego.

– No... powiedziałaś, że jesteś nimi zmęczona.

– Rzeczywiście. Dziękuję, John, bardzo lubię margerytki.

Pochylił głowę, zdejmując stetsona, i zmarszczył się lekko.

– Co tu tak pachnie oprócz ciasta?

– Róże – odpowiedziała z westchnieniem, wskazując na obfitość różnokolorowych bukietów w pokoju dziennym.

– Przesadziłem, tak? – upewniał się ze śmiechem.

Zacząła szukać naczyń na margerytki.

– Trochę, ale ja naprawdę je uwielbiam. – W końcu zdesperowana wyjęła miskę i rozłożyła w niej kwiaty, a on stał w drzwiach i patrzył.

– Spaghetti, nie myłę się? – zauważył. – Czy tym razem mam je zjeść, czy planujesz znowu ozdobić nim moje spodnie?

– Ciesz się, że nie ma bezy z kremem na deser.

– Do licha, zapomniałem o winie – zdenerwował się. – Chcesz, żebym po nie poszedł?

– Nie, w porządku – zaprzeczyła szybko. – Ja poprzestanę na mleku, a tobie mogę zrobić kawę albo mrożoną herbatę.

– A może oboje napijemy się mleka? – zasugerował.

– Naprawdę? Chyba się przesłyszałam. – Madeline rzuciła Johnowi kokietyjne spojrzenie.

Stał oparty o futrynę i obserwował ją, gdy krzątała się po kuchni, ustawiając na małym stole podstawkę pod gorące naczynia, nalewała sos, wykladała na półmisek makaron.

– Tylko żebyś niczego nie przeoczył – droczyła się z nim. – Może chcesz policzyć, czy mam wszystkie zęby?

Wąsy drgnęły, unosząc się ku górze.

– Lubię na ciebie patrzeć. Czy to ci przeszkadza?

Zaczerwieniła się jak nastolatka i pochyliła, aby wyjąć pieczywo czosnkowe z piecyka. Nalała mleka do szklanek i pokazała mu gestem, aby usiadł.

– Moglibyśmy zjeść w jadalni, ale jest zasłana notatkami i szkicami.

– Prawdę mówiąc, wolę w kuchni – odparł John i odsunął krzesło dla Madeline, zanim sam usiadł.

Jedli w niezręcznym milczeniu. Całkiem inaczej niż dawniej, kiedy on opowiadał jej anegdoty z początków działalności w biznesie nafcarskim albo o miejscach, które ostatnio odwiedził w interesach. Ona mówiła o nowych pomysłach czy postaciach, które zamierzała wprowadzić do swoich powieści, i śledziła jego reakcję. Teraz wyglądało to tak, jakby nie mieli sobie nic do powiedzenia, ponieważ bolesne wspomnienia położyły się cieniem na ich zażyłości.

Kiedy skończyli – żadne z nich nie wykazało się dobrym apetytem – Madeline zaproponowała, aby przenieśli się do pokoju dziennego. Poszła pierwsza, a John ruszył jej śladem, trzymając tacę z zastawą do kawy. Postawił ją na niskim stoliku i usiadł na kanapie obok Madeline.

– Czy właśnie teraz zamierzasz mnie poinformować, że wyjeżdżasz z Houston? – spytał rzeczowym tonem.

Ręka Madeline sięgająca po filiżankę zawisała w powietrzu. Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami, rozchyliła usta i wciągnęła głęboko powietrze, zaskoczona niespodziewanym pytaniem.

– Tak myślałem – stwierdził z goryczą. – Stąd pomysł wydania kolacji, nie wspominając o zaserwowaniu mojego ulubionego ciasta, prawda? Dlaczego nie mogłaś po prostu tego mi powiedzieć bez uciekania się do aranżowania specjalnych okoliczności? Zabrakło ci odwagi? – spytał z

krzywym uśmiezkim.

Madeline głęboko odetchnęła, po czym odparła ze złością:

– Mam jej wystarczająco dużo. Niby dlaczego miałabym się ciebie bać?

– Bo jestem od ciebie dużo większy i silniejszy, żeby ci podać chociaż jeden powód – zasugerował ironicznie.

– Wielkie rzeczy. Znasz to powiedzenie: Upadek bardziej boli większego i cięższego? – odcięła się Madeline.

– Nie znam, ale to bez znaczenia. Jeżeli wyjedziesz z Houston, to bądź pewna, że pojedę za tobą – oświadczył zdecydowanie.

– Bądź rozsądny! – wybuchła Madeline, tracąc cierpliwość. – Od ładnych kilku lat polegam wyłącznie na sobie i dobrze na tym wychodzę!

– Nie odżywasz się jak należy – oskarżył ją, mierząc wzrokiem. – Postępujesz nierozsądnie, na przykład podczas upału bierzesz się za zmienianie koła.

– Poprawię się – zapewniła go zjadliwie. – Postaram się nie podnosić nawet chusteczki do nosa.

John zerwał się gwałtownie z kanapy i zaczął krążyć po pokoju, szukając w kieszeni papierosów. Z trudem nad sobą panował.

– Mogłabyś zamieszkać na ranchu, a ja przeniosę się do penthouse'u. Josito będzie się o ciebie troszczył. Możesz mieć dziewczynę do pomocy, jeśli tak wolisz.

Znowu nerwowo przeszedł kilka kroków, stanął i zdesperowany popatrzył na nastroszoną Madeline, siedzącą w milczeniu na kanapie.

– Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie za mąż? Czy naprawdę udało mi się skutecznie zniszczyć wszystko, co do mnie czułaś? – spytał, wyraźnie znękany.

Widok miotającego się, rozgoryczonego Johna sprawił, że Madeline

zrobiło się go żal. Łzy zapiekły ją pod powiekami. Wstała, podeszła do niego i nerwowym gestem przyłożyła dłonie po obu stronach jego rozpiętej przy szyi koszuli.

– Ty wiesz, tak? – spytała.

Odłożył papierosa do popielniczki, objął ją i przyciągnął do siebie.

– Wprawdzie jestem mężczyzną – powiedział cicho, wpatrując się w nią badawczo – ale to nie znaczy, że nic na ten temat nie wiem. Omdlenia, mdłości, przybieranie na wadze. – Niepewnie przesunął dłonie na jej zaczynający się zaokrąglać brzuch.

– A kiedy dodałeś dwa do dwóch, to...? – dopytywała się.

– Zwariowałem – szczerze wyznał, unikając jej wzroku. – Kompletnie zwariowałem. Z miejsca wykupiłem pół sklepu z zabawkami i poupychałem to w garderobie w apartamencie. Poszedłem do księgarni i wziąłem wszystko, co mieli na temat ciąży oraz wychowywania dzieci. Dopiero potem zacząłem się zastanawiać, jak ci powiedzieć, że wiem, bo nietrudno było dojść do wniosku, że najwyraźniej nie życzyłaś tego sobie.

Kręcąc guzikiem jego koszuli, Madeline ze znużeniem przymknęła powieki.

– Powodowała mną obawa, że postąpisz tak, a nie inaczej, i właśnie tak się stało. Zacząłeś nalegać, żebym przyjęła twoją matrymonialną propozycję.

– Byliśmy zaprzyjaźnieni, dobrze się ze sobą dogadywaliśmy, naturalnie, z wyjątkiem ostatnich tygodni – przypomniał jej. – Mogę dać dziecku całkowite zabezpieczenie materialne. Ja... zależy mi na nim – dodał bezradnie. Poruszył się niespokojnie i ujął w dłonie twarz Madeline, zmuszając ją, by na niego spojrzała. – Powiedz mi, że chcesz tego dziecka – wyszeptał gorączkowo. – Powiedz mi to, na litość boską, nawet gdybyś miała skłamać!

Oczy wypełniły się jej łzami, które spływały po policzkach, gdy z wahaniem uniosła rękę i pogłaskała go po ciemnych, schludnie zaczesanych włosach z czułością, jakiej nie wywoływał w niej nikt inny.

– Oczywiście, że go chcę – zapewniła Johna. – Twojego dziecka... Naszego. Kocham cię tak bardzo, jak mogłabym go nie chcieć?

– Kochasz mnie? – spytał łamiącym się głosem. Przyciągnął do siebie Madeline tak blisko, jak to tylko możliwe, zrobił to jednak ostrożnie, aby nie poczuła dyskomfortu. – Jeśli to sen, to wolałbym się nigdy z niego nie przebudzić. Kochana... moje najśodsze, jedyne kochanie.

Pochylił głowę i wtulił twarz w zagłębieniu szyi Madeline. Poczula, że on drży.

– Dziecko... Nasze dziecko. A ty chciałaś zniknąć

– poskarżył się ochryplym od emocji głosem. – Nigdy bym się nie dowiedział, co naprawdę do mnie czujesz.

Stłumiła szloch, odsunęła się nieco od Johna i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Nie chcę, żebyś żenił się ze mną ze względu na dziecko, jedynie z poczucia obowiązku.

– Jak to możliwe, że w ogóle mnie nie znasz, skoro byliśmy serdecznymi przyjaciółmi? – spytał ze zdumieniem John. – Jak dotąd, starałem się robić wyłącznie to, co sprawiało mi przyjemność. Poślubienie ciebie z całą pewnością sprawi mi cholerną przyjemność. Ty szalona kobieto, myślisz, że chcę się z tobą ożenić wyłącznie z powodu dziecka? Dziecko to bonus!

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi z radości na widok jego surowej zwykle twarzy, teraz emanującej szczęściem.

– Powinniśmy oboje brać pod uwagę, że to mogło się zdarzyć – dodał

łagodnie. – Ta noc, którą spędziliśmy razem, była zbyt cudowna, aby nie wydała owoców.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Ładnie powiedziane.

Obrysował z czułością opuszką palca kontur jej ust.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem, niosąc cię do swojej sypialni? Ni mniej, ni więcej, że chcę cię kochać. I tak właśnie było. – Dotknął jej lekko zaokrąglonego brzucha. – Miłość... – wyszeptał.

Zawstydzona, Madeline pochyliła głowę, a gdy po dłuższej chwili ją uniosła, uśmiechnęła się z zachwytem na widok nieskrywanej miłości malującej się na twarzy ukochanego.

– Czy przestaniesz wyrzucać mi spaghetti na kolana, rozgniatać na twarzy ciasto i zostawiać na łasce rozchichotanego tłumu?

Wspięła się na palce i musnęła wargami jego usta.

– Jeśli ty przestaniesz chodzić za mną trop w trop i grzebać mnie żywcem w tonach róż, to tak – zgodziła się. Przez chwilę wpatrywała się w niego uważnie.

– Czy ty mnie kochasz? – spytała cicho.

John zamyślił się i po chwili odparł:

– Wcześniej nikomu nie wyznałem miłości. Nikt nie usłyszał ode mnie, że go kocham. Ani Ellen, ani ojciec. Sądzę, że przyczyn takiej postawy należy szukać w dzieciństwie i wczesnej młodości – wyrastałem bez matki, ojciec przez pewien czas był nieobecny i praktycznie się mną nie interesował. – Zaśmiał się krótko, rozładowując atmosferę. – Gdy na ciebie patrzę i cię dotykam, to przepełnia mnie szczęście.

John wziął Madeline na ręce i zaniósł na kanapę, gdzie usiadł, nie wypuszczając ukochanej z objęć.

– Nie potrafię tego powiedzieć, jeszcze nie... – szeptał gorączkowo – ale udowodnię ci, jak bardzo jestem twój, tylko twój.

Pocałował Madeline, po czym ułożył ją na poduszkach, rozrzuconych na kanapie. Sięgnął do guzików jej bluzki i zaczął je rozpinąć. W momencie gdy pochylił głowę, przypomniała sobie, że nie włożyła biustonosza.

– John... – wyszeptała, gdy jego wargi zaczęły błaznić po uwrażliwionych, nabrzmiąłych piersiach.

Coś się między nimi zmieniło. Całował ją inaczej, była w tym czułość o nowym, nieznanym jej odcieniu. Tak różna od gwałtowności fizycznej pasji, która wcześniej ich połączyła, jak woda od kamienia. Całował ją z uwielbieniem, niemal z czcią, i tak samo jej dotykał.

Madeline przeszedł dreszcz i zabrakło jej tchu. Rozpięła koszulę Johna i wsunęła pod nią dłonie, by dotykać mięśni i kręcić pierścionki w ciemnych włosach, pokrywających szeroką pierś. W ślad za palcami poszły usta. Poznawała nimi ciepłe, lekko wilgotne, sprężyste ciało.

John położył się na plecach i pozwolił jej robić, co zechce. Przyglądał się w milczeniu, jak z wypisanym na twarzy zadowoleniem śledzi skutek swoich pieszczot.

– Mężczyźni lubią być tak dotykani, prawda? – spytała po jakimś czasie, patrząc w jego łagodne, kochające oczy.

– To zależy, kto dotyka – odparł. – Ty sprawiasz, że płonę.

Gęste kręcone włosy pokrywające męską pierś przyjemnie łaskotały nagą skórę Madeline i przeszedł ją rozkoszny dreszcz. Ujęła w dłonie twarz ukochanego. Te zmysłowe usta, gorące spojrzenie...

– Podoba mi się to, a tobie? – spytała, patrząc na niego spod rzęs.

– Możesz mieć poważny kłopot, jeśli nie przestaniesz – ostrzegł John rwącym się głosem.



Uśmiechnęła się. Kochała go całym sercem. Powolnym ruchem obrysowała palcem kontur jego ust.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Tak?

– Czy spałeś z Melody?

Musiała się dowiedzieć, żeby więcej o tym nie myśleć.

– Oczywiście, że nie. Naprawdę jeszcze nie rozumiesz, że nie pragnąłem żadnej innej kobiety, a wyłącznie ciebie? Po tej upojonej nocy, którą spędziliśmy razem, nie domyśliłaś się, że od dawna nie byłem z kobietą?

– Przyszło mi to do głowy, ale tak niewiele wiem o mężczyznach, że trudno mi było polegać na moim odczuciu.

– Nie dotknąłem innej kobiety od czasu, gdy podczas ulewy zaproponowałem, że cię podwiozę, moje kochanie. Miałem na twoim punkcie obsesję od pierwszej chwili, ale nigdy nie dałem tego poznać po sobie, bo z powodu wcześniejszych doświadczeń oczekiwałaś jedynie przyjaźni i tylko na ten rodzaj bliskości się zgodziłaś. Miałem związane ręce, nie mogłem zawieść zaufania, jakim mnie obdarzyłaś. Aż do tego wieczoru, gdy Elise wydała przyjęcie. – Uśmiechnął się łobuzersko. – Patrzyłaś na mnie tak, jakbyś chciała posmakować moich ust.

– Nie zdawałam sobie z tego sprawy – powiedziała na poły do siebie.

– Poza tym nie kryłaś zazdrości o Melody. To mi dawało nadzieję.

– Aha!

– Czekałem na taki sygnał i nie przegapiłem go. Zrobiłem pierwszy ruch, dla ciebie zbyt śmiały. Wycofałaś się jak poparzona wrzątkiem i bałem się, że wszystko zaprzepąściłem – wyznał John.

– Wystraszyłeś mnie – przyznała. – Wcześniej nigdy nie pomyślałam o

tobie jako kochanku. – Zaczerwieniła się lekko. – Nikt mnie tak dotąd nie całował, nie pieścił, a ja... zapłonęłam. Wspólna noc była dla mnie niezwykłym przeżyciem, pozwoliła mi także odkryć moje ciało i jego potrzeby. Byłam oszołomiona, a ty nie dzwoniłeś i bałam się, że przestaliśmy być przyjaciółmi. Miotalam się przez kilka dni, nękana sprzecznymi uczuciami: tęsknotą i wstydem. Wreszcie nie mogąc dłużej wytrzymać, zatelefonowałam do Josita i spytałam, gdzie jesteś. Miałam nadzieję, że potraktujesz piwo jako sygnał zawieszenia broni.

– Trzeba było więcej niż piwa, jeśli pamiętasz. – Przyciągnął jej głowę do siebie i pocałował w usta powoli, zmysłowo, a jednocześnie delikatnie, a potem spytał łagodnie: – Dlaczego czułaś się zawstydzona z powodu tamtej nocy? Czy pomyślałaś, że uznam cię za łatwą?

– Tak – przyznała. – Miałam wrażenie, że ulegając ci, dołączyłam do reszty twoich zdobyczy.

– Szalona kobieto, przecież ci mówiłem, że nie było żadnych podbojów – powiedział John, nasuwając sobie na szyję pasmo jej złocistorudych włosów.

– Sprawiałaś wrażenie mężczyzny, który ma każdą kobietę, której zechce – odrzekła Madeline. – Poza tym zachowywałeś się okropnie, kiedy zamieszkałam w apartamencie Donalda – przypomniła mu.

John westchnął ciężko, a przez jego twarz przemknął cień wstydu.

– Wbiłem sobie do głowy, że zbrzydziło cię to, do czego doszło w mojej sypialni, i postanowiłaś wziąć na mnie odwet. – Wsunął palce we włosy Madeline i mówił dalej: – Kiedy Ellen miała do mnie żal, szukała schronienia u Donalda. Nie sądzę, by choćby jej dotknął, nie zrozum mnie źle, ale to on ją pocieszał i to przed nim mogła się wyplakać. Działo to na mnie fatalnie, a z czasem zniechęciłem ich oboje. Gdy całkiem się załamał podczas pogrzebu

Ellen, nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Donald ją kochał. Nie powinienem był się z nią żenić. Należało rozpoznać, że z mojej strony to jedynie zauroczenie. Po pewnym czasie zorientowałem się, że Ellen nie jest tą jedną jedyną, lecz było już za późno. Zakochała się we mnie i czułem się za nią odpowiedzialny. Chciała więcej, niż mogłem jej dać.

Madeline pogłaskała policzek Johna.

– Donald nie zawinił. Nie pozwoliłabym nikomu się dotknąć po tym, co zaszło między nami – zapewniła ukochanego.

– Powinienem to wiedzieć, prawda, kochanie? – spytał ciepłym głosem.  
– Niestety, nabrałem idiotycznych podejrzeń, że wolisz Donalda. Spójrzmy prawdzie w oczy, najdroższa. Daleko mi do ideału. Jestem wybuchowy, niełatwo ze mną wytrzymać, nawet gdy dopisuje mi dobry humor. Natomiast Donald jest wesoły, zrównoważony... miły, naturalny i różnicie się jak dzień i noc – dokończyła i ponownie musnęła wargami usta Johna.

– Dlaczego mimo to wolę ciebie? – spytała przewrotnie.

Przyciągnął ją bliżej, zaczął całować namiętnie i tak żarliwie, że Madeline zadrżała na całym ciele i jęknęła cichutko.

– Tak cię pragnę – wyszeptał urywanie, wpatrując się w jej zamglone oczy. – Na każdy możliwy sposób.

Roześmiała się.

– Za kilka miesięcy będę przypominać dynię z dwoma melonami. Zobaczymy, jak ci się będę podobać – drażniła się z nim.

– Nosisz moje dziecko – powiedział, patrząc na nią z uwielbieniem. – Będziesz mi się podobać nawet wtedy, gdy zaczniesz przypominać beczkę.

– I pewnie tak będę wyglądać.

– Nie wydajesz się tym martwić.

– Ani trochę. Podoba mi się, że jestem w ciąży.

– Nie odnosisz wrażenia, że znalazłaś się w pułapce? – spytał z troską.

– Ku mojemu zdziwieniu nie, zważywszy na to, że założyłam, iż bliski związek z mężczyzną to dla mnie definitywny koniec niezależności. Jednak dziecko to zupełnie co innego. – Uśmiechnęła się. – Wybierałam dla niego imiona. Jeśli to chłopiec, chciałabym go nazwać Cameron Edward.

– Co myślisz o Candy dla dziewczynki?

– Postanowione!

Uśmiechnął się łobuzersko.

– A jeśli urodzą się nam bliźnięta?

Na tę możliwość Madeline oczy się zaświeciły.

– John, w mojej rodzinie zdarzały się bliźnięta, wiem przynajmniej o trzech takich przypadkach.

– W mojej też, kochanie. Dawno, ale bezsprzecznie były to bliźnięta – powiedział z zastanowieniem.

– A ty nie żałujesz, że zaszłam w ciążę?

– Kobieto, czy ty jesteś głucha i ślepa?!

– Tylko się upewniam.

– Lepiej zacznijmy myśleć o datach, miejscach i świadkach – zauważył.

– Wkrótce ciąża stanie się widoczna, a ja nie życzę sobie żadnych złośliwych uwag na temat mojej żony.

– Chciałabym wziąć ślub kościelny, ale skromny. Zgadzasz się?

– Dobrze.

John nawinął sobie na palec pasmo jej włosów, podparł się na łokciu i patrzył na jej nagie, zaróżowione piersi, napawając się tym widokiem.

– Jesteś piękna.

Madeline spojrzała na jego owłosiony tors i zarumieniła się. Intymna bliskość wciąż była dla niej czymś nowym.

– Lubieżnik – oskarżyła go żartobliwie. – Wodzący dziewczyny na pokuszenie.

– Trochę mi pomogłaś – odciął się.

– Och, chwilowa niepoczytalność – broniła się. – Okoliczność łagodząca.

Zaśmiał się, pochylił głowę i z niezwykłą czułością zaczął całować jej odsłoniętą aksamitną skórę.

– Kłamczucha – wyszeptał, łaskocząc ją wąsami.

Pogładziła ciemne włosy na jego karku, poddając się pocałunkom.

– Kocham cię – wyszeptała, zamykając oczy. – Jesteś najbliższym mi człowiekiem na całym świecie, Johnie Durango.

Podniósł głowę, a kiedy otworzyła oczy, wpatrzył się w jej zasnutę mgłą zielone tęczówki.

– Chcesz to usłyszeć, prawda? – spytał łagodnie. – Kobiety potrzebują zapewnień.

Madeline zdobyła się na uśmiech.

– Wystarczy mi, że to wiem – powiedziała, błędząc wzrokiem po jego twarzy, na której malowały się czułość i pożądanie.

John odetchnął głęboko, żeby uspokoić oddech, i obrysował palcem kontur jej ust.

– Kocham cię... bardzo – wyznał głosem nabrzmiałym od emocji. – Zawsze będę cię kochał. – Potarł czołem o czoło Madeline i spojrzał jej prosto w oczy. – Nigdy nie będzie żadnej innej kobiety.

– Ani innego mężczyzny – obiecała poważnie, patrząc na niego z miłością. – Czuję się taka samotna bez ciebie.

Drobnymi pocałunkami pokrył jej powieki, osuszył wargami wilgotne rzęsy. Nakrył ją całym ciałem, ale oparty na przedramionach, nie dał jej

odczuć swojego ciężaru. Długim, namiętym pocałunkiem niemal pozbawił ją oddechu.

– Teraz twoja kolej – powiedział, odrywając się od ust ukochanej. – Pokaż mi, jak tęskniłaś za mną.

– Z rozkoszą – wymamrotała i z uśmiechem przyciągnęła jego głowę do swojej.

Długi, niespieszny pocałunek i bliskość jego ciepłego silnego ciała znowu odebrały jej oddech.

– Dziecko – wyszeptał nagle John i uniósł się wyżej na przedramionach. Przytrzymała go lekkim naciskiem ramion.

– Nic mu nie zrobisz – zapewniła go z ciepłym, wyrozumiałym uśmiechem. – Pytałam lekarza – dodała z przewrotnym błyskiem w oczach. – John, wyobrażasz sobie, co Elise sobie pomyśli, gdy się dowie?

– Gdybyśmy mogli przewidzieć, co nadciąga... – Roześmiał się. – Kazałbym ci udawać atak wyrostka robaczkowego. I pomyśleć, że zaproponowałem ci, abyś nazwała dziecko moim imieniem.

Wtulila twarz w zagłębienie przy jego szyi.

– W rezultacie zrobiliśmy kawał nie im, tylko sobie, mój najdroższy – powiedziała cicho Madeline.

John odsunął się, żeby widzieć jej twarz.

– Powiedz to jeszcze raz – poprosił, patrząc na jej usta.

– Mój najdroższy – powtórzyła z czułością i oddaniem.

Rozchylił jej usta swoimi wargami z wyrafinowaną powolnością, jego szeroki, ciepły tors przylgnął do jej nagich piersi. Madeline poczuła, jak ciałem Johna wstrząsa dreszcz, i ujęła jego głowę w dłonie, aby ją unieść i spojrzeć w srebrzystoszare oczy.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał ochryple.

– Zdaje się, że nie ma innej możliwości – powiedziała, czując, jak jej ciało na niego reaguje. – Ale – dodała z przebłyskiem żartobliwości – jest jeden warunek.

– Jaki?

Wsunęła palce w jego gęste włosy tuż za uchem.

– Nie będę spała w baraku z trzymetrowymi węzami.

Roześmiał się i zapewnił ją z ustami przy jej ustach:

– Na pewno nie. Będziesz spała ze mną, bezpieczna w moich ramionach, każdej nocy aż do końca naszych dni.

– Będziemy żyć wiecznie – zapewniła go – bo moja miłość do ciebie nigdy nie zgaśnie.

Pani Rose, zajmująca sąsiedni dom, zauważyła, że ściemniały wychodzące na jej stronę okna pokoju dziennego Madeline i domyśliła się, że zgasło światło. Rzuciła okiem na zaparkowane na podjeździe ferrari. Z rozmarzonym uśmiechem zaciągnęła zasłony w oknie i zaczęła się zastanawiać, jaki prezent ślubny będzie najodpowiedniejszy dla pary zakochanych.